

Fantastyka

PETER S. BEAGLE

Ostatni  
jednorožec



# trident

**Peter S. Beagle**

**Ostatni**

**jednorożec**

**Przełożył**

**Michał Kłobukowski**



# Wydanie oryginalne

**Tytuł oryginału:**

The Last Unicorn

**Data wydania:**

1968

# **Wydanie polskie**

## **Data wydania:**

1998

## **Projekt okładki:**

Zombie Sputnik Corporation

## **Ilustracja na okładce:**

Robert Rodriguez

## **Przełożył:**

Michał Kłobukowski

## **Wydawca:**

PRÓSZYŃSKI i S-KA SA,

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

ISBN 83-7180-826-7

# Wydanie elektroniczne

## Trident eBooks

*Pamięci*

*doktora Olferta Dappera,*

*który w roku 1673 napotkał w lasach Maine*

*dzikiego jednorożca.*

*Robertowi Nathanowi,*

*który widział kilka w Los Angeles.*

*Beagle jest prawdziwym czarodziejem słowa...*

*Był porównywany, nie bez słuszności, z Lewisem Carrollem i J. R. R. Tolkienem, choć stoi na własnych nogach*

*- twardo i z powodzeniem.*

*– Granville Hicks, Saturday Review*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jednorogini żyła w bżowym lesie całkiem sama. Była bardzo stara, choć nie zdawała sobie z tego sprawy, straciła więc już beztruską barwę piany morskiej i przybrała kolor śniegu, jaki pada w księżycową noc. Oczy wciąż jednak miała czyste, niestrudzone, i tak jak dawniej poruszała się niby cień po powierzchni morza.

W niczym nie przypominała rogatego konia – w tej bowiem postaci często przedstawia się jednorożce, są one jednak mniejsze od koni, no i mają racice. Im tylko dana jest owa pradawna gracja, której koń nie ma, jeleń nieśmiało naśladuje, a koza skocznie przedrzeźnia.

Szyję miała długą i smukłą, więc głowa wydawała się mniejsza, niż w istocie była. Grzywa spływała jej do połowy grzbietu, miękka jak puch dmuchawca, misterna niczym obłok. Uszy miała spiczaste, nogi szczupłe, z pędzelkami białych włosków u pęcín. Długi róg wyrastający tuż nad oczami nawet o najczarniejszej pomocy drżał i lśnił własną poświatą jak koncha.

Zabijała nim niegdyś smoki. Uleczyła króla, któremu źle się goiła zatruta rana, i strącała dojrzałe kasztany dla niedźwiadków.

Jednoróżce są nieśmiertelne. Żyją samotnie, stale w jednym miejscu. Jest to zwykle las, w którym

znajdą jezioro dość czyste, aby mogły się przejrzeć, są bowiem troszkę próżne, bo wiedzą, że nie ma na świecie istot piękniejszych i bardziej czarodziejskich niż one. Nader rzadko łączą się w pary, a miejsce narodzin jednorożca jest zaklęte jak żadne inne.

Jednorogini dawno nie widziała żadnego ze swych pobratymców. Po raz ostatni zdarzyło się to w czasach, gdy młode dziewice (które jeszcze i teraz niekiedy ją odnajdywały) wołały do niej w jakimś dziś już zapomnianym języku; nie zdawała sobie jednak sprawy z upływu miesięcy, lat, stuleci, a nawet pór roku. W jej lesie trwała wieczna wiosna, bo ona tam mieszkała. Całymi dniami przechadzała się wśród ogromnych buków, mając pieczę nad wszystkim, co żyło w ziemi i w chaszczach, w gniazdach i w pieczarach, w norach i w koronach drzew. Pokolenia wilków i zajęcy zdobywały pożywienie, kochały się, miary młode i umierały. Jednorogini nie robiła żadnej z tych rzeczy, więc nie mogła im się dość napatrzeć.

Pewnego dnia dwaj ludzie z długimi łukami jechali przez las, tropiąc jelenie. Podążyła ich śladem, tak ostrożnie, że nawet konie jej nie wyczuły. Na widok ludzi zawsze ogarniała ją tkliwość przedziwnie zmieszana z trwogą. W miarę możności nigdy im się nie ukazywała, ale lubiła przyglądać się przejeżdżającym i słuchać ich rozmów.

– Nieswojo tu jakoś – utyskiwał starszy myśliwy. – Zwierzęta w lesie jednorożca z czasem same uczą się trochę czarować, a zwłaszcza znikać na zawołanie. Nic tu nie upolujemy.

– Jednorożców dawno nie ma – odparł młodszy. – Jeśli w ogóle istniały. To zwykły las.

– No to czemu nigdy nie wędną tu liście ani nie pada śnieg? Mówię ci, na całym świecie pozostał jeden jednorożec – niechaj się wiedzie staruszkowi! Dopóki żyje w tym lesie, żaden łowca nie przytroczy tu do siodła choćby sikorki. Sam się przekonasz. Wiem to i owo o jednorożcach.

– Z ksiązek – odrzekł jego towarzysz. – Tylko z ksiązek, legend i pieśni. Odkąd trzech króli zmieniło się na tronie, nikt ani nie bąknął, że widział jednorożca, w kraju czy za granicą.

Wiesz o nich tyle, co ja, bo czytałem te same księgi, słuchałem tych samych opowieści i też nigdy żadnego nie widziałem.

Pierwszy łowca milczał przez jakiś czas, a drugi pogwizdywał z cierpką miną. Wtem starszy odezwał się:

– Moja prababka widziała raz jednorożca. Opowiadała mi, jak byłem mały.

– Coś takiego! I co, schwyciła go na złotą uzdę?

– Nie miała złotej uzdy. Wcale nie trzeba jej mieć, żeby złapać jednorożca. Wystarczy czyste serce.

– Aha – parsknął młodszy. – To może dosiadła go na oklep i pocałowała wśród drzew, jak nimfa w zaraniu świata?



– Bała się dużych zwierząt, więc tylko siedziała bez ruchu, a jednorożec położył jej głowę na kolanach i zasnął. Ani drgnęła, póki się nie zbudził.

– A jak wyglądał? Pliniusz opisuje go jako okropnie dzikiego zwierza z głową jelenia, nogami słonia i ogonem niedźwiedzia. A znów Chińczycy...

– Prababka mówiła tylko, że ładnie pachniał. Nie znosiła zapachu zwierząt, nawet kota czy krowy, a co dopiero dzikiego stworzenia. A zachwyciła się wonią jednorożca. Pewnego razu aż się popłakała, kiedy mi o tym mówiła. No cóż, była już bardzo stara i każde wspomnienie młodości wyciskało jej łzy z oczu.

– Wracajmy. Zapolujemy gdzie indziej – rzekł raptem drugi łowca.

Gdy zawracali konie, Jednorogini bezszelestnie skryła się w gąszczu. Dopiero kiedy minęli ją i znacznie się oddalili, wróciła na drogę. Mężczyźni jechali w milczeniu. Na skraju lasu młodszy spytał cicho:

– Jak myślisz, czemu odeszły? Jeśli w ogóle istniały.

– Kto wie? Świat się zmienia. Uważasz, że czasy sprzyjają jednorożcom?

– Nie, ale chyba nikt jeszcze tego nie powiedział o swoich czasach. Teraz sobie przypominam, że chyba słyszałem jakieś opowieści... ale morzyło mnie wino albo myślałem o czym innym... No, mniejsza. Pospieszmy się, póki widno. Może coś jeszcze upolujemy.

Jazda!

Wypadli na otwartą przestrzeń, dali koniom ostrogę i pognali galopem. Lecz nim znikli w oddali, pierwszy obejrzał się i zawołał przez ramię, jakby widział ukrytą w cieniu Jednoroginię:

– Zostań, gdzie jesteś, nieszczęsne stworzenie. Nie dla ciebie ten świat. Pilnuj swego lasu.

Dbaj, żeby drzewa wiecznie się zieleniły, a twoi przyjaciele żyli długo. I nie zawracaj sobie głowy młodymi dziewczynami, bo z nich zawsze wyrastają głupie stare babska. Powodzenia!

Stojąc bez ruchu na skraju lasu, Jednorogini powiedziała:

– Jestem jedynym jednorożcem na świecie. – Były to pierwsze słowa od z górą stu lat, jakie wyrzekła na głos, choćby tylko do siebie.

„Niemożliwe”, myślała. Nigdy dotąd nie ciążyło jej to, że jest sama, że nie widuje istot do siebie podobnych, wiedziała bowiem, że są gdzieś na świecie, a taka świadomość starcza jednorożcowi za towarzystwo.

– Ale przecież gdyby wszystkie przepadły, wiedziałabym o tym, bo i ja bym przepadła.

Nic, co je spotyka, nie może mnie ominąć – powiedziała.

Własny głos tak ją przeraził, że poderwała się do biegu. Sunęła po mrocznych ścieżkach, rąca i lśniaca, przecinała nieoczekiwane polany, nieznośnie połyskujące źdźbłami traw lub wymoszczone cieniem, biegła świadoma wszystkiego wokół: od ziół, które muskały jej pęciny, po prędkie jak ruchy owadów migotanie srebra i błękitu na liściach unoszonych przez wiatr.

– Och, nie mogłabym tego porzucić, przenigdy. Choćbym naprawdę była ostatnim jednorożcem. Tu tylko potrafię żyć, znam smak i zapach każdej rzeczy, wiem, co jest czym.

Czego miałabym szukać w świecie, jeśli nie znów tego samego?

Ale gdy wreszcie przystanęła i posłuchała krakania wron i swarów wiewiórek tuż nad swą głową, pomyślała: „A jeśli schowały się wszystkie razem, daleko stąd? A jeśli na mnie czekają w ukryciu?”

Gdy raz ogarnęły ją wątpliwości, nie zaznała już spokoju. Odkąd po raz pierwszy wyobraziła sobie, że opuszcza swój las, nie mogła wytrwać w miejscu, nie pragnąc znaleźć się gdzie indziej. Kłusowała tu i tam nad jeziorkiem, wzburzona i nieszczęśliwa. Jednorożce nie są od tego, żeby dokonywać wyborów. Mówiła sobie „nie”, „tak” i znowu „nie”, dniem i nocą, aż po raz pierwszy poczuła, że minuty oblażą ją jak robactwo. „Nie pójdę. Ludzie od pewnego czasu nie widują jednorożców, ale to jeszcze nie dowód, że wszystkie znikły. A choćby nawet tak było, też bym nie poszła. Ja tu mieszkam”.

Lecz którejś ciepłej nocy zbudziła się i powiedziała:

– Tak. I to zaraz.

Pospieszyła przez las, starając się na nic nie patrzeć, nie czuć zapachów ani nawet ziemi pod kopytami. Nocne zwierzęta – sowy, lisy, jelenie – unosiły łby, gdy je mijała, ale na nie też nie chciała spojrzeć. „Muszę prędko stąd iść i jak najprędzej wrócić”, myślała. „Może nie trzeba będzie odchodzić daleko. Ale czy znajdę tamte jednorożce, czy nie, wrócę jak najszybciej”.

Wiodący skrajem lasu gościniec skrzył się w blasku księżyca niczym woda, ale gdy Jednorigini wybiegła spod osłony drzew, poczuła, jaki twardy jest trakt i jak daleko się ciągnie. Mało brakowało, a zawróciłaby, lecz tylko głęboko odetchnęła leśnym powietrzem, które jeszcze za nią się niosło, i trzymała je w ustach jak kwiat, póki mogła.

Długa droga biegła donikąd i nie miała końca. Mijała wsie i miasteczka, góry i równiny, kamieniste pustkowia i łąki wykwitłe spośród głązów, lecz wszędzie była obca i nigdzie ani na chwilę nie spoczywała. Pędziła Jednoriginię coraz dalej, niby przypływ szarpała ją za kopyta, nękała, nie pozwalając jak dawniej w spokoju wsłuchiwać się w powietrze.

Jednorigini w oczach miała pełno kurzu, a grzywę ciężką i sztywną od brudu.

W lesie czas zawsze ją omijał, lecz teraz, w podróży, to ona go mijała: drzewa zmieniały barwy,

zwierzęta porastały gęstym futrem i znów je zrzucały. Chmury pełzły lub mknęły, popędzane zmiennymi wiatrami, różowiły się i złociły w słońcu, siniały burzą. Wszędzie wypatrywała swoich pobratymców, lecz nie znalazła po nich ani śladu; języki, które słyszała po drodze, nie miały już nawet dla nich nazwy.

Kiedys wczesnym rankiem miała akurat skręcić z gościńca i ułożyć się do snu, gdy ujrzała mężczyznę gracującego ogród. Wiedziała, że powinna się skryć, a jednak stała bez ruchu i przyglądała się, jak człowiek pracuje. W końcu wyprostował się i ją zauważył. Był tak tłusty, że przy każdym kroku trzęsły mu się policzki.

– Och – westchnął. – Och, jakaś ty śliczna.

Wyciągnął pas ze spodni, zrobił pętlę i niezdarnie ruszył w stronę Jednorogini. Przyjęła to raczej z zadowoleniem niż z trwogą: człowiek wiedział przecież, z kim na do czynienia, tak jak zdawał sobie sprawę, że sądzono mu jest okopywać rzepę i gonić za tym lśniącym, co biega szybciej niż on. Gdy zamachnął się pierwszy raz, usunęła się tak lekko, jakby sam podmuch wymiotł ją z zasięgu jego ręki.

– Swojego czasu tropiono mnie z dzwonkami i proporcami – powiedziała. – Ludzie wiedzieli, że jeśli chcą mnie pojmać, muszą urządzić czarowne łowy, to może się zbliżę, żeby popatrzeć. Ale i tak nigdy nie dałam się schwytać.

– Chyba noga mi się omskła – rzekł mężczyzna. – Prrr, ślicznotko.

– Nigdy nie rozumiałam – zastanawiała się Jednorogini, podczas gdy dźwigał się z ziemi

– co właściwie chcecie ze mną począć, kiedy już mnie złapiecie. – Znów dał susa, a ona wymknęła mu się jak deszcz. – Chyba sami siebie nie znacie.

– No, ciś, ciś, prrr. – Pot spływał mu po ubłoconej twarzy. Z trudem łapał oddech. –

Ładnaś – sapnął. – Ładniutka kobyłka.

– Kobyłka? – Okrzyk Jednorogini zabrzmiał przenikliwie jak fanfara, aż człowiek przestał ją ścigać i zatkał sobie uszy. – Kobyła? – spytała. – Więc mam być koniem? Za to mnie masz? Tyle tylko widzisz?

– Dobry koniś – dyszał grubas. Oparł się o płot i wytarł twarz. – Wyczesej cię, oczyszczej. Będzie z ciebie klaczka gracka, jak mało która. – Znów się zamierzył. – Wezmę cię na jarmark. No, pódź tu, koniś.

– Koniś – powtórzyła. – A więc to konia próbowałeś schwytać. Siwą klacz z grzywą pełną rzepów. – Gdy znów się zbliżył, zahaczyła rogiem o pętlę, wyrwała mu ją z ręki i cisnęła w kępę stokrotek po drugiej stronie drogi. – Powiadasz, że jestem koniem? –

parsknęła. – Dobre sobie!

Przez chwilę był tak blisko, że swymi wielkimi oczami spojrzała mu prosto w zmęczone, zdumione ślepka. Zaraz jednak odwróciła się i pognąła gościńcem, tak chyżo, że na jej widok wołano:

– A to ci koń! To ci dopiero koń!

Jakiś staruszek rzekł cicho do żony:

– To arabski kuń. Byłem ja raz na takim statku, gdzie mieli arabskiego kunia.

Odtąd Jednorogini nawet nocą unikała miast, jeśli tylko mogła je jakoś obejść. Mimo to parokrotnie ruszano w pogoń, lecz nie za nią, tylko za zbłąkaną siwą klaczą, i nie tak, jak należy ścigać jednorożca: z czcią i weselem. Ludzie zbrojni w liny, sieci i kostki cukru gwizdali i wołali:

– Bess! Nellie!

Czasem zwalniała – ot, na tyle, żeby konie mogły ją zwęszyć. Potem patrzyła, jak stają dęba, zawracają i pierzchają, unosząc przerażonych jeźdźców. Bo konie zawsze ją poznawały.

„Jak to jest możliwe?”, zastanawiała się. „Gdyby wśród ludzi po prostu zagięła pamięć o jednorożcach albo gdyby zmienili się do tego stopnia, że by je znieawidzili i przy lada okazji dybali na ich życie, chyba bym to zrozumiała. Ale że w ogóle nie są w stanie dostrzec jednorożca i patrząc nań widzą zupełnie inne stworzenie? Czym wobec tego wydaje się człowiek człowiekowi? Czym są dla nich drzewa, domy, prawdziwe konie? Albo ich własne dzieci?”

Kiedy indziej myślała: „Skoro ludzie sami już nie wiedzą, na co patrzą, to może są jeszcze na świecie jednorożce. Nikt o nich nie wie i w to im graj”. Lecz ani próżność, ani nadzieja nie mogła zagłuszyć w niej przekonania, że ludzie się zmienili, a z nimi cały świat, ponieważ zabrakło jednorożców. Podążała jednak znojnym szlakiem, choć coraz bardziej żałowała, że opuściła swój las.

Któregoś popołudnia pewien motyl zachybotał na wietrze i usiadł na czubku jej rogu –

aksamitny, posypany ciemnym pyłkiem, ze złociście nakrapianymi skrzydełkami, delikatny jak płatek kwiatu. Zasalutował krętymi czułkami, tańcząc w tę i z powrotem po rogu.

– Jestem wędrownym szulerem – przedstawił się. – Jak się masz?

Jednorogini roześmiała się po raz pierwszy, odkąd ruszyła w drogę.

– Co ty wyprawiasz, motylku? – spytała. – Latasz przy takim wietrze? Zaziębisz się i umrzesz przed czasem.

– Śmierć zabiera, co człowiek rad by zachował – odparł motyl – a zostawia, co chętnie by postradał. Dmij, wietrze, aż ci pękną policzki. Grzeję dłonie przy ogniu życia i to mi sprawia ulgę do kwadratu.  
– Mienił się na jej rogu jak skrawek zmierzchu.

– Wiesz, kim jestem, motylku? – spytała z nadzieją.

– Wiem to znakomicie: jesteś handlarzem ryb. Jesteś dla mnie wszystkim, jesteś mym słońcem, jesteś stara, siwa i senna, jesteś moja Mary Jane, suchotnica ze skwaszonym liczkiem. – Urwał, ale zaraz dodał lekkim tonem, trzepocząc skrzydełkami na wietrze: – Imię twe zawiesiłem sobie w serduszku niby złoty dzwoneczek. Rad bym potargał własne ciało na strzępy, byle choć raz zawołać cię po imieniu.

– Wymów je więc – rzekła błagalnie. – Skoro je znasz, to mi powiedz.

– Tutelitory! – zawołał motyl, wielce uradowany. – Skucha! Nie dostaniesz medalu. –

Podrygiwał i migotał na jej rogu, śpiewając: – Wróc do domu, Billy Bailey, wróc do domu, dokąd niegdyś przekradał się po kryjomu. Zakasz rękawy, Winsocki, spadającą gwiazdę chwyć. Glina się nie rusza, we krwi kipi dusza, więc i ja potrafię rozsierdzić parafię.

W blasku bijącym od rogu oczy motyla szklily się szkarłatnie. Jednorogini westchnęła i powlokła się dalej, ubawiona i zawiedziona równocześnie. „Dobrze ci tak”, mówiła sobie.

„Powinnaś wiedzieć, że motyl cię nie pozna. Znają tylko przyśpiewki, wierszyki – cokolwiek zasłyszają. Mają dobre chęci, ale wszystko im się płacze. Co to zresztą szkodzi? Tak prędko umierają”.

Motyl zawiadacko wirował jej przed oczami i wyśpiewywał:

– Jeden, drugi, trzeci przechera. Nie, jam bez winy, pociecha padliny, spójrz na te smętne, przydrożne ruiny. Och, cóż za przekłete minuty rachuje ten, kto wielbi, a zarazem wątpi.

Spiesz, Radości, i przywiedź z sobą zastęp wyuzdanych złud, co je mam pod komendą, a w sprzedaży będą tylko przez trzy dni, po okazyjnych, sezonowych cenach. Kocham cię, kocham, och, zgrozo, zgrozo, zgiń, przepadnij, wiedźmo, zaiste, powiadam waści, w niefortunnym miejscu postanowiłeś ochromieć, wierzbo, wierzbo, wierzbo. – Jego głosik dźwięczał w głowie Jednorogini jak sypiące się srebrne monety.

Przez resztę gasnącego dnia podróżowali razem, lecz gdy słońce się zniżyło, a niebo napełniło różnymi rybami, motyl uleciał z rogu i zawisł przed nią w powietrzu.

– Muszę pojechać linią „A” – oznajmił uprzejmie. Na tle chmur widać było w aksamitnych skrzydełkach delikatne czarne żyłki.

– Żegnaj – odparła Jednorogini. – Mam nadzieję, że usłyszysz jeszcze wiele piosenek. –

Uznała, że to najlepsze, co można powiedzieć motylowi na pożegnanie. On jednak dalej furkotał nad jej głową w błękitnym zmierzchu, już wcale nie taki dziarski, trochę nawet podenerwowany.

– No, leć już – popędzała go. – Za zimno dla ciebie. Nie powinieneś być na dworze.

Lecz motyl dalej igrał i nucił pod wąsem.

– Jadał na koniu zwanym Macedonai – zaintonował z roztargnieniem. A potem, bardzo wyraźnie: – Jednorożec. W starofrancuskim *unicorne*. Po łacinie *unicornis*. Dosłownie: jednorożec, od *unus*, jeden, i *cornu*, róg. Baśniowe zwierzę podobne do konia z jednym rogiem. O, jam ci jest kuk i śmiały kapitan i majtek na brygu Nancy. Czy kto z was widział

Kelly'ego? – Wzbił się radosnym, paradnym lotem, aż pierwsze świetliki zamrugały wokół niego, zdumione i ogarnięte poważnym zwątpieniem.

Zdziwiona i uszczęśliwiona, że wreszcie słyszy swe imię, Jednorożec puściła mimo uszu wzmiankę o koniu.

– Więc jednak wiesz, kim jestem! – krzyknęła i z zachwytu tak westchnęła, że motyla odwiała na dziesięć kroków. Gdy z powrotem się do niej dotelepał, rzekła błagalnie:

– Motylku, jeśli naprawdę wiesz, kim jestem, mów, czy widziałeś kiedy takie istoty jak ja? Powiedz, dokąd mam iść, żeby je odnaleźć? Gdzie się podziały?

– Motyle, motyle, gdzież się schronię choć na chwilę? – zanucił w słabnącym świetle. –

Za chwilę wystąpi błazen miły z błaznem kąśliwym. Jezu, oby ma luba spoczęła w moich ramionach, a ja z powrotem we własnym łóżku. – Znów przysiadł na rogu. Czuli, jak cały drży.

– Proszę cię – powiedziała. – Chcę tylko usłyszeć, że są jeszcze gdzieś jednorożce.

Motyłu, powiedz mi, że nie jestem ostatnia na świecie, a ja ci uwierzę i wrócę do lasu. Tak dawno stamtąd odeszłam, a obiecałam szybko wrócić.

– Przez księżycowe góry – zaczął motyl – Doliną Cienia jedź, śmiało jedź. – Urwał nagle i powiedział dziwnym tonem:

– Nie, nie, słuchaj, nie słuchaj mnie, słuchaj. Może zdołasz odnaleźć swoich braci, jeśli będziesz dzielna. Dawno temu przebiegli drogami całego świata, a Czerwony Byk sadił tuż za nimi i zdeptywał ich ślady. Niech nic cię nie złamie na duchu, lecz nie bądź półgłówkiem, mój zuchu. – Musnął skrzydełkami jej skórę.

– Czerwony Byk? – zapytała. – Co to takiego?

Motyl zaczął śpiewać:

– Za mną w dół. Za mną w dół. Za mną w dół. Za mną w dół. – Wtem zawzięcie pokręcił

łebkiem i zadeklamował:

– Pierworodny cielec jego pełen jest chwały, rogami bawołu są rogi jego. Nimi to zepchnie ludy wszelkie aż na krańce świata. Słuchaj, słuchaj, prędko słuchaj.

– Przecież słucham! – krzyknęła Jednorogini. – Gdzie są moi bracia i co to jest Czerwony Byk?

Ale motyl spikował ze śmiechem, aż znalazł się tuż przy jej uchu.

– Miewam zmory pełne strachu, że się czołgam po piachu – zanucił. – Pieski Tray, Blanche, Sue obszczekują mnie, malutkie wężyki obsykują mnie, do miasta ściągają żebracy.

A finał taki, że przyłażą mięczaki.

Jeszcze chwilę tańczył przed nią wśród zmierzchu, aż odfrunął drżącym lotem w fiolet przydrożnych cieni, wyśpiewując buńczucznie:

– Wyzywam cię, ćmo! Jeden na jeden na jeden na jeden na jeden... – Jednorogini widziała w końcu tylko drobny trzepot pośród drzew, a może wzrok ją mylił, bo wieczór był już o tej porze pełen skrzydeł.

„Przynajmniej mnie poznał”, pomyślała ze smutkiem. „A to już coś znaczy”. Ale od razu sobie zaprzeczyła: „To nic nie znaczy – albo tylko tyle, że ktoś kiedyś ułożył piosenkę o jednorożcach, a może wiersz. Ale Czerwony Byk? Co motyl mógł przez to rozumieć? To pewnie też z jakiejś piosenki”.

Pomału szła przed siebie, a wokół niej zacieśniała się noc. Obwisłe niebo było prawie czarne i tylko jeden punkt złocił się i srebrzył, tam gdzie za gęstwą chmur kroczył księżyc.

Jednorogini nuciła piosenkę, którą dawno temu śpiewała w jej lesie młoda dziewczyna:

Kot z wróblem zagnieżdżą mi się w pończosze,

Prędzej niż ciebie w swe progi zaproszę.

Zając pofrunie, ryba zanuci,

Prędzej niżeli ty do mnie wrócisz.

Choć nie rozumiała tych słów, zbudziły w niej one tęsknotę za domem. Pamiętała przecież, że gdy tylko wybiegła z lasu na gościniec, poczuła, jak jesień trzęsie bukami.

W końcu ułożyła się w zimnej trawie i zasnęła. Jednorożce są najczujniejsze ze wszystkich stworzeń, ale sen mają twardy. Lecz gdyby nie to, że Jednorogini śniła o domu, zbudziłby ją brzęk dzwoneczków i turkot kół nadciągający wśród nocy, choć koła dla niepoznaki owinięto szmatami, a dzwoneczki wełną. Była jednak bardzo, bardzo daleko – dalej, niż mogły sięgnąć cichutkie dzwonki – więc się nie zbudziła.

Wozów było dziewięć, każdy okryty czarnym płótnem i zaprzężony w chudą karą szkape.

Gdy wiatr rozwiewał zasłony, wozy szczyrzyły zęby krat. Na spowitych kirem ścianach pierwszego, którym powoziła przysadzista starucha, wisiały dwa szyldy. Wielkie litery oznajmiały:

## PONURE MIASTECZKO MATECZKI FORTUNY

A niżej, drobniejszym pismem:

## STWORY Z MROKU NA WIDOKU

Gdy pierwszy wóz zrównał się z uśpioną, starucha raptownie ściągnęła lejce. Reszta karawany także przystanęła i czekała wśród ciszy. Stara ze szkaradnym wdziękiem zeskoczyła na ziemię i podkraśla się do Jednorogini. Długo w nią się wpatrywała, po czym rzekła:

– No, no. A niechże mnie. Myślałam, że już ich nie zobaczę. – Jej głos pozostawił w powietrzu aromat miodu i prochu strzelniczego. – Gdyby wiedział! – Ukazała w uśmiechu zęby jak rząd kamyków. – Ale raczej mu nie powiem. – Spojrzała przez ramię na czarne wozy i dwakroć pstryknęła palcami. Woźnice drugiego i trzeciego zeskoczyli z kozłów i podeszli.

Jeden był podobny do starej: niski, ciemny i jakby wyciosany z głazu. Drugi – wysoki i chudy, ubrany w zniszczoną czarną opończę – miał zielone oczy, a na twarzy wyraz niezłomnego zdumienia.

– Co widzisz? – spytała stara niskiego woźnicę. – Mów, Rukh, co tu leży?

– Zdechły koń – stwierdził. – Nie, jeszcze nie zdechły. Daj go mantykorze albo smokowi.

– Jego głos trzeszczał, jakby kto tarł zapalką o draskę.

– Głupiś – powiedziała Mateczka Fortuna i zwróciła się do drugiego. – A ty, czarodzieju, cudotwórco? Cóż widzisz tym swoim magicznym okiem?

Rukh zarechotał, a właściwie zaterkotał jak koła zębate, a ona mu zawtórowała, ale umilkła, widząc, że wysoki woźnica dalej wpatruje się w jednoroźca. – Odpowiadaj, kuglarzu jakiś! – warknęła, a gdy nie zareagował, dłonią podobną do kraba chwyciła go za szczękę i obróciła ku sobie. Pod natarczywym spojrzeniem jej żółtych oczu spuścił wzrok.

– To koń – wymamrotał. – Siwa klacz.

Mateczka Fortuna długo mu się przyglądała.

– Ty też jesteś głupi, czarodzieju – prychnęła wreszcie. – Ale twoja głupota jest gorsza od głupoty Rukha i bardziej niebezpieczna: on łąze tylko z pazerności, a ty ze strachu. Bo chyba nie z dobroci? – Nie odpowiedział. Mateczka Fortuna roześmiała się, ale nikt jej tym razem nie towarzyszył.

– W porządku – powiedziała. – To siwa klacz. Bierzemy ją do Miasteczka. Dziewiąta klatka jest



wolna.

– Potrzebny będzie sznur – odparł Rukh i już miał odejść, gdy stara go zatrzymała:

– Można by ją spętać tylko tym powrozem, którym dawni bogowie skrępowali wilka Fenrisa – rzekła. – Ukręcono go z rybich oddechów, ptasiej śliny, babskiej brody, kociego miauku, niedźwiedzich ścięgien i jeszcze czegoś... aha, już wiem: z korzeni gór. Nie mamy pod ręką żadnej z tych rzeczy, ani karłów, które by splotły sznur, więc będziemy musieli poprzestać na żelaznych kratkach. Teraz obłożę ją snem, tak oto. – Dłonie Mateczki Fortuny supłały nocne powietrze, a w gardle zagulgotało jej kilka nieprzyjemnych słów. Gdy wykończyła urok, wokół Jednorogini rozeszła się woń błyskawicy.

– A teraz do klatki z nią – rozkazała wiedźma. – Będzie spała aż do wschodu słońca, choćbyście narobili nie wiem jakiego rejwachu. Chyba że któryś z upartej głupoty trąci ją ręką. Rozbierzecie dziewiątą klatkę i ustawicie wokół niej, ale strzeżcie się! Dłoń, która choćby muśnie jej grzywę, natychmiast i całkiem zasłużenie zmieni się w ośle kopyto. –

Znów drwiąco spojrzała na wysokiego chudzielca. – Twoje marne sztuczki sprawiałyby ci jeszcze więcej trudu, czarodzieju – wysapała. – No, do roboty. Niewiele już ciemności zostało.

Wśliznęła się z powrotem w cień budy, jakby przedtem wyskoczyła z niej tylko po to, żeby sprawdzić godzinę. Kiedy już na pewno była poza zasięgiem ich głosów, człowiek imieniem Rukh splunął i rzekł z zaciekawionym tonem:

– Czego się boi ta stara mątna? Co by to szkodziło, gdybyśmy dotknęli bydłęcia?

– Dotyk ludzkiej ręki wyrwałby ją z najgłębszego snu, jakim sam diabeł mógłby ją spętać

– ledwie dosłyszalnie odparł czarodziej. – A nasza Mateczka Fortuna z pewnością diabłem nie jest.

– Aha! Chciałaby uchodzić za diabolicę – jadowicie zaśmiał się ciemny. – Ośle kopyta.

Akurat! – Na wszelki wypadek wbił jednak ręce głęboko w kieszenie. – Dlaczego urok miałby prysnąć? Przecież to tylko stara, siwa kobyła.

Ale czarodziej odchodził już szybkim krokiem w stronę ostatniego wozu.

– Prędzej! – zawołał przez ramię. – Niedługo zaświta!

Przez resztę nocy rozebrali dziewiątą klatkę i znów poskładali kraty, podłogę i dach wokół śpiącego jednorozca. Rukh właśnie szarpał drzwiami, sprawdzając, czy są dokładnie zamknięte, kiedy szare drzewa na wschodzie zakipsiały i Jednorogini otworzyła oczy. Obaj spiesznie czmychnęli, lecz wysoki czarodziej obejrzał się w samą porę, żeby zobaczyć, jak jednorozec wstaje i spogląda na żelazne kraty, a jego zwieszona głowa kołysze się niczym łeb starego siwka.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Czarne wozy Ponurego Miasteczka za dnia wydawały się mniejsze i wcale nie złowrogie, raczej kruche i wątłe jak zeschnięte liście. Znikły gdzieś zasłony, a zamiast nich lekki wiatr tarnosił smętne czarne chorągwie wycięte z derek, targał kuse czarne wstęgi. Przybrane nimi wozy ustawiono na polu wśród niskich zarośli w osobliwym szyku: pięciokąt, w nim trójkąt, a w trójkącie buda Mateczki Fortuny. Tylko na tym jednym wozie dalej wisiały czarne draperie, skrywające niewiadomą zawartość. Samej wiedźmy nigdzie nie było widać.

Człowiek imieniem Rukh pomału wiódł od klatki do klatki rozłazącą się wycieczkę wieśniaków i posępnie objaśniał:

– Ta tutaj to mantykora. Ma ludzką głowę, lwi tułów, ogon skorpiona. Schwyta o północy. Dla odświeżenia oddechu pożera wilkołaki. Stwory z mroku na widoku. A to znowu smok. Czasem zionie ogniem – zwłaszcza na takich, co go szturchają, chłopcze. Jego trzewia to istne piekło, a skórę ma zimną, że aż parzy. Mówi siedemnastoma językami, ale je kaleczy, i cierpi na podagrę. Satyr. Panie proszone są o cofnięcie się. Straszny rozrabiaka, schwytny w niecodziennych okolicznościach. Szczegółów udzielam wyłącznie panom, za symboliczną opłatą, zaraz po pokazie. Stwory z mroku.

Wysoki czarodziej stał przy wozie jednorożca, w jednym z wierzchołków trójkąta, i patrzył, jak pochód okrąży pięciobok.

– Nie powinienem się tu kręcić – powiedział do Jednorogini. – Stara uprzedzała mnie, że mam się trzymać od ciebie z daleka. – Parsknął miłym śmiechem. – Drwi ze mnie, odkąd do niej przystałem, ale ja też bez przerwy gram jej na nerwach.

Jednorogini ledwie go słyszała, krążąc po swoim więzieniu. Ze wszystkich stron otaczały ją pręty, przed którymi wzdragało się jej ciało. Istoty zrodzone z człowieczej nocy nie przepadają za zimnym żelazem. Samą jego bliskość mogłaby ścierpieć, ale morderczy odór nieomal obracał jej kości w piach, a krew w strugi deszczu. Pręty klatki też były chyba zakłute, bo ani na chwilę nie przestawały jadowicie trajkotać między sobą, zmawiając się drapieżnym szeptem. Ciężki zamek chichotał i rżał jak obłąkana małpa.

– Powiedz mi, co widzisz – spytał czarodziej, tak jak jego przedtem spytała Mateczka Fortuna. – Popatrz na swoich baśniowych kamratów i powiedz, co widzisz.

Żelazny głos Rukha rozdarł mdłe popołudnie:

– Odźwierny zaświatów. Jak państwo widzicie, ma trzy głowy i gęste futro ze żmij.

Ostatnio widziano go na powierzchni ziemi, kiedy Herkules pod pachą wytaszczył go z Hadesu. Ale myśmy mu obiecali lepsze warunki, więc dał się wywabić na światło dzienne.

To Cerber. Popatrzcie na tych sześcioro czerwonych, zawiedzionych ślepiów. Może jeszcze kiedyś w nie zajrzycie. Tędy do Węża z Midgardu. Tędy, proszę.

Oczami rozszerzonymi z niedowierzania Jednorogini patrzyła na zwierzę w klatce naprzeciwko. – To tylko pies – szepnęła. – Głodny, nieszczęśliwy pies. Biedaczysko! Ma tylko jedną głowę i nędzne resztki sierści. Jak można go wziąć za Cerbera? Czy oni oślepli?

– Dobrze się przyjrzyj.

– A satyr – ciągnęła – satyr to wielka, stara małpa ze zwichniętą stopą. Smok to krokodyl.

Prędzej zionąłby odorem ryb niż ogniem. A ta olbrzymia mantykora to lew. Niczego mu nie brak, ale nie jest bardziej monstrualny niż reszta menażerii. Nic nie rozumiem.

– W swych splotach trzyma cały świat – monotonicznie deklamował Rukh.

– Dobrze się przyjrzyj – powtórzył czarodziej. I wtedy, jak gdyby wzrok jej stopniowo oswajał się z ciemnością, Jednorogini zaczęła dostrzegać w każdej klatce jakąś drugą postać.

Ogromne sobowtóry majaczyły nad więźniami Ponurego Miasteczka, połączone z nimi jakby pępowiną: burzliwe sny wykwitłe z ziarna prawdy. Była więc mantykora: z głodnym wyrazem ślepiów toczyła pianę z pyska, z rykiem wyginała śmiertelny ogon, aż jadowity kolec dyndał jej tuż nad uchem – a był i lew, niedorzecznie przy niej maleńki. We dwoje tworzyli jedną istotę. Jednorogini tupnęła ze zdziwienia.

To samo zobaczyła w pozostałych klatkach. Widmowy smok otwierał paszczę i z sykiem zionął nieszkodliwym ogniem na gapiów, żeby się kulili i wstrzymywali oddechy.

Wężogrzywy stróż piekieł wył, miotając potrójne klątwy i piętrowe potępienia na głowy tych, co go zdradzili, a satyr z obleśnym uśmiechem kuśtykał u kraty i zapraszał dziewczęta do niewyobrażalnych wręcz uciech, tu i teraz, na oczach wszystkich. Krokodyl, małpa i smutny pies z wolna bładły wobec tych cudownych zjaw, i w końcu nawet Jednorogini, choć nie dała się wprowadzić w błąd, widziała w nich już tylko cienie.

– Dziwne to jakieś czary – rzekła cicho. – Więcej, w nich mamienia niż magii.

Czarodziej roześmiał się z przyjemnością i z wielką ulgą. – Celna uwaga, naprawdę celna

– powiedział. – Byłem pewien, że kogo jak kogo, ale ciebie to stare straszdyło nie olśni swoimi urokami za trzy grosze. To już jej trzeci błąd – dodał twardym, tajemniczym tonem. –

Co najmniej o dwa za wiele jak na taką starą, steraną szachrajkę. Wkrótce wybije godzina.

– Wkrótce wybije godzina – mówił Rukh do gawiedzi, jakby podsłuchiwał czarodzieja. –

Ragnarök. W owym dniu upadku bogów Wąż z Midgardu plunie cyklonem jadu w samego wielkiego Thora, aż Thor skoziółkuje jak struta mucha. Ale na razie godzina czeka Sądnego Dnia, śniąc o tym, jaką odegra w nim rolę. Może i tak będzie – czy ja wiem? Stwory z mroku na widoku.

Klatka pełna była węża. Nie miał on głowy ani ogona, tylko przelewał się z kąta w kąt falą zaśnieżonego mroku, nie zostawiając miejsca na nic prócz swego huraganowego oddechu. Tylko Jednorogini widziała zwiniętego w kącie złowrogiego boa dusiciela, który może i obmyślał swój własny sąd nad Ponurym Miasteczkiem, ale w cieniu Węża wydawał

się maleńki i mętny jak duch robaka.

Jakiś zaintrygowany chłopiec roztropek podniósł rękę i zagadnął Rukha:

– Powiadacie, że to wielgachne wężysko leży owinięte naokoło ziemi. No to skąd macie jego kawałek we wozie? A jak ono potrafi chlusnąć całym morzem o brzeg, ledwo się przeciągnie, to kto mu broni popełznąć precz, z tym waszym kramem na szyi zamiast koralii?

Tu i ówdzie rozległy się pomruki aprobaty, a część szemrających zaczęła cofać się chyłkiem.

– Dobrze, żeś o to spytał, przyjacielu – odparł Rukh, naburmuszony. – Tak się składa, że Wąż z Midgardu istnieje jakby w innej przestrzeni niż nasza, w innym wymiarze, więc zwykle jest niewidzialny. Ale jeśli go wywlec w nasz świat, tak jak zrobił to Thor, ukazuje się wyraźnie jak błyskawica, która też przecież przybywa do nas skądś, gdzie być może wygląda całkiem inaczej. I oczywiście mógłby się wrednie zachować, gdyby wiedział, że w Ponurym Miasteczku Mateczki Fortuny w świątek i piątek wystawia się na pokaz parę fałd jego kałduna. Ale on ani się domyśla. Ma inne sprawy na głowie niż to, co się dzieje z jego pępkiem. No więc ryzykujemy – nawiasem mówiąc, razem z wami – bo liczymy, że dalej będzie taki zrównoważony. – Ostatnie słowo przeciągnął i rozwałkował w ustach jak ciasto.

Słuchacze zaśmiali się ostrożnie.

– Pozory, nie czary – stwierdziła Jednorogini. – Ona nie umie stworzyć czegoś z niczego.

– Ani naprawdę zmienić – dodał czarodziej. – Ma smykałkę tylko do omamów. A i to byłoby za trudne dla takiej taniej jędzy, ale na jej szczęście te dudki, te pacany ochoczo wierzą, w co im najłatwiej. Nie umiałyby zmienić śmietany w masło, ale może ukazać lwa w postaci mantykory komuś, kto chce zobaczyć właśnie to monstrum, chociaż prawdziwą mantykorę wzięłby za lwa, smoka za jaszczurkę, Węża z Midgardu za trzęsienie ziemi. A jednorożca za siwą kobyłę.

Jednorogini wolno, z rozpaczą krążyła po klatce, ale nagle znieruchomiała. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że czarodziej rozumie jej mowę. Uśmiechnął się. Zauważyła, że jak na dorosłego mężczyznę twarz ma niepokojąco młodą, nie spustoszoną przez czas, nie tkniętą mądrością ani żalobą.

– Wiem, kim jesteś – powiedział. Pręty niecznie zaszemrały między sobą. Rukh prowadził gawieź w stronę wewnętrznych klatek.

– A ty? – spytała.

– Nazywają mnie Szmendryk Czarodziej. Nie mogłaś o mnie słyszeć. – Już miała mu wyjaśnić, że ktoś taki jak ona w ogóle niewiele mógł słyszeć o tym czy owym czarodzieju, lecz powstrzymała ją jakaś smętna brawura w jego głosie. – Zabawiam gapiów, kiedy się schodzą przed widowiskiem. Takie sobie hokus-pokus, zwykła iluzjonerka: kwiaty w kwity, kwity w kwoki, a w tle moje nader przekonujące brednie, no i sugestie, że gdyby mi się chciało, mógłbym czynić o wiele bardziej złowieszcze cuda. Kiepska posada, ale miewałem gorsze, a kiedyś trafi mi się lepsza. To jeszcze nie koniec.

Powiedział to jednak takim tonem, że Jednorogini poczuła się uwięziona raz na zawsze.

Znów zaczęła krążyć po klatce, byle tylko się ruszać, byle jakoś rozproszyć grozę zamknięcia, od której pękało jej serce.

Rukh stał przed prawie pustą klatką. Był w niej tylko brązowy pajaczek, który oplatał pręty skromną siecią.

– Arachne z Lidii – oznajmił przewodnik. – Najlepsza prządka na świecie, gwarantuję.

Dowodem niech będzie jej los: rywalizowała w przędzeniu z Ateną i miała tego pecha, że ją pokonała. Atena nie umiała elegancko przegrywać, no i teraz Arachne jest pajakiem, który na mocy specjalnego kontraktu tworzy wyłącznie dla Ponurego Miasteczka Mateczki Fortuny.

Wątek z płomieni, śnieżna osnowa. On wciąż się mieni, ona wciąż nowa. Arachne.

Rozpięta na krosnach z żelaznych prętów pajęczyna była prościutka i prawie bezbarwna.

Tylko czasem przemykał po niej tęczy dreszcz, gdy pajak biegł poprawić którąś nić. Lecz wlokła za sobą wzrok widzów – a także Jednorogini – tędy i owędy, coraz głębiej, aż zdawało im się, że z wysoka spoglądają w ogromne wyrwy w świecie, w czarne, rozszerzające się nieubłagane rozpadliny, jakby świat już, już miał rozpaść się na kawałki – a jednak trwał, póki wiązała go nić Arachne. Jednorogini otrząsnęła się z westchnieniem i znów zobaczyła prawdziwą pajęczynę: prościutką i prawie bezbarwną.

– Ta nie jest taka jak reszta – powiedziała.

– Owszem – niechętnie przyznał Szmendryk. – Ale żadna w tym zasługa Mateczki Fortuny. Widzisz, sam pajak wierzy. On też widzi te plecionki i zdaje mu się, że to jego robota. W tego rodzaju magii wszystko jest kwestią wiary. Przecież gdyby te półgłówki odmówiły wiedznie swojego podziwu, z całego jej czarnoksięstwa zostałyby tylko szloch pajaka. I nikt by go nie usłyszał.

Jednorogini nie chciała już więcej zaglądać w sieć. Spojrzała w stronę najbliższej klatki i raptem poczuła, że powietrze w jej płucach tężeje w zimne żelazo: na dębowej grzędzie siedziała olbrzymia stwora o ciele ptaka z brązu i twarzy jędzy, spiętej wściekle jak zabójcze szpony, którymi ścisnęła drewnianą podporę. Miała niedźwiedzie uszy, okrągłe i kosmate, a z pokrytych spizową łuską ramion

między lśniące sztylety piór spływały włosy barwy księżycowego światła, gęste i młode wokół tchnącej nienawiścią ludzkiej twarzy. Lśniła, lecz temu, kto na nią patrzył, niebo gasło w oczach. Na widok Jednorogini wydała dziwny odgłos, syk i chichot zarazem.

– Ta jest prawdziwa – rzekła Jednorogini. – To harpia Kelaino.

Twarz Szmendryka przybrała kolor owsianki.

– Stara złapała ją przypadkiem, uśpioną – szepnął. – Tak jak ciebie. Ale był to nieszczęsny traf i obie o tym wiedzą. Mateczka Fortuna jest akurat na tyle biegła, żeby utrzymać bestię w niewoli, ale sama obecność harpii dziurawi jej czary jak bańki mydlane i wkrótce Mateczka całym żarem swej mocy nie zdoła nawet usmażyć jajka. Nie powinna była tego robić. Nie powinna była porywać się na prawdziwą harpię, na prawdziwego jednorożca.

W zetknięciu z prawdą jej magia zawsze się ulatnia. Ale ona nie może się powstrzymać, więc wciąż próbuje zniewolić prawdę. Lecz tym razem...

– Siostra tęczy, wiercie – nie wiercie – ryczał Rukh do przerażonych widzów. – Imię jej znaczy „Mroczna” – ta, której skrzydła czernią niebo przed burzą. Wraz z dwiema słodkimi siostruniami omal nie zagłodziła na śmierć króla Fineusa, bo mu porywały sprzed nosa jedzenie, zanim się zdążył posilić, albo w nie paskudziły. Ale synowie Wiatru Północnego popsuli im zabawę. Prawda, ptaszynko? – Harpia milczała. Rukh w uśmiechu wyszczerzył się jak klatka. – Broniła się zacieklej niż cała ta menażeria razem wzięta. Było to tak, jakby kto próbował wszystkie moce piekieł spętać jednym włoskiem. Ale Mateczka Fortuna nawet temu podołała. Stwory z mroku na widoku. Papuzia chce papu? – Mało kto wśród gawiedzi się roześmiał. Harpia zacisnęła szpony na grzędzie, aż drewno jęknęło.

– Musisz oswobodzić się wcześniej niż ona – powiedział czarodziej. – Nie może cię zdybać w klatce.

– Nie śmiem tknąć żelaza – odparła Jednorogini. – Umiałabym rogiem otworzyć zamek, ale nie dosięgnę. Nie mogę się stąd wyrwać. – Drżała z trwogi przed harpią, lecz głos miała spokojny.

Szmendryk Czarodziej wyciągnął się wzwyż, tak że przybyło mu kilka cali więcej, niż Jednorogini wydawało się możliwe.

– Nie lękaj się – zaczął wzniośle. – Rad spowijam się aurą tajemnicy, lecz serce mam czułe.

Przerwał mu Rukh, który nadszedł ze swym orszakiem. Widzowie jakby ucichli. Nie była to już ta sama grubiańska hałastra, co wyśmiewała się z mantykory. Czarodziej czmychnął, wołając przez ramię:

– Nie bój się, Szmendryk jest z tobą! Nic nie rób, póki nie dam ci znać! – Jego głos dotarł

do uszu Jednorogini, lecz brzmiał tak cicho i tęsknie, że nie była pewna, czy go usłyszała, czy tylko

poczuła, jak ją muska.

Ściemniało się. Tłumek stał przed jej klatką i patrzył, dziwnie onieśmielony.

– Jednorożec – rzekł Rukh i odsunął się.

Słyszała łomotanie serc, wzbieranie łez, wstrzymywane oddechy, ale nikt słowem się nie odezwał. Smutek, tęsknota i słodycz w ich twarzach świadczyły, że ją poznali. Pomyślała o prababce łowcy i zadumała się, jak też to może być: zestarzeć się i płakać.

– Prawie każde widowisko na tym by się skończyło – podjął Rukh po dłuższej chwili. –

Bo i cóż można pokazać po autentycznym jednorożcu? Ale Ponure Miasteczko Mateczki Fortuny skrywa jeszcze jedną tajemnicę, demona straszliwszego niż smok, bardziej monstualnego niż mantykora, bardziej ohydneho niż harpia i mniej jednostronnego niż jednorożec. – Machnął ręką w stronę ostatniej budy. Czarne zasłony jęły się więc i rozsuwać, chociaż nikt ich nie ciągnął. – Oto ona! – krzyknął Rukh. – Ostateczność. Sam Koniec! Oto Elli!

Wewnątrz klatki było ciemniej niż w otaczającym ją zmierzchu, a chłód poruszał się za kratą jak żywe stworzenie. Wśród chłodu poruszyło się coś jeszcze i Jednorogini ujrzała Elli: koścista starowina w łańcuchach kulila się w klatce, kiwała się i grzała przy nie istniejącym ogniu. Zdawała się tak wątła, że ciemność powinna zmiążdżyć ją swym ciężarem; tak bezradna i opuszczona, że zdjęci litością widzowie powinni ruszyć na pomoc i ją uwolnić.

Tymczasem zaczęli wycofywać się milczkiem, jakby Elli skradała się za nimi. Ale nawet na nich nie patrzyła. Siedziała w ciemnościach i nuciła zgrzytliwym głosem, jakby piła cięta drzewo, a ono chyliło się do upadku:

Znów wyrośnie wyorane,

Żyje, co spłonęło,

Ocaleje zrabowane –

Co minęło, to minęło.

– Nieszczególnie się prezentuje, co? – spytał Rukh. – A jednak żaden bohater nie dotrzyma jej placu, żaden bóg nie powali, nie istnieje czar, który by ją odegnał... albo zniewolił. Bo też my jej nie więzimy. Niby ją tu wystawiamy na pokaz, ale ona tymczasem krąży wśród was, dotyka i bierze, co chce. Bo Elli to Starość.

Zięb ciągnący od tamtej klatki dosięgnął Jednorogini, a gdzie tylko tknął, tam dopadała ją słabość i choroba. Czowała, jak więdnie, jak piękno opuszcza ją wraz z oddechem. Brzydota uwiesiła się jej u grzywy, zgięła kark, wystrzępiła ogon, wychudziła ciało, wyzarła sierść i spustoszyła umysł wspomnieniem dawnej świetności. Gdzieś niedaleko rozległ się cichy, rażny okrzyk harpii, lecz

Jednorogini chętnie przycupnęłyby w cieniu spiżowych skrzydeł, byle się skryć przed tym najnowszym demonem. Piosenka Elli dalej wgrzyzała się w jej serce jak piła:

Miękkie depcą. Mrze na plaży,

Co się z dna poczęło.

Darowane rękę parzy –

Co minęło, to minęło.

Widowisko dobiegło końca. Rozchodzono się chyłkiem, ale nikt nie szedł sam, tylko zawsze parami, po kilka, kilkanaście osób. Obcy ludzie trzymali się za ręce i raz po raz odwracali głowy, żeby sprawdzić, czy Elli nie podąża ich śladem.

– Może chociaż panowie zaczekają, żeby posłuchać o satyrze? – żałośnie zawołał Rukh i pognał opieszających cierpkim skowytom śmiechu. – Stwory z mroku na widoku!

Przedzierając się przez gęstniejące powietrze minęli klatkę Jednorogini i wreszcie wyszli spomiędzy wozów. Rukh odprowadzał ich śmiechem, który brzmiał jak szczekanie, a Elli wciąż śpiewała.

„To złudzenie”, powiedziała sobie Jednorogini. „To złudzenie”, powtórzyła, i w końcu zdołała unieść śmiertelnie ciężką głowę. Zagłębiła spojrzenie w mrok ostatniej klatki i zobaczyła tam wcale nie Starość, tylko samą Mateczkę Fortuna, która przeciągając się i chichocząc gramoliła się z wozu, po staremu upiornie zwinna. Jednorogini zrozumiała, że wcale nie zbrzydła ani nie stała się śmiertelna, ale też nie od razu poczuła się równie piękna jak dawniej. „To pewnie też złudzenie”, pomyślała, zmęczona.

– Miłe zajęcie – powiedziała Mateczka Fortuna do Rukha. – Zawsze mi sprawia przyjemność. Chyba jestem urodzoną aktorką.

– Lepiej zobacz, co z tą przeklętą harpią – odparł. – Tym razem wręcz czułem, że się wydostaje. Jakbym był pętającym ją sznurem, a ona by mnie rozsypywała. – Wzdrygnął się i zniżył głos. – Pozbądź się jej – zachrypiał – nim nas roztrząśnie po niebie jak krwawe chmury. Wciąż o tym myśli. Czuję, jak o tym myśli.

– Milcz, głupcze! – W głosie wiedźmy także szalała trwoga. – Jeżeli się wydostanie, mogę zamienić ją w wiatr, w śnieg, w siedem dźwięków gamy. Ale wolę ją trzymać. Żadna wiedźma na świecie nie ma harpii w niewoli i żadna mieć nie będzie. Trzymałabym ją, choćbym musiała dzień w dzień dawać jej kawałek twojej wątroby.

– O, to miło – powiedział Rukh, lekko się odsuwając. – A gdyby chciała tylko twojej? Co byś zrobiła?

– Tak czy owak dałabym jej twoją. Nie połapałaby się. Harpie nie są takie znowu bystre.



Starucha sunęła od klatki do klatki, samotna w świetle księżycy, kołatała zamkami i szturchała swój zaklęty inwentarz, tak jak gospodyni maca melony na targu. Kiedy doszła do wozu z harpią, potwór wydał dźwięk ostry niczym dzida i rozpostarł przed wiedźmą straszliwy przepych swych skrzydeł. Jednorogini miała wrażenie, że pręty klatki zaczynają wić się i płynąć niby strugi deszczu, lecz Mateczka Fortuna pstryknęła patykowatymi palcami i oto stał znów była stałą, a harpia siedziała na grzędzie i czekała.

– Jeszcze nie – powiedziała wiedźma. – Jeszcze nie pora. – Wpatrywały się w siebie identycznymi oczami. – Jesteś moja. Choćbyś mnie zabiła, jesteś moja. – Harpia ani drgnęła, ale chmura zgasła księżyc. – Jeszcze nie pora – powtórzyła czarownica i zwróciła się do Jednorogini. – No i co? – zagadnęła słodkim, przydymionym głosem. – Napędziłam ci strachu, prawda? – Jej śmiech brzmiał, jakby węże spieszenie pełzły przez szlam. Podeszła wolnym krokiem. – Cokolwiek by twierdził twój kolega czarodziej, jakiś tam talencik chyba mieć muszę. Tak omamić jednoroźca, żeby poczuł się stary i szpetny? Do tego trzeba bodaj co nieco umieć. A ten czar, co pęta Mroczną, jest może wart trzy grosze? Żadna wiedźma przede mną...

– Nie pusz się, starucho – przerwała Jednorogini. – Twoja śmierć siedzi w tamtej klatce i wszystko słyszy.

– Owszem – spokojnie odparła Mateczka Fortuna. – Ale wiem chociaż, gdzie jest. A ty swoją tropiłaś na gościńcu. – Znów się roześmiała. – O niej też zresztą wiem, gdzie jest. Ale oszczędziłam ci spotkania z nią i winnaś mi za to wdzięczność.

Zapominając, gdzie się znajduje, Jednorogini napała pierśią na pręty. Nie cofnęła się, choć ją zabolalo.

– Czerwony Byk – powiedziała. – Gdzie znajdę Czerwonego Byka?

Mateczka Fortuna podeszła do samej klatki.

– Czerwony Byk Króla Nędzora – wymamrotała. – Czyli wiesz już o Byku. – Pokazała dwa zęby. – No cóż, nie dostanie cię. Jesteś moja.

Jednorogini potrząsnęła głową. – Bądź rozsądna – powiedziała łagodnie. – Wypuść harpię, póki czas, i mnie także. Zatrzymaj te swoje biedne cienie, jeśli chcesz, ale nam pozwól odejść.

Nieruchome dotąd oczy wiedźmy buchnęły tak dzikim blaskiem, że jakieś szemrane towarzystwo ciem księżycówek, które właśnie ruszało na nocną hulankę, frunęło prosto w jej źrenice i spiekło się na śnieżny popiół.

– Prędzej całkiem zerwałabym z estradą – warknęła. – Wlec się przez wieczność, taszcząc te strachy własnej roboty... myślisz, że o tym marzyłam, kiedy byłam młoda i zła? Myślisz, że dobrowolnie wybrałam te nędzne gusła, karmione ludzką głupotą, bo nigdy nie zaznałam prawdziwego czarnoksięstwa? Płatam psie i małpie figle, bo nie mogę dotrzeć do samej esencji, ale wiem, na czym polega różnica. A ty mi mówisz, żebym wyrzekła się twojego widoku, bliskości twojej mocy?

Słyszałaś, jak powiedziałam Rukhowi, że pasłabym harpię jego wątroba, gdybym nie miała innego wyjścia. A żeby ciebie zatrzymać, wzięłabym Szmendryka, tego twojego przyjaciela, i, i... – Z wściekłości zaczęła bełkotać i w końcu zamilkła.

– Skoro już mowa o wątrobach – powiedziała Jednorogini. – Za cenę cudzej wątroby nigdy nie uda ci się prawdziwy czar. Musisz wyrwać własną i nie liczyć, że ją odzyskasz.

Prawdziwe czarownice to wiedzą.

Parę ziarenek piasku stoczyło się z szelestem po policzku Mateczki Fortuny, bo więdmy tak właśnie płaczą. Odwróciła się i szybko poszła do swojego wozu, ale jeszcze raz się obejrzała, rozdziawiając w uśmiechu szczerbate rumowisko.

– A jednak cię zwiodłam, i to podwójnie – oświadczyła. – Naprawdę myślałaś, że bez mojej pomocy poznali się na tobie? Musiałam nadać ci taki wyraz, żeby te gapy pojęły, kim jesteś, i wyczarować róg, który byłby dla nich widzialny. Takie to już czasy, że bez jarmarcznej więdmy naród nie doceni prawdziwego jednorożca. Lepiej już zostań u mnie jako namiastka, bo inaczej tylko Czerwony Byk się na tobie pozna.

Skryła się w wozie, a harpia wypuściła księżyc zza chmur.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Szmendryk wrócił tuż przed świtem, przemykając między klatkami cicho jak woda.

Tylko harpia odezwała się, kiedy ją mijał.

– Nie mogłem wcześniej się wyrwać – powiedział. – Zasadziła Rukha, żeby mnie pilnował, a on prawie wcale nie sypia. Ale zadałem mu zagadkę, a zawsze mija cała noc, nim rozwiąże. Następnym razem opowiem mu kawał, to będzie miał zajęcie na tydzień.

– Cięży na mnie urok – rzekła Jednorogini, zszarzała i odrętwiała. – Czemu mnie nie uprzedziłeś?

– Myślałem, że wiesz – odparł łagodnie. – Bo czy cię nie zastanowiło, że się na tobie poznali? – Uśmiechnął się i przez chwilę wyglądał odrobinę starzej. – Nie, skądże. Przecież nie może cię to dziwić.

– Jeszcze nigdy nie bylam zauroczona – powiedziała. Wstrząsnął nią przeciągły, przenikliwy dreszcz. – Nie istniał dotąd świat, w którym by mnie nie znano.

– Wiem, co czujesz – skwapliwie rzekł Szmendryk. Popatrzyła nań z głębi mrocznych, przepastnych oczu, a on uśmiechnął się nerwowo i spojrział na własne ręce. – Mało kogo biorą za tego, kim jest. Świat roi się od fałszywych ocen. Popatrz, ja natychmiast rozpoznałem w tobie jednorożca i wiem, że dobrze ci życzę. A ty masz mnie za błazna, gbura, może zdrajcę, i taki być muszę, skoro tak mnie widzisz. Czar, który na tobie spoczywa, jest jedynie czarem, więc pryśnie, gdy tylko się uwolnisz.

Ale na mnie rzuciłaś urok fałszu i w twoich oczach już zawsze będzie mnie on obciążał. Nieczęsto tym jest człek, co ma w twarzy, a rzadziej tym, co mu się marzy. Alem o jednoroźcach słyszał, że gdy świat świtał, nim czas się zadyszał, rozpoznawały bez ochyby, gdzie diament gra, gdzie brzęczą szyby, czy z serca żal, czy śmiech na niby.

W miarę jak niebo jaśniało, jego cichy głos nabierał mocy. Przez chwilę Jednorogini nie słyszała, jak skowyczą pręty klatki ani jak harpia podzwania skrzydłami.

– Chyba naprawdę dobrze mi życzysz – powiedziała. – Pomożesz mi?

– Jeśli nie tobie, to już nikomu – odparł czarodziej. – Jesteś moją ostatnią nadzieją.

Smutne zwierzaki Ponurego Miasteczka budziły się po kolei, skomlać, kichając i otrząsając się. Jednemu nocą śniły się skały, owady i delikatne liście; drugiemu, że sady wielkimi susami wśród wysokich traw rozgrzanych słońcem; trzeciemu błoto i krew. Jeszcze innemu przyśniła się ręka, która podrapała go w to stęsknione miejsce za uchem. Tylko harpia nie spała, a teraz siedziała wpatrzona w słońce i ani mrugnęła.

– Jeżeli pierwsza się oswobodzi, to koniec z nami – rzekł Szmendryk. Nieopodal odezwał

się Rukh, którego głos zawsze zresztą dobiegał z niedaleka:

– Szmendryk! Hej, Szmendryk! To imbryk do kawy, zgadłem?

Czarodziej zaczął odsuwać się od klatki.

– Dziś w nocy – szepnął do Jednorogini. – Zaufaj mi do brzasku.

Pobiegł niezgrabnie, łopocząc opończę, i znowu coś jakby po nim zostało. Rukh długimi susami minął klatkę, depcząc mu po piętach. Schowana w czarnej budzie Mateczka Fortuna zrzędlawie mrucała śpiewkę Elli:

Można cofnąć każdy ruch.

Kres poczyna dzieło.

Żadnej prawdy nie zna dwóch –

Co minęło, to minęło.

Wkrótce świeży zaciąg widzów zaczął niemrawo schodzić się do Miasteczka.

– Stwory z mroku! – zwoływał ich Rukh głosem żelaznej papugi. Szmendryk stał na skrzyni i wyczyniał rozmaite sztuczki. Jednorogini przyglądała mu się z wielką ciekawością i coraz mniejszą wiarą – nie w jego serce, lecz w kunszt. Ze świńskiego ucha zrobił całą świnię; skamienił kazanie; zmienił szklanekę wody w garść wody, piątkę pik w dwunastkę pik, a królika w złotą rybkę, która

zaraz utonęła. Ilekroć wyczarował kolejny galimatias, zerkał na Jednoroginię, jakby mówił: „Ty przecież wiesz, co naprawdę zrobiłem”. Raz zmienił zwiędłą różę w ziarno i ta akurat sztuczka spodobała się Jednorogini, choć wyszło na jaw, że to ziarno rzodkiewki.

Znów zaczęło się widowisko. Rukh raz jeszcze poprowadził gapiów od jednej do drugiej biednej bajdy Mateczki Fortuny. Smok buchał ogniem. Cerber wył, wzywając piekielnej odsieczy, a satyr kusił kobiety, aż się popłakały. Widzowie zerkali z ukosa na żółte kły i nabrzmiące żądło mantykory, wytykając ją palcami; zamierali w bezruchu na myśl o Wężu z Midgardu i dziwowali się nowej pajęczynie Arachne, w którą księżyc wplątał się jak w rybacką sieć. Wszystkim się zdawało, że sieć jest prawdziwa, lecz tylko pająk wierzył, że to prawdziwy księżyc ocieka w niej wodą.

Tym razem Rukh nie opowiedział o królu Fineusie i Argonautach, tylko czym prędzej przepędził całą wycieczkę obok klatki z harpią i ledwie bąknął, jak potwór ma na imię i co ono znaczy. Harpia uśmiechnęła się. Nie zauważył tego nikt prócz Jednorogini, a i ona pożałowała, że akurat nie spojrzała gdzie indziej.

Kiedy przed jej własną klatką widzowie stanęli w cichym zapatrzaniu, pomyślała z goryczą: „Mają takie smutne oczy. Ciekawe, o ile jeszcze by posmutnieli, gdyby rozwiązał się czar, który mnie maskuje, a im pozostałoby tylko gapić się na zwykłą siwą klacz? Ma rację wiedźma – nikt by mnie nie poznał”. Lecz jakiś głos wewnętrzny, trochę podobny do głosu Szmendryka Czarodzieja, szepnął w niej: „Ale oczy mają takie smutne”.

Gdy zaś Rukh zaskrzeczał: „Oto Sam Koniec!”, a czarne kotary rozsunęły się, odsłaniając Elli, bełkoczącą w chłodzie i mroku, Jednoroginię ogarnął ten sam bezradny lęk przed starością, który zmuszał tłum do ucieczki, choć już wiedziała, że w ostatniej klatce siedzi tylko Mateczka Fortuna. „Ta jędza wie więcej, niż jej się zdaje”, pomyślała.

Noc zapadła szybko – może dlatego, że harpia ją nagliła. Słońce utonęło w brudnych chmurach niby kamień w morzu i jakby tak samo nieodwołalnie. Nie świecił księżyc ani gwiazdy. Mateczka Fortuna posuwistym krokiem ruszyła w obchód. Kiedy podeszła do harpii, a ta ani drgnęła, stara przystanęła i długo w nią się wpatrywała.

– Jeszcze nie – szepnęła wreszcie. – Jeszcze nie pora. – Powiedziała to jednak ze znużeniem i zwątpieniem. Zerknęła w stronę Jednorogini, łyskając w lepkim mroku żółtymi oczami. – No, jeszcze jeden dzień – ni to westchnęła, ni to zaskrzeczała, i odeszła.

Kiedy znikła, w Miasteczku zapanowała cisza. Spały wszystkie zwierzęta prócz pająka, który prządl, i harpii, która czekała. Ale noc napinała się ze zgrzytem, aż Jednorogini poczuła, że lada chwila ciemność pęknie na pół, jakby puścił szew biegnący przez całe niebo, i odsłoni... Jeszcze więcej krat”, pomyślała. „Gdzież ten czarodziej?” Nadbiegł wreszcie spiesząc wśród ciszy, wirując i tańcząc jak kot na mrozie, potykając się o cienie. Radośnie skłonił się przed Jednoroginią i dumnie oświadczył:

– Szmendryk jest z tobą.

Z sąsiedniej klatki dało się słyszeć drapieżne drżenie spiżu.

– Mamy chyba bardzo niewiele czasu – powiedziała Jednorogini. – Naprawdę będziesz umiał mnie uwolnić?

Uśmiechnął się i poweselał aż po czubki bladych, posępnych palców.

– Mówiłem ci, że wiedźma popełniła trzy poważne błędy – rzekł. – To, że cię uwięziła, było trzecim, a pojmanie harpii drugim, bo obie jesteście prawdziwe i Mateczka Fortuna nie może mieć was na własność, tak jak nie mogłaby przedłużyć zimy ani o dzień. Ale że mnie, właśnie mnie wzięła za podobnego sobie szarlatana, to było jej pierwsze i zgubne szaleństwo.

Bo ja też jestem prawdziwy. Jam Szmendryk Czarodziej, ostatni z linii płomiennych joginów.

I jestem starszy, niż na to wyglądam.

– Gdzie tamten? – spytała Jednorogini.

Szmendryk zakasywał rękawy.

– Nie zawracaj sobie nim głowy. Zadałem mu zagadkę, która w ogóle nie ma rozwiązania. Biedny Rukh może już nigdy nie ruszy się z miejsca.

Pstryknął palcami i wyrzekł trzy kanciaste słowa. Klatka znikła, a Jednorogini znalazła się w gaju, wśród cytryn i pomarańczy, grusz i granatów, migdałowców i akacji. Pod kopytami czuła miękką, wiosenną ziemię, a nad głową rozległe niebo. Z sercem lekkim jak dym sprężyła się do wielkiego susa w słodką noc, lecz odczekała, aż ten niedoszły skok rozejdzie jej się po kościach, bo choć nie widziała prętów, była pewna, że tkwią na miejscu.

Za długo żyła na świecie, żeby tego nie wiedzieć.

– Przykro mi – dobiegł ją z ciemności głos Szmendryka. – A tak chciałem, żeby cię wyzwolił ten właśnie czar.

Zanucił cicho i oziębło. Dziwne drzewa rozwiały się jak puch dmuchawca.

– To pewniejsze zaklęcie – oznajmił czarodziej. – Pręty są teraz kruche jak zgłiwiały ser, a ja go miażdżę i roztrącam, tak oto. – Raptownie wciągnął powietrze i cofnął dłonie. Z

długich palców kapą mu krew. – Widocznie pomyliłem akcent – rzekł ochryple i schował

ręce pod oponczą. – Cóż, moc raz jest, raz jej nie ma – dodał, siłąc się na niefrasobliwy ton.

Zazgrzytały krzemienne wykrzykniki, pokrwawione dłonie Szmendryka zamigotały na tle nieba. Jakieś szare stworzenie podobne do niedźwiedzia, ale większe, przykuśtykało szczerząc zęby z błotnistym rechotem, gotowe rozłupać klatkę jak orzech i wyłuskać szponami szczątki jednoroźca.

Szmendryk kazał mu zawrócić w noc, ale nie posłuchało.

Jednorogini cofnęła się w kąt i pochyliła głowę. Wtem harpia poruszyła się nieznacznie w swojej klatce, dzwoniąc skrzydłami. Szary stwór zwrócił ku niej to, co zapewne było łbem, a ujrawszy ją zagulgotał ze zgrozy i pierzchł.

Czarodziej klął i dygotał.

– Już raz go przywołałem, dawno temu. Wtedy też nie umiałem nim pokierować –

przyznał. – Teraz oboje zawdzięczamy życie harpii, a ona może jeszcze się o nie upomnieć, nim słońce wzejdzie. – Umilkł. Czekaając, aż Jednorogini coś powie, wykręcał sobie pokaleczone palce.

– Spróbuję jeszcze raz – rzekł wreszcie. – Mam spróbować?

Jednorogini zdawało się, że wciąż widzi, jak noc wre tam, gdzie znikł szary stwór.

– Próbuj – powiedziała.

Szmendryk głęboko odetchnął, splunął trzy razy i wyrzekł słowa, które zadźwięczały jak podmorskie dzwony. Posypał plwocinę garścią jakiegoś proszku i uśmiechnął się z triumfem, gdy bezszelestnie wzniósł się nad nią obłoczek dymu i mignął zielony błysk. Kiedy zgasł, czarodziej dodał jeszcze trzy słowa, brzmiące jak bzyczenie pszczół na księżycu.

Klatka zaczęła się kurczyć. Jednorogini nie zauważyła, żeby pręty się ruszały, lecz ilekroć Szmendryk powtórzył: „Och, nie!”, czuła, że znów ma trochę mniej miejsca. Nie mogła już się obrócić. Pręty zbliżały się bezlitośnie jak przypływ lub świt, żeby werznąć się w nią aż do serca, zakratować jej i uwięzić na wieki. Nie krzyknęła, kiedy na wezwanie Szmendryka przybył wyszczerzony stwór, teraz jednak dał się słyszeć jej głos, nikły i zrotpaczony, lecz jeszcze nie uległy.

Szmendryk powstrzymał pręty, choć Jednorogini nigdy się nie dowiedziała, jak tego dokonał. Jeśli wymówił jakieś zaklęcie, ona go nie słyszała, ale klatka przestała się kurczyć –

zaledwie o włos od niej. Jednorogini czuła każdą sztabę z osobna niczym miauczący z głodu zimny powiew, lecz żelazo nie mogło jej dotrzeć.

Czarodziejowi opadły ręce.

– Już nie mam odwagi – rzekł zgnębiony; – Następnym razem mogłoby mi się nie udać...

– dodał cichnącym żałościem głosem. Jego oczy tak samo jak ręce uznały swoją klęskę. –

Czarownica wcale się co do mnie nie pomyliła.

– Spróbuj jeszcze raz – powiedziała Jednorogini. – Przecież dobrze mi życzysz. Spróbuj jeszcze raz.

Ale on z gorzkim uśmiechem grzebał po kieszeniach za czymś, co szczekało i brzęczało.

– Wiedziałem, że tak to się skończy – mruknął. – Marzyło mi się co innego, ale od razu wiedziałem. – Wyciągnął kółko, na którym dyndało kilka zardzewiałych kluczy. – Powinien ci służyć wielki mag, ale będziesz musiała niestety zadowolić się pomocą drugorzędnego kieszonkowca. Jednorożce są ponad głód, niesławę, pazerność, trwogę. Lecz jam śmiertelny, więc łapię, co mogę. A Rukh potrafi się skupić tylko na jednej rzeczy na raz.

Jednorogini uświadomiła sobie nagle, że w Ponurym Miasteczku nie śpi ani jedno zwierzę; były cicho, ale nie spuszczały z niej oczu. W sąsiedniej klatce harpia zaczęła wolno przestępować z nogi na nogę.

– Spiesz się – powiedziała Jednorogini. – Spiesz.

Szmendryk dobierał klucz do zamka, który głośno z niego drwił, a choć po pierwszej nieudanej próbie zamilkł, już pod następnym kluczem wrzasnął głosem Mateczki Fortuny:

– Ho, ho, a to mi czarodziej! To mi dopiero czarodziej!

– Bodajś zsiniała – wymamrotał Szmendryk, ale Jednorogini poczuła, że się zarumienił.

Wiercił kluczem w zamku, aż ten po raz ostatni chrząknął ze wzgardą i w końcu puścił.

Czarodziej pchnął drzwi, a gdy stanęły otworem, rzekł łagodnie.

– Zstąp na ziemię, pani. Jesteś wolna.

Lekko zeszła na murawę, a Szmendryk cofnął się z nagłym zdumieniem.

– Och! – szepnął. – Inaczej było, kiedy dzieliły nas kraty. Jesteś mniejsza i nie taka... Oj.

Ojej.

Znalazła się w swoim lesie, szerniałym, zmokłym i zmarniałym przez to, że tak długo jej tam nie było. Ktoś wołał ją z daleka, ale ona była u siebie w lesie, rozgrzewała drzewa i budziła trawę ze snu. Wtem usłyszała głos Rukha, jakby łódź zazgrzytała dnem po żwirze:

– Dobra, Szmendryk, poddaję się. Co ma kruk wspólnego z biurkiem?

Jednorogini ukryła się w najgłębszym cieniu. Rukh zobaczył tylko czarodzieja i pustą, skurczoną klatkę. Szybko włożył rękę do kieszeni i zaraz ją stamtąd wyjął.

– Ty chudy łachudro – rzekł z żelaznym uśmiechem. – Przecież ona cię nawlecze na drut kolczasty i zrobi harpii naszyjnik. – Odwrócił się i ruszył prosto do wozu Mateczki Fortuny.

– Uciekaj – powiedział czarodziej. Rozpaczliwym, bezsensownym susem spadł Rukhowi na kark i

omotał go długimi rękami, odbierając mu głos i wzrok. Upadli razem, ale Szmendryk pierwszy się pozbierał i kolanami przygwoździł do ziemi ramiona przeciwnika.

– Drut kolczasty, akurat – sapnął. – Ty kupo kamieni, ty śmieciu, ty ruino, wypcham cię nieszczęściem, aż ci oczami wyjdzie. Zamienię twoje serce w zieloną trawę, a wszystko, co kochasz, w owcę. Zrobię z ciebie kiepskiego poetę nękanego snami. Tak cię urządzę, że ci powrastają paznokcie u nóg. Nie trzeba było ze mną zadzierać.

Rukh potrząsnął głową i usiadł, ciskając Szmendrykiem na dziesięć stóp.

– Co ty wygadujesz? – parsknął. – Przecież nie umiesz zmienić śmietany w masło.

Czarodziej już wstawał, ale Rukh pchnął go z powrotem na ziemię i usiadł na nim.

– Właściwie to nigdy cię nie lubiłem – powiedział słodko. – Nadymasz się, a wcale nie jesteś taki silny. – Jego dłonie zwarły się na gardle Szmendryka ciężko jak noc.

Jednorogini tego nie widziała, bo właśnie stała przy najdalszej klatce, w której płaszczyła się mantykora, warcząc i skomląc. Czubkiem rogu trąciła zamek i nie oglądając się za siebie poszła do klatki smoka. Oswobodziła wszystkie stwory po kolei: satyra, Cerbera, Węża z Midgardu. Gdy poczuły wolność, ulotniły się z nich zaklęcia i oto znów stały się lwem, małpą, krokodylem, rozradowanym psem, i pognały, poczłapały, popęzły w noc. Żadne nie podziękowało Jednorogini, a ona też nie patrzyła, jak odchodzą.

Tylko pająk nie zareagował, kiedy zawołała go cicho przez otwarte drzwi. Arachne zajęta była siecią, bo widziała w niej Drogę Mleczną, proszącą jak śnieg.

– Prządko, wolność jest lepsza, wolność jest lepsza – szepnęła Jednorogini, ale pająk uganiał się w tę i z powrotem po stalowych krosnach, nie słysząc, nie ustając, nawet gdy krzyknęła:

– Arachne, to rzeczywiście bardzo piękna robota, ale jeszcze nie dzieło sztuki!

Nowa sieć ściekała z prętów śnieżycą.

Wtem zerwał się wichur. Pajęczyna smagnęła Jednoroginię po oczach i znikła. To harpia bijąc skrzydłami ją przywoływała swą moc, tak jak kuląca się fala z rykiem zgarnia z plaży piach i wodę. Przekrwiony księżyc wyskoczył spośród chmur i Jednorogini ujrzała ją, wezbraną złościście: strugi włosów tliły się, a zimne skrzydła w powolnym ruchu wstrząsały klatką. Harpia się śmiała.

W cieniu klatki Jednorogini klęczeli Rukh i Szmendryk. Czarodziej ścisnął w garści ciężki pęk kluczy, a Rukh mrugał i rozcierał sobie głowę. Na widok wschodzącej harpii niemal oślepli ze zgrozy. Pod naporem wichru pochyłili się ku sobie, a przy którymś raptownym podmuchu zderzyli, aż im zadzwoniło w kościach.

Jednorogini ruszyła w stronę klatki z harpią. Szmendryk Czarodziej otwierał i zamykał



usta, maleńki i blady, a ona nie słysząc ni słowa wiedziała, że krzyczy piskliwym głosem:

– Zabije cię! Zabije cię! Uciekaj, głupia, póki siedzi w zamknięciu! Zabije cię, jeśli ją uwolnisz.

Lecz Jednorogini podążała za blaskiem własnego rogu, aż stanęła przed Mroczną.

Lodowate skrzydła zawisły na chwilę w powietrzu bezgłośnie jak chmury, a żółte, stare ślepia zatopiły wzrok w jej sercu i przyciągnęły ją bliżej. „Zabiję cię, jeśli mnie uwolnisz”, mówiły. „Uwolnij mnie”.

Jednorogini pochyliła głowę i rogiem dotknęła zamka. Drzwi nie otworzyły się, pręty nie stopniały w gwiazdną poświatę, lecz gdy harpia uniosła skrzydła, wszystkie cztery ściany klatki z wolna rozchyliły się i rozpadły niby płatki wielkiego kwiatu, który budzi się nocą, i oto spośród rumowiska z dzikim wrzaskiem wybijała Kelaino, straszna i swobodna, a włosy jej kołysały się jak miecz. Księżyc zwiądl i pierzchl. Jednorogini usłyszała własny krzyk – nie grozy, lecz zdumienia:

– Och, jesteś taka jak ja!

Wychodząc naprzeciw pikującej harpii radośnie stanęła dęba i wbiła róg we wznieconą jej skrzydłami wrażą wichurę. Harpia natarła, chybiła i odfrunęła, szczękając lotkami i zionąc ciepłym, cuchnącym oddechem. Płoneła nad głową Jednorogini, ta zaś widziała swe odbicie w spiżowej piersi i czuła bijący od własnego ciała blask skrzydlatej bestii. Krążyły wokół

siebie jak podwójna gwiazda i oprócz nich dwóch nie było nic prawdziwego pod skurczonym niebem. Harpia śmiała się rozkosznie, a jej ślepia przybrały barwę miodu. Jednorogini wiedziała, że tamta znów uderzy.

Kelaino złożyła skrzydła i runęła jak gwiazda, lecz nie na jednorożca, tylko gdzieś dalej.

Przemknęła tak blisko, że jedno pióro zadrasnęło bark Jednorogini, aż popłynęła krew.

Błyszczące szpony sięgnęły po serce Mateczki Fortuny, a czarownica rozcapierzyła spiczaste palce jakby na powitanie.

– Nie same! – zawyła z triumfem. – Same nigdy byście się nie wydostały! Trzymałam was!

A potem harpia jej dopadła i czarownica złamała się jak zeschnięty patyk. Potwór przycupnął, kryjąc jej ciało, i brąz skrzydeł zalał się czerwienią.

Jednorogini odwróciła się od nich. Tuż obok słyszała dziecięcy głosik, który kazał jej uciekać, natychmiast uciekać. Mówił to czarodziej. Oczy miał ogromne i puste, a jego twarz –

zawsze zbyt młoda – z każdą chwilą coraz głębiej osuwała się w dzieciństwo.

– Nie – odparła Jednorogini. – Chodź ze mną.

Harpia stęknęła z satysfakcją, aż czarodziejowi zmiękły kolana. Ale Jednorogini powtórzyła: „Chodź ze mną”, i razem odeszli z Ponurego Miasteczka. Nie było księżycy, lecz Szmendryk w niej samej widział księżyc – zimny, blady, pradawny – przyświecający w drodze do ocalenia, a może do obłędu. Szedł za nią i nie obejrzał się nawet wtedy, gdy usłyszał rozpaczliwą szamotaninę i szuranie ciężkich stóp, łomot spiżowych skrzydeł i urwany nagle wrzask Rukha.

– No widzisz, uciekał – powiedziała Jednorogini. – Przed nieśmiertelnymi nie wolno uciekać, bo to tylko zwraca ich uwagę. – Jej głos brzmiał miękko i bezlitośnie. – W żadnym razie nie uciekaj. Idź wolno, udając, że myślisz o czym innym. Zaśpiewaj piosenkę, powiedz wiersz, rób te swoje sztuczki, ale idź wolno, to może za nami nie polecą. Idź bardzo wolno, czarodzieju.

I tak noga za nogą uchodzili przez noc – wysoki mężczyzna w czerni i białe rogate zwierzę. Czarodziej szedł tak blisko Jednorogini, jak tylko śmiał, bo poza kręgiem jej blasku snuły się zgłodniałe cienie, echa zniszczenia, które harpia siała w Ponurym Miasteczku, choć nie bardzo było tam co niszczyć. Lecz inny dźwięk aż do rana odprowadzał ich obcą drogą, gdy tamte dawno już umilkły: cichuteńki, oschły szloch pająka.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Czarodziej długo płakał, nim zdołał przemówić – całkiem jak noworodek.

– Biedna stara – szepnął w końcu, a kiedy Jednorogini nic nie powiedziała, wyprostował się i jakoś dziwnie na nią spojrział. Zaczynał padać szary, poranny deszcz, w którym jaśniała jak delfin.

– Nie – odpowiedziała na jego spojrzenie. – Nie potrafię żałować.

Szmendryk milczał. Skulony przy drodze coraz szczelniej owijał się przemoczoną opończę, aż wreszcie zaczął wyglądać jak złamany czarny parasol. Jednorogini czekała, czując, że wszystkie przeżyte dotąd dni padają wokół niej wraz z deszczem na ziemię.

– Mogę się smucić – dodała miękim tonem. – Ale to nie to samo.

Czarodziej spojrział na nią po raz drugi dopiero wtedy, gdy zapanował wreszcie nad własną twarzą, która zresztą i tak co chwila usiłowała wymknąć mu się spod kontroli.

– Dokąd teraz pójdziesz? – zapytał. – Dokąd zmierzałaś, zanim cię stara pojmała?

– Szukałam swoich braci – odrzekła. – Widziałeś ich może kiedyś, czarodzieju? Są podobni do mnie, dzicy i biali jak spienione morze.

Szmendryk z powagą pokręcił głową. – Nigdy nie widziałem nikogo takiego jak ty, przynajmniej nie na jawie – oświadczył. – Za moich chłopięcych lat było was ponoć jeszcze trochę, ale znałem tylko jednego człowieka, który widział raz jednorożca. Na pewno wyginęły. Jedynie ty ocalałaś, o pani.

Stąpając budzisz echo ich kroków.

– Nieprawda – zaprzeczyła. – Są tacy, co je widzieli. – Ucieszyła się, że w czasach tak niedawnych jak dzieciństwo czarodzieja były jeszcze jednorożce. – Pewien motyl opowiedział mi O Czerwonym Byku, a wiedźma wspomniała o Królu Nędzorze. Pójdę więc do swoich braci, gdziekolwiek są, i dowiem się wszystkiego, co już wiedzą. Powiesz mi, gdzie króluje Nędzor?

Rysy twarzy czarodzieja znów prawie się zbuntowały, jakoś jednak je okiełznał i zaczął

się uśmiechać, ale bardzo wolno, jakby miał usta z żelaza. Zdołał nadać im kształt uśmiechu, lecz był on naprawdę żelazny.

– Powiem ci wiersz – oświadczył.

Gdzie wzgórza chude są niby noże,

Gdzie nic nie wschodzi: słońce ni zboże,

A w sercach gorycz jak piwo grzane –

Tam Nędzor panem.

– Więc gdy tam pójdę, poznam, że jestem na miejscu – odparła Jednorogini, przekonana, że z niej zakpił. – Znasz może jakiś wiersz o Czerwonym Byku?

– Nie ma o nim wierszy. – Czarodziej wstał, blady i uśmiechnięty. – A o Królu Nędzorze wiem tylko tyle, ile zasłyszałem. To starzec, skąpy jak schyłek listopada. Włada jałową nadmorską krainą. Powiadają, że nim tam nastał, była to ziemia gościnna i kwitnąca. Zwiędła, ledwie ją tknął. O polu, które zniszczył pożar, wichura albo szarańcza, wieśniacy mówią:

„spustoszone jak serce Nędzora”. Chodzą słuchy, że na zamku nigdy się nie świeci, nie pali się w piecach, a król każe swoim ludziom kraść w mieście kury, pościel i pasztety z parapetów. Legenda głosi, że ostatnio roześmiał się, kiedy...

Jednorogini tupnęła.

– Z kolei o Czerwonym Byku wiem jeszcze mniej, niż zasłyszałem, bo obito mi się o uszy wiele sprzecznych wersji. Byk jest prawdziwy, Byk jest duchem, Byk to sam Nędzor po zachodzie słońca. Był tam przed Nędzorem, przybył razem z nim albo do niego. Chroni go od najazdów i przewrotów, oszczędza mu wydatków na uzbrojenie załogi. Więzi go w jego własnym zamku. Byk to diabeł, któremu Nędzor zaprzedał duszę. Byk to właśnie zapłata za duszę Nędzora. Byk należy do króla. Król należy do Byka.

Jednoroginię przeszedł dreszcz: poczuła, że narasta w niej pewność, jakby kręgi fal rozchodziły się po wodzie. Znów zadzwieczał jej w pamięci cieniutki głosik motyla: *Dawno temu przebiegły*

*drogami całego świata, a Czerwony Byk sadził tuż za nimi i zdeptywał ich ślady.* Ujrzała, jak rycząca wichura porywa białe kształty, jak drżą żółte rogi.

– Pójdę tam – oświadczyła. – Uwolniłeś mnie, czarodzieju, więc muszę ci się odwdziżyć. O co poprosisz, zanim cię opuszczę?

Podłużne oczy Szmendryka lśniły jak liście w słońcu.

– Weź mnie ze sobą – rzekł.

Odsunęła się, chłodna i roztańczona, ale nie odpowiedziała.

– Mogę ci się przydać – ciągnął czarodziej. – Znam drogę do kraju Nędzora. Znam tamtejszy język. Znam języki ludów, które będziesz mijała.

Jednorogini gotowa już była zniknąć w lepkiej mgłę, więc dodał pośpiesznie:

– Żaden podróżnik, choćby nawet był jednorożcem, nie stracił jeszcze na tym, że towarzyszył mu czarodziej. Przypomnij sobie, jak to Nikos, mag nad magami, zobaczył w lesie jednorożca, który spał z głową na łonie rozchichotanej dziewicy, a trzech myśliwi skradali się z napiętymi łukami, żeby go ubić i zdobyć róg. Nikos nie miał chwili do stracenia.

Słowem i gestem zmienił jednorożca w przystojnego młodzieńca, który zaraz się zbudził, a widząc zaskoczonych łuczników, stojących z rozdziawionymi ustami, rzucił się na nich i wszystkich pozabijał. Miecz miał kręty, zwężający się ku końcowi. Ciała stratował.

– A dziewczyna? – spytała Jednorogini. – Czy ją także uśmiercił?

– Nie, ożenił się z nią. Powiedział, że to jeszcze dziecko, zagubione, skłócone z rodziną, i że w gruncie rzeczy potrzebny jest jej tylko odpowiedni mężczyzna. A mężczyzną był i pozostał do końca życia, bo nawet Nikos nie zdołał mu przywrócić dawnej postaci. Umarł

jako czcigodny starzec, podobno od nadmiaru fiołków. Nigdy nie mógł dość ich się nawąchać. Małżeństwo było bezdzietne.

Opowiadanie to uwięzło Jednorogini w krtani.

– Czarodziej nie oddał mu przysługi, lecz wyrządził wielką krzywdę – powiedziała cicho.

– Jakże by to było straszne, gdyby wszystkie jednorożce zostały ucłowieczone przez życzliwych czarodziejów, wygnane, uwięzione w płonących domach. Wolałabym się dowiedzieć, że pozabijał je Czerwony Byk.

– Tam, dokąd się wybierasz – odrzekł Szmendryk – spotkasz głównie wrogów, i może pewnego dnia stwierdzisz, że przyjaźń – nawet głupca – jest kojąca jak woda. Weź mnie ze sobą, dla żartu, na szczęście, na dobre i złe. Weź mnie ze sobą.

Gdy to mówił, pomału ustał deszcz, zaczęło się przejaśniać i mokra trawa zaświeciła jak wnętrze muszli. Jednorogini odwróciła wzrok od czarodzieja, próbując wypatrzeć jednego jedyne króla w całej ich chmarze, poprzez roziskrzoną zawieję zamków i pałaców dostrzec zamczysko wzniesione na barkach byka.

– Nigdy jeszcze z nikim nie wędrowałam – powiedziała – ale też nikt dotąd nie trzymał

mnie w klatce, nie wziął za siwą klacz ani nie kazał udawać samej siebie. Zdaje się, że całe mnóstwo rzeczy koniecznie chce mi się przytrafić pierwszy raz. Ta wspólna podróż nie będzie najdziwniejszą z nich ani ostatnią. Chodź więc ze mną, chociaż wolałabym, żebyś poprosił o inną nagrodę.

Uśmiechnął się smętnie. – Zastanawiałem się nad tym – rzekł, patrząc na własne palce.

Jednorogini dostrzegła półkoliste ślady w miejscach, gdzie ukąsiły go pręty. – Ale mojego najgłębszego pragnienia spełnić nie możesz.

„Zaczyna się”, pomyślała. „I tak to już zostanie, póki będę podróżować ze śmiertelnym”.

– Nie – odparła. – Nie mogę zrobić z ciebie kogoś, kim nie jesteś, jak i wiedźma nie mogła. Nie zrobię z ciebie prawdziwego czarodzieja.

– Nie liczyłem na to – powiedział Szmendryk. – Nie szkodzi. Nie przejmuj się.

– Wcale się nie przejmuję – rzekła Jednorogini.

\* \* \*

Zaraz pierwszego dnia pewien samczyk sójki na ich widok zniżył lot i wrzasnął:

– A niech mnie wypchają i wsadzą pod klosz!

Pofrunął prosto do domu, żeby wszystko opowiedzieć żonie, która siedziała w gnieździe i ze straszliwą monotonią nuciała sójczętom:

Muchy, pająki, żuki i bąki,

Kleszcze spod krzaka i łątki z łąki,

Świerszcze, ślimaki, sztuka po sztuce

W dziobki wnet z wola sumiennie wam zwrócę.

Papu i kaku i lululibajda.

Fruwać to wcale nie taka znów frajda.

– Widziałem Jednoroginię – oznajmił samczyk, gdy tylko wylądował.

– Ale kolacji nie widziałeś – zimno odparła jego żona. – Nie cierpię, kiedy mężczyzna mówi z pustymi ustami.

– Ależ, skarbie. – Samczyk skakał po gałęzi, mniej zblazowany niż zazwyczaj. – Nie widziałem jednorozca, odkąd...

– Nigdy nie widziałeś jednorozca – przerwała mu. – To ja, poznajesz? Już ja wiem, coś ty w życiu widział, a czego nie.

Samczyk nie zwracał na nią uwagi.

– Był z nią jakiś dziwny osobnik ubrany na czarno – trajkotał. – Szli przez Kocią Górę.

Ciekawe, czy idą do kraju Nędzora. – Przekrzywił łebek, przybierając tę samą malowniczą pozę, którą niegdyś podbił serce swej obecnej małżonki. – To dopiero śniadanko dla starego dziadygi – rozmarzył się. – Jednorozec jak na zamówienie, rogata dusza, stuk-puk w złowieszcze wierzeje. Dałbym nie wiem co, żeby być przy tym, kiedy...

– Chyba nie spędziliście całego dnia obserwując we dwójkę jednorozce – wpadła mu w słowo, trzaskając dziobem. – Przynajmniej ona uchodziła dawniej za osóbkę, której w sprawach rozrywek nie brak wyobraźni. – Natarła na niego ze zjeżoną kryzą.

– Ależ, kotku, w ogóle z nią się nie widziałem – zaczął, a choć samiczka była pewna, że powiedział prawdę i że nigdy nie odważyłby się spotkać z jej rywalką, tak czy owak raz mu przyłożyła. Kto jak kto, ale ona umiała wykorzystać lekką przewagę moralną.

\* \* \*

Jednorogini i czarodziej przemierzali wiosenny krajobraz, aż po łagodnym zboczu Kociej Góry zeszli w dolinę pełną fiołków i jabłoni. Po drugiej jej stronie wznosiły się pagórki: tłuste i potulne jak owce, zniżały zdumione łby i obwąchiwały przechodzącego jednorozca. Potem zaczęły się ospałe letnie wyżyny i spieczone równiny, nad którymi powietrze wisiało, połyskliwe jak cukierki. Para wędrowców przeprowiała się przez rzeki, wdrapywała na porośnięte ciernistymi chaszczami skarpy i urwiska, przemierzała puszcze, które przypominały Jednorogini o jej rodzinnym lesie, choć nie mogły być takie jak on, znały bowiem czas. „Mój las też już go zna”, myślała Jednorogini, mówiąc sobie, że to nic, bo gdy tylko wróci, wszystko będzie jak dawniej.

Nocą Szmendryk spał snem głodnego, zdrożonego czarodzieja, a ona czekała, aż Czerwony Byk przycwałuje z księżycą, przytłaczająco ogromny. Chwilami owiewał ją zapach, który musiał pochodzić od niego: mroczny, podstępny odór przekradał się przez noc, szukając właśnie jej. Zrywała się z zimnym okrzykiem wyzwania – tylko po to, żeby ujrzeć stadko jeleni, które wpatrywały się w nią z szacunkiem, z dystansu, bo jednorozce budzą w jeleniach uwielbienie i zawiść. Raz jakiś roczniak podbechtany przez psotnych kolegów podszedł całkiem blisko i wymamrotał, nie patrząc jej

w oczy:

– Jesteś bardzo piękna. Właśnie taka, jak mówiły nasze mamy.

Patrzyła nań w milczeniu, wiedząc, że młodzik nie oczekuje odpowiedzi. Pozostałe jelenie chichotały i szeptały:

– Powiedz jej resztę! No, mów!

Jelonek uniósł łeb i wykrzyknął z radosnym pośpiechem:

– Ale znam kogoś jeszcze piękniejszego!

Odwrócił się i pomknął w świetle księżyca, a koledzy za nim. Jednorogini znów się położyła.

Ileć w wypadło im iść przez wieś lub miasteczko, Szmendryk przedstawiał się jako wędrowny czarodziej i nawołując po ulicach obiecywał „powróżyć za łyżkę stawy, ponaprzykrzać się odrobinę, ciut, ciut zakłócić dobrym ludziom sen i pójść dalej”. Rzadko się zdarzało, żeby nie znalazł się nocleg dla czarodzieja i miejsce w stajni dla jego pięknej siwej klaczy. W zamian za to popisывał się na rynku przy świetle latarni, póki dzieci nie poszły spać. Kazał lalkom mówić, przemieniał mydło w migdały, nie porywając się na poważniejsze czary, bo nawet te drobne kuglarstwa raz po raz wymykały mu się z rąk. Ale dzieci go lubiły, rodzice ugaszczali kolacją, a letnie wieczory były łagodne, ustępliwe. Jednorogini na długie wieki zapamiętała dziwny, czekoladowy zapach stajen i cień czarodzieja, tańczący w skocznym świetle po ścianach, drzwiach i kominach.

Gdy rankiem ruszali w drogę, Szmendryk miał zwykle pełne kieszenie chleba, sera i pomarańczy. Jednorogini stąpała u jego boku, w blasku słońca biała jak morze, jak morze zielona w cieniu drzew. O sztuczkach Szmendryka zapominano, nim on sam znikł za horyzontem, lecz jego siwa klacz niejednemu wieśniakowi spędzała sen z powiek. Niektórym kobietom śniła się po nocach, aż budziły się zapłakane.

Pewnego wieczoru zatrzymali się w zażywnym, przytulnym miasteczku, w którym nawet żebracy mieli podwójne podbródki, a myszom brzuchy wlokły się po ziemi. Burmistrz wraz z gronem co okrągłych rajców natychmiast zaprosił Szmendryka na kolację. Jednoroginię jak zwykle wzięto za siwą klacz i wypuszczono na pastwisko porośnięte trawą słodką jak mleko. Ucztować miano pod gołym niebem, na rynku, bo noc była ciepła, a burmistrz chciał

się popisać gościem. Potrawy podano wyśmienite.

Przy kolacji Szmendryk snuł opowieści z życia wędrownego wieszczka, faszerując je królami, smokami oraz szlachetnymi damami. Nie tyle kłamał, ile nadawał zdarzeniom nieco bardziej sensowny bieg, więc jego historie nawet dla nie w ciemną bitych rajców miały posmak prawdy. I nie tylko rajcy, lecz także przechodnie wszelkich stanów pochyłali się z uwagą, pragnąc pojąć istotę zaklęcia, które przy odpowiednim zastosowaniu zdolne jest otworzyć każdy zamek. A już widok blizn

na palcach czarodzieja wszystkim po prostu zaparł.

– Pamiątka po spotkaniu z harpią – beznamiętnie wyjaśnił Szmendryk. – Te bestie gryzą.

– A nigdy się nie bałeś, panie? – spytała jakaś młoda dziewczyna. Burmistrz syknął

karcąco, ale czarodziej zapalił cygaro i uśmiechnął się do niej poprzez kłęby dymu.

– Strach i głód pozwoliły mi zachować młodość – odparł. Potoczył wzrokiem po drzemiących rajcach, którym burczało w brzuchach, i beczelnie mrugnął do dziewczyny.

Burmistrz wcale się nie obraził.

– Racja – westchnął, pieszcząc splecionymi palcami dopiero co spożyty posiłek. –

Całkiem godziwie nam się tu żyje, chyba że nie wiem, czym jest godziwy żywot. Czasem nawet myślę sobie, że trochę strachu, trochę głodu może by nam dobrze zrobiło...

podszlifowałoby dusze, by tak rzec. Toteż zawsze radzi witamy przybyszów, którzy mają co opowiedzieć i wyśpiewać. Poszerzają nasz światopogląd... zwracają spojrzenie ku wnętrzu... –

Ziewnął, przeciągnął się i zagulgotał.

Wtem któryś rajca zawołał:

– Rety, spójrzcie no na łąkę!

Ociężałe głowy obróciły się na chwiejnych szyjach i wszyscy zobaczyli, że krowy, owce i konie zbiły się w gromadę w najdalszym rogu pastwiska i stoją zapatrzone w klacz czarodzieja, która spokojnie skubie chłodną trawę. Zwierzęta milczały jak duchy, nawet świnię i gęsi nie hałasowały. Gdy w oddali zakrakala wrona, jej głos poniósł się wśród zmierzchu jak samotna drobinka popiołu.

– Niesłychane – rzekł burmistrz półgłosem – Doprawdy niesłychane.

– Tak, rzeczywiście – zgodził się Szmendryk. – Gdybym wam powiedział, ile mi za nią dawano...

– Najciekawsze – powiedział ten rajca, który pierwszy zauważył, co dzieje się na łące –

że one chyba wcale jej się nie boją. Raczej oddają hołd, zdjęte nabożnym lękiem.

– Widzą to, co wyście już widzieć zapomnieli. – Czarodziej zdążył tymczasem wypić swoją miarkę burgunda, a dziewczyna patrzyła nań oczami słodszyimi i mniej przepastnymi niż oczy Jednorogini. Walnął szklanicą w stół i rzekł do uśmiechniętego burmistrza:

– To istota bardziej niespotykana, niż waści się roi. To żywy mit, wspomnienie, błędny ogon. Błotny ognik. Kto pamięta, kto pragnie...



Przerwał mu tętent kopyt i zgiełk dzieciarni. Na plac wgalopowało z wyciem i śmiechem kilkunastu jeźdźców odzianych w łachmany w barwach jesieni, roztrącając mieszczan jak kręgle. Zaczęli kłusować gęsiego wokół rynku, obalając wszystko, co stało im na drodze, wrzeszcząc, chełpiąc się nie wiadomo czym i wyzywając do walki nie wiadomo kogo. Jeden uniósł się w strzemionach, napiął łuk i zestrzelił kurka z kościelnej iglicy. Drugi ściągnął

Szmendrykowi kapelusz z głowy, wbił go na własną i rycząc pojechał dalej. Niektórzy poprzewieszali sobie przez siodła rozwrzeszczane dzieci. Inni zadowolili się kanapkami i bułkami z winem. Z ich kudłatych pysków łyskały dzikie ślepie, a śmiech brzmiał jak łoskot bębnow.

Pulchny burmistrz nie stracił rezonu, tylko zaczekał, aż spotka się wzrokiem z głównym zabijaką, a wtedy uniósł brew. Jeździec pstryknął palcami i od razu konie znieruchomiały, a obszarpańcy ucichli jak miejscowa trzoda wobec jednorożca. Ostrożnie pozsadzali dzieci z koni i zwrócili większość bułek.

– Jack Brzęk, bądźże łaskaw – spokojnie rzekł burmistrz.

Przywódcą – olbrzymie chłopisko, siedem stóp wzrostu bez mała – zsiadł z konia i wolno podszedł do stołu. Przy każdym jego kroku rozlegał się szczęk i pobrzękiwanie kółek, dzwonek i bransolet przyszytych do połatanego kaftana.

– Brywieczór, wasza miłość – prychnął szorstko.

– Załatwmy, co mamy do załatwienia – powiedział burmistrz. – Nie rozumiem tylko, czemu nigdy nie możecie wjechać do miasta spokojnie, jak cywilizowani ludzie.

– Oj, wasza miłość, chłopcy nie mają złych zamiarów – dobrotliwie zagderał wielkolud. –

Po całych dniach siedzą zaszyty w krzaczorach, to muszą sobie czasem pofolgować. Należy im się mała, jak to mówią, *katharsis*. No, ale do rzeczy. – Wyjął zza pasa chudą sakiewkę i wdychając wetknął ją burmistrzowi w otwartą dłoń. – W ręce waszej miłości. Dużo tego nie jest, ale więcej nie wyłuskamy.

Burmistrz wysypał monety na dłoń i jął trącać je tłustym palcem, pochrząkując.

– Rzeczywiście niewiele – sarknął. – Już miesiąc temu daliście mi ledwo na otarcie łez, a tym razem jeszcze mniej. Nędzna z was szajka i tyle.

– Ciężkie czasy – ponuro odrzekł Jack Brzęk. – Nie nasza wina, że podróżni mają nie więcej złota niż my sami. Jak to mówią, nie wyciśniesz z rzepy krwi.

– A właśnie, że wycisnę – powiedział burmistrz. Zmarszczył się okrutnie i pogroził

pięścią olbrzymiemu zbójcy. – Jeśli zatrzymujecie sobie koszyczkowe, jeśli moim kosztem porastacie w piórka, to was ścisnę, kochasiu, zetrę na proch i puszcę go z wiatrem. Zabieraj mi się stąd i

powtórz to swojemu kapitanowi, temu oberwańcowi. Precz, łotry!

Jack Brzęk odwrócił się, mrużąc pod nosem, ale Szmendryk chrząknął i rzekł z wahaniem:

– Poprosiłbym o zwrot kapelusza.

Olbrzym spojrział na niego oczami przekrwionymi jak u bawołu i nic nie powiedział.

– Kapelusz – domagał się czarodziej nieco pewniejszym tonem. – Zabrał mi go jeden z waszych ludzi. Mądrze zrobi, jeśli odda.

– Mądrze? – prychnął wreszcie Jack Brzęk. – A coś ty za jeden, że wiesz, co mądre?

W oczach Szmendryka też jeszcze musowało wino.

– Nazywam się Szmendryk. Czarodziej i lepiej mi się nie narażać – oświadczył. – Jestem starszy, niż wyglądam, i wcale nie taki dobroduszny. Kapelusz, mówię.

Jack Brzęk przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, po czym wrócił do swojego konia i dosiadł go, ledwie podnosząc nogę. Podjechał do stołu i zatrzymał się nie więcej niż o grubość brody od Szmendryka.

– Aha – zagrzmał. – Jak taki z ciebie czarodziej, to weź mi pokaż jakąś sztuczkę. Niech mi nos zzielenieje albo zniknie broda, niech mi naleci śniegu w juki. Bierz się do roboty albo bierz nogi za pas. – Wyciągnął zardzewiały sztylet, złapał go za czubek ostrza i pomachał nim od niechcienia, złowieszczo pogwizdując.

– Czarodziej jest moim gościem – ostrzegł burmistrz wstając z miejsca, ale Szmendryk rzekł uroczyście:

– Niech się stanie. Na twoją głowę.

Zerknął kątem oka, czy dziewczyna na niego patrzy, i wskazując palcem czeredę łapserdaków rechoczących za plecami prowadzycy powiedział coś do rymu. Jego czarny kapelusz wyrwał się z ręki i cicho jak sowa popłynął w mroczniejącym powietrzu. Dwie kobiety zemdlały, a burmistrz usiadł. Zabijacy krzyknęli dziecinnymi głosikami Czarny kapelusz przeleciał nad całym rynkiem, aż do poidła dla koni. Tam zniżył lot, zanurzył się i nabrał wody. Poszybował z powrotem, ledwie widoczny wśród cieni, celując prosto w nie mytą głowę Jacka Brzęka. Ten zasłonił ją rękami, mamrocząc:

– Nie, nie, weź go zawołaj!

Nawet jego własni ludzie chichotali z nadzieją. Szmendryk uśmiechnął się zwycięsko i pstryknął palcami, żeby popędzić kapelusz. Lecz gdy ten zbliżył się do wielkoluda, skręcił i łagodnym, a potem ostrzejszym łukiem pofrunął w stronę stołu. Burmistrz ledwie zdążył

zerwać się z miejsca, nim kapelusz wygodnie usadowił mu się na głowie. Szmendryk w porę zrobił unik, ale najbliższych siedzących rajców trochę opryskało.

Wszyscy ryknęli śmiechem, choć nie wszyscy równie ochoczo. Burmistrz bulgotał i pluł, a czarodziej usiłował wytrzeć go obrusem. Jack Brząk pochylił się i nie zsiadając z konia porwał Szmendryka zza stołu.

– Bisów to chyba nie będzie – ryknął mu prosto w ucho. – Lepiej zabieraj się z nami. –

Przewiesił go przez siodło twarzą do dołu i pogalopował, a nie kąpani kompani za nim. Tętent wkrótce ucichł, lecz echo ich prychnięć, parsknięć i beknięć długo jeszcze niosło się po rynku.

Mieszczanie zbiegli się i zaczęli dopytywać, czy mają ruszyć w pogoń i uwolnić czarodzieja, lecz burmistrz pokręcił mokrą głową i rzekł:

– Nie widzę potrzeby. Jeśli nasz gość jest tym, za kogo się podaje, sam sobie poradzi. A jeśli nie – no cóż, szalbierz, który wykorzystał naszą gościnność, nie ma prawa oczekiwać pomocy. Nie, nie zwracamy sobie głowy.

Choć strugi wody ciekły mu po policzkach, łączyły się z potokami spływającymi z szyi i wpadały do rzeki, w którą zamienił się gors koszuli, zwrócił niewzruszone spojrzenie ku pastwisku, gdzie siwa klacz czarodzieja świeciła w ciemnościach, bezszelestnie kłusując wzdłuż ogrodzenia.

– Chyba warto zatroszczyć się o tego rumaka, skoro nasz nieobecny przyjaciel tak wysoko go sobie cenił – spokojnie rzekł burmistrz, po czym kazał dwóm ludziom schwytać klaczkę i odprowadzić do najsolidniejszego boksu w jego własnej stajni.

Lecz nim słudzy dotarli do bramy pastwiska, siwa klacz przesadziła płot i znikła wśród nocy niby spadająca gwiazda. Oni zaś długo jeszcze stali jak wryci, choć pan kazał im wracać. I nigdy (nawet między sobą) nie mówili o tym, czemu tak uparcie patrzyli w ślad za nią. Zdarzało im się jednak w najpoważniejszych okolicznościach parskać śmiechem, toteż w końcu zyskali sobie miano wartogłowów.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Z całej tej szalonej jazdy ze zbójcami Szmendryk pamiętał potem tylko wiatr, kant siodła i śmiech olbrzyma obwieszzonego brząkadłami, zbyt bowiem był pogrążony w rozmyśleniach nad finałem sztuczki z kapeluszem. „Zgubiło mnie gadulstwo. Nadmiar dobrych chęci”.

Rzucił parę takich hipotez, wnet jednak pokręcił głową, choć w tej pozycji nie przyszło mu to łatwo. „Czar wie, czego chce”, pomyślał objając się o siodło, gdy koń dawał susa przez strumień. „A ja nigdy tego nie wiem. Jeśli nawet czasem mi się zdarzy, to nie w porę.

Napisałbym do niego, gdybym znał adres”.

Gałęzie drapały go po policzkach, a sowy pohukiwały prosto w uszy. Konie z galopu przeszły w kłus i w stępa. Ktoś zawołał drżącym dyszkantem:

– Stój! Podać hasło!

– A niech to szlag – mruknął Jack Brzęk. Podrapał się po głowie, wydając przy tym odgłos podobny do zgrzytu piły, i odparł: – Żywot krótki a wesoły pośród lubej puszczy zieleni. Ochocza brać zgrana, wolności oddana.

– Odwadze – poprawił go dyszkant. – Odwadze oddana. Ważna jest aliteracja.

– Dziękuję. Odwadze oddana. Brać zgrana... nie, to już było. – Żywot krótki a wesoły, ochocza brać... nie, to nie tak. – Znów podrapał się po głowie i stęknął: – No weźże mi pomóż!

– Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego – usłużnie odpowiedział tamten. – Dasz radę dalej?

– Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego... Mam! – wrzasnął olbrzym. – Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, w kupie nam nikt bobu nie zada. A kto chodzi samopas, temu biada.

Dał koniowi ostrogę i ruszył naprzód.

Strzała bzyknęła w ciemnościach, odcięła mu czubek ucha, drasnęła konia pod następnym zbójcą i jak nietoperz zapadła w mrok. Zbójcy rozpierzchli się wśród drzew, a Jack Brzęk ryknął wściekle:

– A bodajś oślepi! Przecież podałem hasło, i to z dziesięć razy! Niech no ja cię dopadnę...

– Po twoim wyjeździe zmieniliśmy hasło – wyjaśnił strażnik. – Stare trudno było spamiętać.

– Aha, zmieniliście? – rzekł Jack Brzęk, próbując zatamować krew połą opończy Szmendryka. – A niby skąd miałem wiedzieć, ty ptasi mózdzku, barani łbie, ośla głowo?

– Nie wściekaj się, Jack – pojednawczo odparł strażnik. – Właściwie nie szkodzi, że nie znasz nowego hasła, bo jest całkiem proste. Odpowiadasz głosem żyrafy i tyle. Sam kapitan to wymyślił.

– Odpowiadam głosem żyrafy. – Olbrzym jął miotać takie klątwy, że nawet konie zaczęły w końcu wiercić się z zakłopotania.

– Ty jełopie! Przecież żyrafa w ogóle nie ma głosu! Równie dobrze mógł wymyślić, żebyśmy odpowiadali głosem ryby albo motyla.

– Tak, ale w ten sposób nikt nie zapomni hasła, nawet ty. Spryciarz z naszego kapitana, co?

– Przechodzi sam siebie – z zadumą rzekł Jack Brzęk. – Ale czekaj no, niby dlaczego leśnik albo któryś z królewskich nie ma odpowiedzieć głosem żyrafy?

– Aha – zachichotał strażnik. – Na tym dowcip polega: odpowiada się trzy razy. Dwa długie, jeden

krótki.

Jack Brzęk w milczeniu rozcierał sobie ucho.

– Dwa długie, jeden krótki – westchnął po chwili. – No, to i tak jeszcze nie największa głupota. Przecież kiedyś wymyślił, że w ogóle ma nie być hasła, i kazał strzelać do każdego, kto odpowie. Dwa długie, jeden krótki. Rozumiem.

Ruszył dalej przez las, a zbójcy za nim.

Gdzieś z przodu słychać było ludzkie głosy, mruczące ponuro jak obrabowana barć.

Kiedy podjechali bliżej, Szmendrykowi wydało się, że rozróżnia wśród nich głos kobiety.

Poczuł na policzku ciepło bijące od ognia, podniósł głowę i rozejrzał się. Zatrzymali się na niewielkiej polanie. Z tuzin chłopów siedziało wokół ogniska, sarkając i utyskując, a w powietrzu wisiał swąd przypalonej fasoli.

Rudy piegus w nieco okazalszych łachmanach niż reszta wyszedł im na spotkanie.

– No, co tam, Jack? – spytał. – Wieziesz nam kompana, czy ofiara to pojmana? Dolej wody do zupy, skarbie. Mamy gościa – zawołał do kogoś przez ramię.

– Sam nie wiem, co on za jeden – zagrział Jack Brzęk. Zaczął opowiadać o burmistrzu i kapeluszu, nim jednak doszedł do momentu, gdy runęli gromem na miasto, wpadła mu w słowo chuda kobieta, która przedarła się przez krąg mężczyzn i krzyknęła głosem ostrym i cienkim jak cierń:

– Wykluczone, Kiep! Zupa i tak nie jest gęściejsza niż pot! – Twarz miała bladą i kościstą, oczy bure, włosy koloru zwiędłej trawy. – A co to za długachna pokraka? – spytała, patrząc na Szmendryka jak na jakieś paskudztwo przylepione do podeszwy buta. – Na pewno nie mieszczanin. Nie podoba mi się. Poderżnąć mu czarodziej.

Szmendryk sam zgadł, że się przesłyszał, bo kobieta nie powiedziała „czarodziej”, tylko

„gardziel”, ale i tak poczuł się, jakby mokre wodorosty spłynęły mu po krzyżu. Zsunął się z konia i stanął przed hersztem.

– Jestem Szmendryk Czarodziej – przedstawił się, wymachując połamami opończy, żeby się chociaż trochę wzdęła. – Czyżbym miał przyjemność ze słynnym Kapitanem Kiepem, władcą zielonych borów, śmiałkiem nad śmiałkami, najswobodniejszym spośród wolnych duchów?

Niektórzy zbójcy zarechotali szyderczo, a kobieta jęknęła:

– Tego się właśnie spodziewałam. Rozplataj go, Kiep, od ciemienia po sumienie, nim cię urządzi tak jak poprzedni.

Lecz kapitan skłonił się dumnie, ukazując na czubku głowy łysinę w kształcie malutkiego wiru, i odparł:

– Jam ci jest. Kto dla mej głowy rusza na łowy, napotka wroga w kniei progach, lecz kto by we mnie rad widział druha, tego z ochotą wysłucham. Jak tu przybyłeś, panie?

– Na brzuchu – wyjaśnił Szmendryk – i nie po dobrowoli, ale w przyjaznych zamiarach.

Chociaż waścina połowica mi nie dowierza – dodał, wskazując chudą kobietę, która w odpowiedzi splunęła.

Kapitan Kiep uśmiechnął się i ostrożnie objął jej kościste ramiona.

– Och, taka już ona jest, ta nasza Molly Grue – powiedział. – Strzeże mnie lepiej niż ja sam. Jestem hojny i łatwy w obejściu, może do przesady. Podać pomocną dłoń każdemu uciekinierowi spod jarzma despoty, oto moja dewiza. Cóż więc dziwnego, że Molly zwiędła i przedwcześnie się postarzała, zrobiła się nieufna, chmurna, a nawet sama stała się poniekąd despotką. Kolorowy balon nie obejdzie się bez supła, prawda, kochanie? Ale to poczciwa kobiecina, poczciwa na wskroś. – Kobieta wzruszyła ramionami, strącając jego dłoń, lecz on ani na nią spojrział. – Jesteś waść u nas miłym gościem, mości czarowniku – rzekł do Szmendryka. – Siądź przy ogniu i uracz nas swą opowieścią. Co o mnie mówią w twym kraju? Cóżeś słyszał o dzielnym Kapitanie Kiepie i jego drużynie wolnych strzelców?

Poczęstuj się pierożkiem.

Szmendryk usiadł przy ogniu, uprzejmie wymówił się od lodowatej przekąski i powiedział:

– Słyszałem, że jesteś przyjacielem bezbronnych, a wrogiem wielmożów, że ze swą wesołą drużyną wiedziesz w lesie radosny żywot, rabując bogaczy i wspierając ubogich.

Znam historię o tym, jak ty i Jack Brzęk porozbijaliście sobie pałkami czerepy i w ten sposób zawarliście braterstwo krwi. I jak uchroniłeś Molly przed małżeństwem z bogatym starcem, którego wybrał dla niej ojciec. – Szmendryk wprawdzie dopiero co dowiedział się o istnieniu Kapitana Kiepa, ale niezłe orientował się w anglosaskim folklorze i znał ten typ. – No i oczywiście – zaryzykował – był pewien niegodziwy król...

– Nędzor, mór i ruina na jego dwór! – zakrzyknął Kiep. – Nie ma wśród nas takiego, co by nie zaznał krzywd od starego Króla Nędzora, nie był przezeń wygnany z rodowych ziem, pozbawiony dostojeństw i danin, wyzuty z ojcowizny. Wszyscy tu żyją myślą o zemście –

zapamiętaj me słowa, czarodzieju – i pewnego dnia Nędzor spłaci dług...

Kilka kudłatych cieni syknęło potakująco, lecz śmiech Molly Grue spadł na zbójców jak grzechoczący, kłujący grad.

– Może i spląci – zadrwiła kobieta. – Ale na pewno nie takim bojaźliwym pyskaczom jak wy. Jego zamek murszeje i chwieje się z każdym dniem coraz bardziej, jego ludzie to starcy, którzy nawet stojąc w miejscu ledwo dźwigają pancerz, a jednak Nędzorz wiecznie będzie rządził i żaden Kapitan Kiep nic mu nie zrobi.

Szmendryk uniósł brew, a Kiep poczerwieniał jak rzodkiewka.

– Zrozum waść – wymamrotał. – Król Nędzorz mą tego swojego Byka...

– Ach, Czerwony Byk, Czerwony Byk! – wzgardliwie zawołała Molly. – Wiesz co, Kiep, spędziłam z tobą w lesie długie lata i doszłam do wniosku, że Byk to tylko przydomek, który nadałeś własnemu tchórzostwu. Jeśli jeszcze raz każesz mi słuchać tych bujd, pójdę i sama obalę starego Nędzora, i okaże się, że jesteś zwykłym...

– Dosyć! – ryknął Kiep. – Nie przy obcych!

Szarpnął za miecz, a Molly nie przestając się śmiać rozwarła ramiona jak na powitanie.

Wokół ogniska spocone dłonie zaciskały się na rękojeściach sztyletów, a długie łuki zdawały się same napinać, ale Szmendryk wtrącił się do rozmowy, żeby uratować resztki próżności Kapitana Kiepa. Nie cierpiał scen małżeńskich.

– W moim kraju śpiewają o waści balladę – zaczął. – Nie pamiętam słów...

Kapitan Kiep błyskawicznie się obrócił, niby kot polujący z zasadzki na własny ogon.

– Którą? – spytał.

– Nie wiem – przyznał Szmendryk, zaskoczony. – A jest więcej niż jedna?

– O, pewnie! – zawołał Kiep, promieniejąc i nadymając się, jakby duma dosłownie go rozsadzała. – Miły Willie! Miły Willie! No, gdzież ten chłopak?

Wyrostek o włosach prostych jak druty przywłókł się z lutnią i pryszczami.

– Zaśpiewaj gościowi o którymś z moich czynów – rozkazał mu Kiep. – Najlepiej o tym, jak wstąpiłeś do mojej drużyny. Nie słyszałem tej ballady od zeszłego wtorku.

Minstrel westchnął, wziął akord i zaczął drżącym kontratenorem:

Kapitan Kiep właśnie z łowów powracał

Z ubitym królewskim rogaczem.

Wtem widzi, że jakiś blady młodzieniec

Legł pośród łąk i płacze.

„Cóż to, ach, cóż to, mój piękny młodzianie?

Coć boli, że wzdychasz i jęczysz?

Czyliś postradał nadobną swą damę?

A może to świóbr cię żałńczy?”

„Nijak nie żałńczy, cokolwiek to znaczy,

I w ogóle świóbr mnie nie łamie.

Lecz za przyczyną rodzonych trzech braci

Tonę w żalu po nadobnej damie”.

„Jam Kiep, nieulękłych śmiałków kapitan.

W puszczy posłuch mam spory.

Jeśli uwolnię tę damę nadobną,

Jakie mi oddasz honory?”

„Jeśli uwolnisz tę damę nadobną,

Pod moją pięścią trzaśnie ci szczęka.

Lecz na jej szyi zielenił się szmaragd

I za nim to tęsknię, aż serce mi pęka”.

Zachodzi kapitan do trójki rabusiów,

A miecz jego tańczy, śpiewa i płonie.

„Daruję wam dziewczkę, lecz kamień zabiorę,

Bo winien się znaleźć w królewskiej koronie”.

– Teraz będzie najlepsze – szepnął Kiep do Szmendryka. Skrzyżował ręce na piersi i z animuszem podskakiwał w miejscu.

Trzy płaszcze opadły, trzy nagie miecze



Świszcza jak czajnik, co nuci swą śpiewkę,

„Skoro tak – rzecze Kiep – to klnę się, że wezmę Nie tylko kamień, ale i dziewczkę”.

I gdy raz ich pogonił, to już potem gnał

Jak stado baranów, tam i sam...

– Sam – sapnął Kiep. Przez pozostałych siedemnaście zwrotek kołysał się, nucił, parował

przedramieniem pchnięcia trzech mieczy, w takiej ekstazie, że nie zauważał kpin Molly ani zniecierpliwienia swoich ludzi. Kiedy ballada wreszcie się skończyła, Szmendryk głośno i szczerze bił brawo: pochwalił też Miłego Williego za świetną technikę prawej ręki.

– To tak zwana przebierka Alana-a-Dale – wyjaśnił minstrel i gotów był rozwinąć temat, ale Kiep mu przerwał.

– Dobrześ się spisał, Willie, porządny z ciebie chłopak, a teraz zagraj resztę. – Aż pojaśniał na widok miny Szmendryka, która wedle najlepszych chęci czarodzieja miała wyrażać miłe zaskoczenie.

– Jak już wspomniałem, ułożono o mnie wiele pieśni. Ściśle mówiąc, trzydzieści jeden.

Wprawdzie kolekcja Childa chwilowo nie obejmuje żadnej z nich... – Wtem rozszerzyły mu się oczy i chwycił czarodzieja za ramiona. – Waśc chyba nie jesteś Child? On ponoć często wyprawia się na poszukiwanie ballad, przebrany za zwykłego człowieka... Szmendryk pokręcił głową.

– Nie, doprawdy, szalenie mi przykro.

Kapitan westchnął i puścił go.

– Trudno – szepnął. – Oczywiście człowiek się ludzi, wciąż jeszcze się ludzi, że go skatalogują, zweryfikują, skomentują, stworzą warianty, a nawet zaczną wątpić w jego autentyczność... no, mniejsza z tym. Willie, zaśpiewaj resztę pieśni, synku. Musisz ćwiczyć, żebyś był w formie, jak cię kto wreszcie zechce nagrać w plenerze.

Zbójcy sarkali, szurali nogami, kopali kamyki. Z bezpiecznego cienia ktoś ryknął

ochryple:

– Nie, Willie, zaśpiewaj balladę z prawdziwego zdarzenia. Najlepiej o Robin Hoodzie.

– Który to powiedział? – Kiep obracał się w koło, trzaskając w pochwie na wpeł wyciągniętym mieczem.

– Ja – rzekła Molly, choć to nie ona powiedziała. – Ludzi nudzą już ballady o twoim męstwie, miły

kapitanie. Nawet jeśli sam je wszystkie napisałeś, niczego to nie zmienia.

Kiep skrzywił się i ukradkiem zerknął na Szmendryka.

– Ale chyba i tak mogą ujść za pieśni ludowe, prawda, panie Child? – spytał półgłosem, mocno zaniepokojony. – No bo w końcu...

– Nie jestem Child – zapewnił go Szmendryk. – Daję słowo.

– Przecież naprawdę dramatycznych wydarzeń nie można pozostawić ludowym twórcom.

Zawsze wszystko przekręca.

Spośród zgrai ostrożnie wysunął się podstarzały hultaj w wystrzępionych aksamitach.

– Kapitanie – powiedział. – Skoro już musimy słuchać ludowych pieśni, bo chyba nie mamy innego wyjścia, niech to będzie prawdziwa ballada o prawdziwych zbójcach, a nie o tym naszym żełganym życiu. Bez obrazy, kapitanie, ale my wcale tak znów bardzo się nie weselimy...

– Ja tam się wesele dwadzieścia cztery godziny na dobę, Strojny Dicku – zimno odparł

Kiep. – Zapewniam cię.

– Ani nie dajemy biednym, cośmy skradli bogaczom – z pośpiechem ciągnął Strojny Dick. – Okradamy biedaków, bo nie umieją się bronić, a przynajmniej mało który umie, za to bogacze nas skubią, bo mogliby nas w jeden dzień wytluc do nogi, gdyby tylko zechcieli. Nie łupimy na trakcie burmistrza, tego chciwego grubasa. Co miesiąc płacimy mu haracz, żeby dał nam spokój. Nie porywamy dumnych biskupów, nie podejmujemy ich wystawnie ani nie zabawiamy, kiedy siedzą u nas w niewoli, bo Molly nie umie gotować, a zresztą taki biskup po prostu by się z nami nudził. Kiedy w przebraniu wybieramy się na jarmark, nie zwyciężamy w strzelaniu z łuku ani w walce na pałki. Ot, chwałą nas, żeśmy się ładnie przebrali, i tyle.

– Wysłałam raz kobierzec na konkurs – przypomniała sobie Molly. – Zajął czwarte miejsce. Nie, piąte. To był czuwający rycerz. Tamtego roku wszystkie dziewczyny tkwały czuwających rycerzy. – Zaczęła nagle trzeć oczy zrogowaciałymi napięstkami. – Niech cię szlag – powiedziała do Kiepa.

– No co, no co?! – zachnął się kapitan. – Moja wina, że przestałaś tkąć? Ledwo poczułaś, że masz chłopa w garści, zaniedbałaś wszystkie talenty. Nie szyjesz ani nie śpiewasz, od lat nie iluminowałaś rękopisu... A gdzie podziałaś tę violę da gamba, którą ci dałem? Ależ ona się zaniedbała! – powiedział do Szmendryka. – Całkiem jakbyśmy byli po ślubie.

Czarodziej ledwie dostrzegalnie skinął głową i umknął przed jego spojrzeniem.

– A naprawianie krzywd, walka o swobody obywatelskie i cała reszta – rzekł Strojny Dick – to owszem, czemu nie. Znaczy, ja tam nie jestem żaden krzyżowiec. Jedni są, a inni nie, i kropka. Ale ty

nam każdesz śpiewać o tym, że paradujemy w zielonym suknie i wspomagamy uciśnionych. Słuchaj, Kiepie, przecież my ich wcale nie wspomagamy, tylko wydajemy za nagrodę, a tych pieśni to po prostu wstyd słuchać, tyle ci powiem.

Kapitan Kiepie założył ręce na piersi, ignorując potakujące prychnania opryszków. –

Śpiewaj, Willie – rozkazał.

– Właśnie, że nie zaśpiewam. – Minstrel nawet nie ruszył ręką w stronę lutni. – A ty wcale się nie biłeś z moimi braćmi o żaden kamień. Posłałeś im list i nawet żeś się nie podpisał...

Kiepie targał ramieniem w tył i nagle wśród zbójców zamigotały klingi, jakby kto dmuchnął w stos węgli. Ale Szmendryk znowu wszedł między zwaśnionych i rzekł z natarczywym uśmiechem:

– Może znajdzie się inne wyjście. Pozwólcie, panowie, że wasz gość zarobi na nocleg racząc was rozrywką. Nie umiem grać ani śpiewać, lecz ja także mam pewne talenty, i to takie, jakimi nikt może jeszcze się przed wami nie popisywał.

Jack Brzęk od razu się zgodził.

– Racja, Kiepie! – powiedział. – Mamy przecież czarodzieja. Zabawiłyby się chłopaki, jak rzadko.

Molly Grue wymamrotała jakiś zjadliwy ogólnik o czarodziejach jako klasie ludzi, ale zbójcy wzniesli radosny okrzyk i jęli podrzucać się nawzajem do góry. Tylko Kapitan Kiepie nie zdradzał zapału.

– A pieśni? – zaprotestował żałośnie. – Pan Child musi ich posłuchać.

– Posłucham – zapewnił go Szmendryk. – Później.

Kiepie rozpogodził się i krzyknął na swoich ludzi, żeby się rozstąpili i zrobili miejsce.

Pokładli się więc i poprzykucali na ziemi, patrząc z krzywymi uśmiechami, jak Szmendryk odbębnia zgrane numery, którymi zabawiał wieśniaków w Ponurym Miasteczku. Były to nędzne gusła, uznał jednak, że dla hałastu Kiepiego okażą się wystarczającą rozrywką.

Lecz zbyt pochopnie ich ocenił. Jego wstęgi i pierścienie, uszy pełne złotych rybek i karcianych asów oklaskiwali z należytą uprzejmością, ale bez zdumienia. Czarował tylko na niby, więc nie mógł się napawać ich prawdziwym oczarowaniem. I nawet gdy jakieś zaklęcie zawiodło – bo na przykład obiecał, że zmieni książkę w księcia, którego będą mogli obrabować, a udała mu się tylko krowa chora na księgosusz – i tak zbierał brawa; zbójcy klaskaliby równie grzecznie i beznamiennie, gdyby rzecz się powiodła. Byli idealną publicznością.

Kiepie uśmiechał się, zniecierpliwiony. Jack Brzęk drzemał, ale czarodziej przeżył lekki wstrząs dopiero wtedy, gdy ujrzał cień zawodu w ruchliwych oczach Molly Grue. Roześmiał

się, ogarnięty nagłym gniewem. Upuścił siedem wirujących kul, którymi żonglował, aż się rozjarzyły (kiedy miał dobry dzień, zajmowały się ogniem), pożegnał się z całym swoim znieawidzonym kunsztem i zamknął oczy. „Rób, co chcesz”, szepnął do czaru. „Rób, co chcesz”.

Przebiegło go westchnienie poczęte w jakimś tajnym zakamarku ciała – w łopatce, w szpiku goleni. Jego serce przepełniło się i napięło jak żagiel, i oto coś poruszyło się w nim z nieznaną mu dotąd pewnością. Przemawiało jego głosem, rozkazywało. Osłabły od mocy, padł na kolana i czekał, aż znów stanie się Szmendrykiem.

Co też ja mogłem zrobić. Coś przecież zrobiłem.

Otworzył oczy. Większość zbójców chichotała, pukając się w czoła. Cieszyli się, że mają okazję go wydrwić. Kapitan Kiep wstał, pragnąc obwieścić koniec tej części przedstawienia.

Wtem Molly krzyknęła cichym, drżącym głosem i wszyscy pobiegli za jej spojrzeniem. Na polanę wyszedł jakiś mężczyzna.

Strój miał zielony, oprócz brązowego kaftana i tegoż koloru czapki o skośnym daszku z zatkniętym piórem słonki. Był bardzo wysoki, za wysoki jak na żywego człowieka: na ramieniu wisiał mu łuk, który Jackowi Brzękowi sięgnąłby pewnie od pięt do czubka głowy, strzały zaś mogły posłużyć kapitanowi Kiepowi za oszczepy lub pałki. Nie zwracając uwagi na znieruchomiałych przy ognisku obszarpańców, przeciął krąg światła i znikł, a nikt po drodze nie usłyszał jego oddechu ani kroków.

Po nim nadeszli inni, pojedynczo lub po dwóch, i choć niektórzy rozmawiali, a wielu się śmiało, niczym nie zakłócali ciszy. Prawie wszyscy nieśli łuki i byli ubrani na zielono, tylko jeden od stóp do głowy odział się w szkarłat, inny zaś miał na sobie brązowy habit braciszka zakonnego i sandały, a wielgachne brzuszysko podtrzymywał mu sznur zamiast pasa. Jeszcze inny bezdźwięcznie grał na lutni i śpiewał.

– Alanie-a-Dale – zawołał Miły Willie głosem bezbronnym jak pisklę. – Spójrz, ile się pozmieniało.

Łucznicy kroczyli dumnie i swobodnie, zgrabni niczym żyrafy – nawet najwyższy, Blunderbore o łagodnym wejrzeniu. Na końcu szli mężczyzna i kobieta, trzymając się za ręce.

Twarze mieli tak piękne, jakby nie wiedzieli, co to trwoga. Gęste i długie włosy kobiety lśniły tajemnicą niby chmura przesłaniająca księżyc.

– Och – westchnęła Molly Grue. – Marianna.

– Robin Hood to postać mityczna – nerwowo rzekł Kapitan Kiep. – Klasyczny przypadek bohatera ludowego, zsyntetyzowanego pod naporem potrzeby. Innym takim przykładem jest John Henry. Ludzie nie umieją się obejść bez bohaterów, lecz człowiek z krwi i kości zawsze będzie za mały, żeby zaspokoić ich pragnienie, więc legenda stopniowo narasta wokół ziarna prawdy, całkiem jak perła. Ale owszem, nie przeczę, była to dość imponująca sztuczka.

Pierwszy ruszył się Strojny Dick, ten zniszczony elegancik. Kiedy wszystkie postaci oprócz dwóch ostatnich znikły w mroku, pognął za nimi, nawołując ochryple:

– Robin, Robin, panie Hood, pan zaczeka!

Tamci dwoje nawet się nie obejrżeli, ale cała banda Kiepa – wszyscy prócz Jacka Brzęka i samego kapitana – popędziła na skraj lasu, podcinając sobie nogi, tratując się nawzajem i depcząc po drodze ognisko, aż na polanie zawirowały cienie.

– Robin! – wołali zbójcy. – Marianno, Szkarłatny Willu, Mały Johnie! Wróćcie! Wróćcie!

Szmendryk wybuchnął tkliwym, niepohamowanym śmiechem.

Ich głosy zagłuszył wrzask kapitana:

– Głupcy, głupcy i smarkacze! Przecież to oszustwo, tak jak wszelkie czary! Nie ma żadnego Robin Hooda!

Oni jednak zaczęli się przedzierać przez las śladem świetlistych łuczników, pogrążeni w nieutulonym żalu, potykając się o kłody, padając w cierniste chaszczki i tęsknie zawodząc.

Tylko Molly Grue przystanąła i spojrzała za siebie z twarzą tak zbieła, że można by się o nią sparzyć.

– Nie, jest akurat na opak – zawołała na Kiepa. – To ciebie nie ma, mnie nie ma, nikogo z nas nie ma. Robin i Marianna są prawdziwi, a my jesteśmy legendą. – Pobiegnę dalej, krzycząc wraz z innymi: – Poczekajcie, poczekajcie!

Kapitan Kiep i Jack Brzęk stali w blasku stratowanego ogniska i słuchali śmiechu czarodzieja.

Szmendryk prawie nie zauważył, kiedy się na niego rzucili i złapali go za ręce; ani mrugnął, kiedy Kiep połaskotał go sztyletem w żebra, sycząc:

– Niebezpieczny był to żart, panie Child, niebezpieczny i brzydki. Mógł pan powiedzieć, że nie chce słuchać pieśni. – Sztylet lekko się wbił.

Hen, z oddali czarodziej usłyszał ponury warkot Jacka Brzęka:

– Słuchaj no, Kiep, to nie żaden Child ani wędrowny magik. Dopiero teraz go poznałem.

To syn Nędzora, książę Lir, wredny jak ojciec. Z czarnoksięstwem też pewnikiem sobie radzi.

Wstrzymaj się, kapitanie – nic nam po jego trupie.

Kiep zniżył głos:

– Jesteś pewien, Jack? A wydawał się taki miły.

– Miły przygłupek, co? Lir ponoć na takiego właśnie wygląda. Udaje pijane dziecko we mgle, a samego diabła przechytrzy. Patrz, podawał się za tego jakiegoś Childa, żebyś przestał się mieć na baczności.

– Jack, ja się miałem na baczności – zaprotestował Kiep. – Caluteńki czas. Może nie było widać, ale ze mnie też jest niezły przechera.

– A jak wezwał Robin Hooda, żeby chłopcy z tęsknoty zaczęli się burzyć przeciw tobie?

No, ale wszystko się wydało. Chwilę u nas zabawi, choćby ojciec przysłał mu na pomoc Czerwonego Byka.

Kiepowi zaparło dech, gdy to usłyszał, lecz wielkolud zaniósł Szmendryka pod ogromny dąb i przywiązał twarzą do pnia w taki sposób, że więzień oburącz obejmował drzewo.

Czarodziej przez cały czas dobrotliwie chichotał i nawet ułatwił zbójcy zadanie, tuląc pień w ramionach jak oblubienicę.

– No – rzekł w końcu do Kiepa Jack Brzęk. – Weź go przypilnuj przez noc, a ja się prześpię i zaraz z rana kopnę się do starego Nędzora, to się okaże, ile chłopak dla niego wart.

Jak dobrze pójdzie, za miesiąc wszyscy będziemy jaśnie panami.

– A nasi ludzie? – z niepokojem spytał Kiep. – Myślisz, że wrócą?

Wielkolud ziewnął i zaczął się oddalać.

– Wrócą się do rana, smutni i zakatarzeni, i będziesz musiał im z początku trochę pofolgować. Wrócą się, bo oni nie tacy, żeby oddać coś za nic, i ja też taki nie jestem.

Jakbyśmy byli inni, to może Robin Hood by się z nami został. Dobranoc, kapitanie.

Po jego odejściu zapadła cisza. Słysząc było tylko granie świerszczy i to, jak Szmendryk z cicha chichocze drzewu w dziuplę. Ogień dogasał, a Kiep krążył wokół niego, wzdychając przy każdym zamierającym węgielku. W końcu usiadł na pniaku i rzekł do więźnia:

– Możesz ty i syn Nędzora, a nie kolekcjoner Child, za którego się podajesz. Lecz kimkolwiek jesteś, wiesz doskonale, że Robin Hooda zmyślono, a ja istnieję naprawdę. Ale nikt nigdy nie ułoży o mnie ballad, jeśli sam tego nie zrobię; dzieci nie znajdą w czytankach opowieści o moich przygodach, a po lekcjach nie będą się bawić we mnie i w moich zbójców.

Profesorowie, co grzebią w starych legendach, uczeni, co szperają w starych pieśniach, bo chcą ustalić, czy Robin Hood kiedykolwiek istniał, nigdy przenigdy nie napotkają mojego imienia, choćby

przepełnili ziemię i dobrali się do jej jądra. Ale ty o mnie wiesz, zaśpiewam ci więc pieśni o Kapitanie Kiepie. Był to poczciwy, wesoły łajdak, który oddawał biednym, co zrabował bogatym. Wdzięczny lud ułożył o nim te proste strofki.

No i wykonał wszystkie ballady po kolei – nawet tę, którą odśpiewał już Miły Willie.

Często przerywał, żeby zwrócić uwagę słuchacza na zmienne układy rytmiczne, asonanse i modalizmy.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kapitan Kiep zasnął w połowie trzynastej zwrotki dziewiętnastej pieśni, a Szmendryk –

który już od pewnego czasu się nie śmiał – szybko zakrzętnął się wokół tego, żeby może jednak się uwolnić. Z całej siły napinał więzy, ale trzymały mocno. Jack Brzęk owinął go sznurem tak długim, że można by nim otaklować niewielki szkuner, i zawiązał węzły wielkości ludzkich czaszek.

– Wolnego, wolnego – przywoływał się do porządku czarodziej. – Kogoś, kto władny jest przywołać Robin Hooda, a właściwie nie przywołać, tylko stworzyć, nie mogą długo więzić żadne pęta. Jedno moje słowo, jedno życzenie, i to drzewo znów stanie się żółędziem na gałęzi, a sznur – zieloną łodygą na mokradłach. – Lecz nawet nie próbował wezwać czaru, bo wiedział, że moc, która nawiedziła go nie wiedzieć skąd, znów się ulotniła, pozostawiając po sobie jedynie ból. Czuł się jak poczwarka opuszczona przez motyla.

– Rób, co chcesz – rzekł cicho, budząc niechęć Kapitana Kiepa, który zaraz odśpiewał czternastą zwrotkę:

„Pięćdziesiąt mieczy łśni w murach domu,

otacza go drugie tyle.

Zda mi się, wodzu, że z nami koniec.

Czort świadkiem, że się nie mylę!”

„Nic to, ach, nic to”, odpowie kapitan.

„Niech śmiało stąpa twa stopa.

Niestraszna i setka mieczy,

skoro jest nas tu siedmiu chłopów”.

– A bodaj cię zaszlachtowali – rzekł czarodziej, ale Kiep zdążył już zasnąć. Szmendryk wypróbował kilka prostych czarów uciezkowych, ale nie mógł gestykulować, a zresztą nie miał już serca do

sztuczek. Natomiast drzewo zakochało się w nim i zaczęło czule szeptać, ile go czeka radości, jeśli na wieki pozostanie w objęciach czerwonego dębu.

– Już zawsze, zawsze razem – wzdychało. – Żaden człowiek nie zasługuje na taką wierność. Zachowam w pamięci kolor twoich oczu, gdy nikt na świecie nie będzie już pamiętał twego imienia. Nie masz innej nieśmiertelności niż miłość drzewa.

– Jestem zaręczony – wymawiał się Szmendryk. – Z pewną tują. Wyswatano mi ją jeszcze w dzieciństwie. Nie miałem nic do gadania. Beznadziejna sprawa. Nasz romans nigdy się nie ziści.

Nagły poryw wściekłości wstrząsnął dębem, jakby runęła nań burza, ominąwszy resztę lasu.

– A niechże ją uwiąd i galasy! – syknął zajadle. – Przeklęte krzaczysko, obłudny iglak, zdzira zimozielona, nie dostanie cię! Zginiemy oboje i wszystkie drzewa hołubić będą wspomnienie naszej tragedii!

Szmendryk czuł całym ciałem, że dąb pulsuje jak serce, i zląkł się, czy aby drzewo ze złości naprawdę nie pęknie na dwoje. Krępujące go więzy coraz bardziej się napinały, a noc czerwieniała i żółkła mu w oczach. Najpierw usiłował wytłumaczyć dębowi, że miłość nie bywa nieśmiertelna i właśnie dlatego może być wielkoduszna, potem spróbował zawołać Kapitana Kiepa, ale zdołał tylko z cicha zaskrzypieć, jakby sam już zdrewniał. „Ma dobre chęci”, pomyślał, zdając się na łaskę miłości.

Sznur obwisł nagle i więzień runął na wznak, rozpaczliwie usiłując zaczerpnąć tchu.

Stanąła nad nim Jednorogini, ciemna jak krew w jego zasnutych mgłą oczach. Dotknęła go rogiem.

Kiedy mógł już wstać, odwróciła się i odeszła, a czarodziej podążył za nią, z daleka omijając dąb, choć ten znieruchomiał tymczasem i wyglądał jak pierwsze lepsze drzewo, co nigdy nie kochało. Niebo wciąż było czarne, ale czerń tę pomału rozcieńczał fioletowy świt.

Twarde srebrzyste chmury topniały w coraz cieplejszym powietrzu: cienie traciły ostrość konturów, dźwięki kształt, a kształty jeszcze nie zdecydowały, czym będą tego dnia. Nawet wiatr wątpił w siebie.

– Widziałaś mnie? – spytał czarodziej. – Patrzyłaś? Widziałaś, co zrobiłem?

– Tak – odparła Jednorogini. – To był prawdziwy czar.

Wróciło poczucie straty, zimne i ostre jak miecz.

– Ale już go nie ma – rzekł Szmendryk. – Miałem go... a właściwie on miał mnie... i znowu znikł. Nie potrafiłem go zatrzymać.

Jednorogini sunęła przed nim bezszelestnie jak pióro.



W pobliżu zabrzmiał znajomy głos:

– Tak wcześnie nas opuszczasz, czarodzieju? Chłopcy będą niepokieszeni, że się z tobą minęli.

Szmendryk odwrócił się i ujrzał opartą o drzewo Molly Grue. Sukienkę miała wystrzępioną, włosy brudne i potargane, stopy bose, zakrwawione i ubłocone. Posłała mu uśmiech nietoperza.

– Niespodzianka – powiedziała. – Jestem Marianna.

I wtedy zauważyła Jednoroginię. Nie poruszyła się ani nie odezwała, ale jej bure oczy zognomniały nagle i wezbrały łzami. Przez dłuższą chwilę trwała w bezruchu, a potem oburącz złapała rąbek podartej sukienki i zgięła drżące kolana w czymś na kształt półprzysiada. Choć skrzyżowała nogi w kostkach i spuściła wzrok, Szmendryk dopiero po chwili zrozumiał, że Molly Grue próbuje dygnąć.

Parsknął śmiechem, a ona poderwała się, zaczerwieniona od nasady włosów aż po obojczyki.

– Gdzieś ty była? – krzyknęła. – Gdzieś była, do cholery? – Zrobiła parę kroków w stronę Szmendryka, ale patrzyła ponad jego ramieniem na Jednoroginię.

Kiedy próbowała go minąć, zastąpił jej drogę.

– Nie tym tonem – powiedział, niezbyt pewien, czy Molly rozpoznała jednorożca. – Nie umiesz się zachować, kobieto? To dyganie też jest nie na miejscu.

Lecz ona odepchnęła go, podeszła do Jednorogini i zaczęła ją łajać jak zbłąkaną krowinę:

– Gdzieś ty była?! – Wobec lśniącej bieli i świetlistego rogu skurczyła się do rozmiarów skrzeczącego chrząszcza, ale tym razem to Jednorogini spuściła oczy, mroczne i odwieczne.

– Za to teraz jestem – odparła.

Molly zaśmiała się z zaciśniętymi ustami.

– I co mi po tym? – spytała. – Gdzie byłaś dwadzieścia lat temu albo chociaż dziesięć?

Jak śmiesz, jak śmiesz przychodzić, kiedy tyle ze mnie zostało? – Gestem pokazała, ile: pustynna twarz, kamienne oczy, więdnące serce. – Już lepiej byś w ogóle nie przyszła. Czemu przychodzisz dopiero teraz? – Łzy pociekły jej po nosie.

Jednorogini milczała, a Szmendryk rzekł:

– Ona jest ostatnia. To ostatni jednorożec na świecie.

– No chyba – odparła Molly. – Trzeba być ostatnim jednorożcem, żeby przyjść do Molly Grue. – Wyciągnęła rękę, chcąc złożyć ją na policzku Jednorogini, ale obie trochę się wzdrygnęły i dłoń spoczęła w tym ruchliwym, rozedrganym miejscu pod szczęką. – Nie szkodzi. Wybaczam ci.

– Jednorożcom się nie wybaczają. – Szmendrykowi z zazdrości kręciło się w głowie.

Zazdrosny był nie tylko o sam dotyk, ale i o ten dziwny sekret, który zdawał się unosić między Molly a Jednoroginią. – Jednorożce są dla tego, co się dopiero zaczyna. Dla tego, co świeże i niewinne. Jednorożce są dla młodych dziewcząt.

Molly głaskała Jednoroginię po gardle, tak nieśmiało, jakby była niewidoma. Białą grzywą otarła mętne łzy.

– Słabo się znasz na jednorożcach – stwierdziła.

Niebo zrobiło się tymczasem zielone niczym jadeit, a drzewa, które jeszcze niedawno wyglądały na tle mroku jak narysowane, stały się nagle prawdziwymi drzewami i świszcząły w pierwszych podmuchach świtu.

– Musimy już iść – ozięble rzekł Szmendryk, patrząc na Jednoroginię.

Molly natychmiast się zgodziła.

– No właśnie, zanim chłopcy się na nas napatoczą i poderzną ci gardło za to, żeś ich bidaków oszukała. – Spojrzała przez ramię. – Chciałam jeszcze zabrać parę rzeczy, ale już mi nie zależy. Jestem gotowa.

Zrobiła krok naprzód, lecz Szmendryk znów zastąpił jej drogę.

– Nie możesz do nas dołączyć – zaprotestował. – Idziemy z pewną misją. – Usiłował

przybrać jak najpoważniejszą minę i ton, ale czuł, że jego nos dał się zbić z pantałyku. Nigdy nie umiał zapanować nad własnym nosem.

Twarz Molly zatrasnęła się przed nim jak warowny zamek, wytaczając wszystkie armaty, katapulty i kody z wrzącym ołowiem. – A ktoś ty za jeden, że mówisz „my”? –

spytała kobieta.

– Jestem jej przewodnikiem – ważnym tonem odparł czarodziej. Jednorogini wydała miękki, pytający pomruk, jak kotka, gdy woła kocięta. Molly roześmiała się i odpowiedziała takim samym dźwiękiem.

– Słabo się znasz na jednorożcach – powtórzyła. – Ona zgadza się, żebyś z nią wędrował, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego, ale nie myśl, że cię potrzebuje. Ja też nie jestem jej potrzebna, Bóg świadkiem, że nie, ale weźmie mnie ze sobą. Sam ją zapytaj. – Jednorogini znów miękko mruknęła, a zamek, w który przemieniła się twarz Molly, opuścił zwodzony most i otworzył wrota najgłębszych lochów. – No, spytaj – powtórzyła kobieta.

Szmendryk poczuł, że serce w nim zamiera, więc odgadł, co Jednorogini odpowie. Chciał

być rozsądny, ale bolała go zazdrość i ta pustka, którą w sobie nosił, więc ku własnemu zaskoczeniu krzyknął żałośnie:

– Nigdy! Zabraniam – ja, Szmendryk Czarodziej! – Jego głos brzmiał mrocznie i nawet nos jakoś groźnie wyglądał. – Strzeż się głątwy... tfu!... klątwy czarodzieja. Gdybym zechciał

zmienić cię w żabę...

– Pęklabym ze śmiechu – przyjaźnie odparła Molly Grue. – Nieźle sobie radzisz z bajkami, ale nie umiesz zmienić śmietany w masło. – W jej oczach mignął wredny błysk, jakby nagle coś pojęła. – Miejże rozum, człowieku. Co chciałeś zrobić z ostatnim jednorożcem na świecie? Zamknąć go w klatce?

Czarodziej odwrócił się, żeby Molly nie zobaczyła jego miny. Nie patrzył wprost na Jednoroginię, lecz raz po raz zerkał ukradkiem, jakby się bał, że każą mu oddać to, co zobaczył. Biała i tajemnicza, porannoroga, patrzyła nań z bolesną łagodnością, ale dotknąć jej nie mógł.

– Nawet nie wiesz, dokąd idziemy – rzekł do chudej kobiety.

– Myślisz, że robi mi to różnicę? – spytała Molly i znów wydała ten koci odgłos.

– Wędrujemy do krainy Króla Nędzora, żeby odnaleźć Czerwonego Byka.

W cokółwiek wierzyły kości Molly, cokółwiek serce wiedziało, po jej skórze przemknął

strach, ale Jednorogini wionęła łagodnym oddechem w stuloną dłoń kobiety, więc ta tylko się uśmiechnęła, chwytając garść ciepła.

– Skoro tak, to nie tędy droga – powiedziała.

Słońce wschodziło już, kiedy poprowadziła ich z powrotem – obok Kiepa, który chrapał, zwisając z pieńka – przez polanę i dalej w las. Zbójcy zaczęli już wracać: nieopodal trzaskały suche gałązki, z wilgotnym chlupotem łamały się krzaki. Musieli przykucnąć w ciernistych chaszczach, kiedy dwaj zdrożeni zabijacy przekuśtykali obok nich, zastanawiając się z rozzaleniem, czy w nocy ukazał im się prawdziwy Robin Hood, czy tylko zjawa.

– Czuję ich zapach – mówił pierwszy. – Oczy łatwo oszukać, bo i same z natury kłamią, ale już zapachu żaden cień przecież nie ma?

– Oczy to fałszywi świadkowie, zgoda – chrząknął drugi zbójca, który wyglądał, jakby przywdział bagno. – Ale czy naprawdę ufasz świadectwu własnych uszu, nosa, podniebienia?

Bo ja nie, przyjacielu. Wszechświat okłamuje nasze zmysły, a one z kolei nas okłamują, jakże więc my sami możemy nie kłamać? Co do mnie, to nie wierzę ani przesłaniu, ani posłańcowi; nie wierzę w to, co słyszę, ani w to, co widzę. Może i jest gdzieś prawda, ale nie mam do niej dostępu.

– Aha – rzekł pierwszy, szczerząc zęby w okrutnym uśmiechu. – Ale pobiegłeś razem z nami za Robin Hoodem i szukałeś go przez całą noc, płacząc i nawołując tak jak my wszyscy.

Po co ci było tyle zachodu, skoroś taki mądry?

– No, nigdy nie wiadomo – odparł drugi tonem jakby grząskim, bo właśnie spluwał błotem. – Mogę się przecież mylić.

Księżę i księżniczka siedzieli nad strumieniem w lesistej dolinie. Siedmioro służących ustawiło pod drzewem szkarłatny baldachim i para królewiąt zjadła zimny lunch, słuchając lutni i teorbanów. Póki jedli, prawie się do siebie nie odzywali, a potem księżniczka westchnęła i powiedziała:

– No, to odbębnię tę głupią hecę.

Księżę zaczął czytać czasopismo.

– Mógłbyś przynajmniej... – rzekła, ale on dalej czytał. Dała więc znak dwóm sługom, a kiedy zagrali na lutniach muzykę w dawniejszym stylu, przeszła się po trawie, podniosła udatnie uplecioną uzdeczkę i zwołała:

– Chodź do mnie, jednoroźcu! Chodź, mój śliczny, chodź! No, jednoroźku!

Pódzipódzipódzipódzi!

– Przecież nie wołasz kur – zadrwił księżę, nie przerywając lektury. – Może byś coś zaśpiewała, zamiast tak kwoktać?

– Staram się, jak mogę – krzyknęła księżniczka. – Jeszcze nigdy nie wołałam żadnego takiego zwierzaka. – Ale po chwili zaśpiewała: Królewską jestem córą

I jeśli mnie najdzie ochota,

Księżyc, co nie ma kochanki,

We włosach mi będzie trzepotał.

Ledwie czego zapragnę,

Odmówić mi nikt nie śmie.

Zawsze mi się darzyło,

Co zamarzyło się we śnie.

Starzeję się, a przecież

Królewską jestem córą,

W okowach swej osoby,

Spętana własną skórą.

Uciekłabym i poszła

Żebrać od drzwi do drzwi,

By ujrzeć raz twój cień

I żyć tym po kres mych dni.

Tak właśnie zaśpiewała, i jeszcze raz od nowa, a potem wołała:

– Jednorożek, jednorożek, chodzichodzichodzi!

W końcu jednak rzekła gniewnie:

– No, więcej palcem nie kiwnę. Wracam do domu.

Książę ziewnął i złożył czasopismo.

– Spełniłaś nakaz obyczaju – stwierdził. – Nikt więcej od ciebie nie oczekiwał. Możemy się wreszcie pobrać.

– Tak – powiedziała księżniczka. – Możemy się wreszcie pobrać.

Słudzy zaczęli pakować sprzęt, a dwaj z lutniami zagrali dla odmiany muzykę weselną.

Księżniczka rzekła z odrobiną smutku i wyzwania:

– Gdyby jednorożce istniały, któryś na pewno by do mnie przyszedł. Wołałam najczulej jak można i miałam złotą uzdeczkę. No i oczywiście jestem czysta i nietknięta.

– Jeśli o mnie idzie, jesteś – obojętnie odparł książę. – Jak już mówiłem, spełniłaś nakaz obyczaju. Nie spełniasz co prawda wymagań mojego ojca, ale ja sam też do nich nie dorastam. Do tego potrzeba by jednorożca. – Był wysoki, a twarz miał łagodną i miłą jak kwiat malwy.

Kiedy odeszli wraz z orszakiem, Jednorogini wychynęła z lasu, a za nią Molly i czarodziej, i wszyscy troje podjęli przerwana wędrowkę. Dużo, dużo później, kiedy wędrowali przez inną krainę, w której nie było strumieni i nic się nie zieleniło, Molly spytała Jednoroginię, czemu wtedy nie przyszła na wołanie księżniczki. Szmendryk przysunął się bliżej, żeby usłyszeć odpowiedź, ale trzymał się lewej strony jednorożca. Nigdy nie szedł

wraz z Molly po prawej.

– Ta królewska córka na pewno nie uciekła z pałacu, żeby ujrzeć mój cień – rzekła Jednorogini. – A gdyby jej się ukazała i w ogóle poznała mnie, przeraziłaby się bardziej niż smoka, bo smokowi nikt nie czyni obietnic. Pamiętam, że dawniej nie robiło mi różnicy, czy księżniczki są szczerze. Przychodziłam i kładłam im głowę na kolanach, a niektóre na mnie jeździły, chociaż większość się bała. Ale teraz nie mam czasu ani dla księżniczek, ani dla pomywaczek. Nie mam czasu.

Molly powiedziała wtedy coś, co bardzo dziwnie zabrzmiało w ustach kobiety, która każdej nocy budziła się raz po raz, żeby sprawdzić, czy jednorożec wciąż jest przy niej, i której sny pełne były złotych uzd i łagodnych młodych złodziei:

– To księżniczki nie mają czasu. Niebo obraca się i wszystko wlecze za sobą: księżniczki, czarodziejów, biednego Kiepa i całą resztę, a ty tkwisz w miejscu. Niczego nie oglądasz jeden jedyne raz. Chciałabym, żebyś mogła pobyc trochę księżniczką, kwiatem, kaczką. Czymś, co nie może czekać.

Zaśpiewała jedną zwrotkę żalostnej, kulawej piosenki, urywając po każdym wersie, żeby sobie przypomnieć następny:

Ten wybierać drogę musi,

Komu wszelki szlak odcięto.

Utracone wiecznie kusi –

Co minęło, to minęło.

Ponad grzbietem Jednorogini Szmendryk zapuścił spojrzenie na terytorium Molly.

– Gdzie słyszałaś tę piosenkę? – spytał, choć nie odzywał się do niej, odkąd świtem przyłączyła się do wyprawy. Pokręciła głową.

– Nie pamiętam. Dawno ją znam.

Ziemia nędzniała z każdym dniem, a w twarzach napotykanym ludzi była gorzka zbrązowiała trawa, ale Molly w oczach Jednorogini stawała się coraz bardziej przyjazną okolicą, pełną jezior i jaskiń, krainą, w której z gleby buchały płomienie zapomnianych kwiatów. Spod warstwy brudu i zubożenia wyłoniła się kobieta co najwyżej trzydziestosiedmio-, może trzydziestoosmioletnia, w każdym razie nie starsza od Szmendryka, choć twarz czarodzieja nie była naznaczona datą urodzin. Jej szorstkie włosy rozkwitły, skóra nabrała życia, i oto Molly zaczęła przemawiać do wszystkich stworzeń niemal równie łagodnie, jak do Jednorogini. Jej oczy nigdy nie miały płonąć radością, tak jak nie mogły stać się zielone ani niebieskie, lecz one także przebudziły się jak ziarno w ziemi.

Wędrowała do krainy Króla Nędzora, dziarsko przebierając bosymi, otartymi stopami, i często

śpiewała.

A z dala od niej, na lewo od jednoroźca, milczkiem przekradał się Szmendryk Czarodziej.

Jego czarna opończa dorabiała się coraz to nowych dziur, rozłaziła w szwach jak jej właściciel. Ominęła go ulewa, w której rozkwitła Molly, wydawał się więc jeszcze bardziej zeschnięty i spustynniał – tak jak cała ta okolica. Jednorogini nie mogła go uleczyć.

Dotknięciem rogu wyrwałaby go z objęć śmierci, ale nie miała władzy nad rozpaczą – ani nad czarem, który pojawił się i znikł.

Wędrowali w ślad za pierzchającą ciemnością, na spotkanie wiatru o smaku gwoździ. Szli przez krainę, której spękana skóra odsłaniała szramy wąwozów i jarów, strupy wzgórz.

Wysokie, blade niebo za dnia po prostu znikło w pustce, a Jednorogini myślała nieraz, że wszyscy troje muszą wydawać się ślepi i bezradni jak ślimaki w słońcu, gdy przetoczy się ich kłodę albo wilgotny głaz. Wciąż jednak była jednoroźcem, więc w złych czasach i miejscach tym bardziej piękniała. Nawet ropuchom zrządzającym po rowach i w dziuplach zwalonych drzew zapierało dech na jej widok.

Ropuchy byłyby pewnie bardziej gościnne niż ponurzy mieszkańcy kraju Nędzora.

Tamtejsze wsie przypominały nagie gnaty wśród sztyletowatych wzgórz, na których nie rośło ani jedno źdźbło, a w ludzkich sercach niewątpliwie warzyła się gorycz grzanego piwa.

Dzieci kamieniami zapędzały obcych przybyszów do miast, a psy natychmiast ich stamtąd wygryzały. Nie wszystkie wróciły do swoich panów, bo Szmendryk wyćwiczył sobie rękę i rozsmakował się w kundlinie. Wprawiało to mieszczan w furję, do jakiej nie doprowadziłaby ich zwykła kradzież. Niczego nie oddawali za darmo i wiedzieli, że ich wrogami są właśnie ci, co nie chcą zapłaty.

Jednorogini wystrzegała się ludzi. Obserwowała dwójkę swych towarzyszy, gdy spali, widziała przemykające im po twarzach cienie snów i czuła, jakim brzemieniem jest dla niej już choćby to, że zna ich imiona. Biegała wtedy aż do rana, żeby ból zelżał; szybsza niż deszcz, lotna jak utrata, mknęła w pogoni za owym czasem, gdy znała jedynie słodycz własnego istnienia. Między jednym a drugim haustem powietrza często zdawało jej się, że Szmendryk i Molly od dawna nie żyją, nie żyje też Król Nędzor, a ona starła się z Bykiem i go pokonała – tak dawno temu, że wnuki gwiazd, które były tego świadkami, właśnie stygną jak gasnące węgle – i wciąż jest ostatnim jednoroźcem na świecie.

Aż w pewien jesienny wieczór, kiedy nie było słyhać sów, wychynęli zza grzbietu kolejnej góry i zobaczyli zamek. Po drugiej stronie długiej, głębokiej doliny piął się ku niebu, cienki i powykręcany, najeżony kolczastymi wieżyczkami, mroczny i szczyrbaty jak uśmiech olbrzyma. Molly od razu parsknęła śmiechem, ale Jednorogini zadrzała, bo wydało jej się, że krzywe wieże wyciągają ku niej macki poprzez zmierzch. W dali za zamkiem morze połyskiwało stalą.

– Forteca Nędzora – mruknął Szmendryk, ze zdumieniem kręcąc głową. – Jego złowroga warownia.

Podobno zbudowała mu ją czarownica, ale nie chciała jej zapłacić, więc rzuciła klątwę na zamek. Przysięgła, że pewnego dnia cała budowla wraz z Nędzorem zatonie w morzu, które wystąpi z brzegów, przepelnione królewską chciwością. To rzekłszy wrzasnęła przeraźliwie, jak to wiedźma, i znikła w obłoku siarki. Nędzor natychmiast się wprowadził, twierdząc, że na zamku tyrana godnym tej nazwy wręcz powinna ciążyć klątwa.

– Trudno mieć mu za złe, że jej nie zapłacił – wzgardliwie rzekła Molly Grue. – Gdybym obiema nogami skoczyła na tę rudere, rozsypałaby się jak kupa liści. Ale mam nadzieję, że wiedźma znalazła sobie coś ciekawego do roboty, póki jej klątwa się nie spełni. Morze jest większe niż ludzka chciwość.

Kościste ptaki przedzierały się przez niebo, skwirząc: „Ratuj, ratuj, ratuj!”, a do ciemnych okien zamku Króla Nędzora dobijały się jakieś czarne istoty. Jednoroginię zaleciał skądś mokry, gęsty zapach.

– Gdzie jest Byk? – zapytała. – Gdzie Nędzor go trzyma?

– Czerwonego Byka nikt nie trzyma – cicho odparł czarodziej. – Podobno nocami się włóczy, a w dnie wyleguje w ogromnej pieczarze pod zamkiem. Wkrótce się dowiemy, jak to z nim jest, ale chwilowo co innego mamy na głowie. Prawdziwe niebezpieczeństwo grozi nam stamtąd. – Wyciągnął rękę w stronę doliny, w której migotało już kilka światełek.

– Oto Bramjędz – oznajmił.

Molly nic nie powiedziała, tylko dotknęła Jednorogini dłonią chłodną jak obłok. Często jej dotykała, gdy była smutna, zmęczona albo przestraszona.

– To miasto Króla Nędzora – ciągnął Szmendryk. – Zajął je, gdy tylko przybył zza morza, i właśnie na nim najdłużej spoczywa jego ręka. Ma podłą nazwę, chociaż nie spotkałem nikogo, kto znałby jej rodowód. Do Bramjędza się nie chodzi, a wychodzą z niego tylko historie dla niegrzecznych dzieci, opowieści O potworach, wilkołakach i innych odmieńcach, sabatach czarownic, demonach grasujących w biały dzień i tym podobnych okropnościach.

Ale tam chyba naprawdę siedzi jakieś licho. Mateczka Fortuna nigdy nie chciała jeździć do Bramjędza, a raz powiedziała, że nawet sam Nędzor powinien mieć się na baczności, póki to miasto stoi. Coś w tym jest.

Uważnie przyglądał się Molly, bo ostatnio jedyną gorzką przyjemność czerpał z tego, że mimo białej bliskości jednoroźca widywał czasem w jej twarzy wyraz lęku. Odpowiedziała mu jednak ze spokojem, wzięwszy się pod boki:

– Bramjędz nazywają „miastem, którego nie zna żaden mąż”. Więc może jego tajemnicę rozwiązać musi niewiasta – i jednorożec. Ale co pocniemy z tobą?

Szmendryk uśmiechnął się.



– Jaki tam ze mną mąż – powiedział. – Jestem czarodziejem bez czaru, czyli nikim.

Okna Bramjędza świeciły jak próchno, lecz im dłużej Jednorogini w nie patrzyła, tym bardziej jaśniały, natomiast w zamku Króla Nędzora nie mignęła nawet iskra z krzesiwa. W

ciemnościach nie było widać ludzi chodzących po murach, ale matowy łomot pancerzy i zgrzyt włóczni o kamienie niósł się przez całą dolinę. Wartownicy spotkali się i rozeszli.

Zapach Czerwonego Byka harcował wokół Jednorogini, gdy ruszyła w dół wąską, ciernistą ścieżką do Bramjędza.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Miasto Bramjędz miało kształt odcisku stopy: szeroka łapa rozcapierzała długie palce zakończone ciemnymi szponami borsuka. Inne miasta w Królestwie Nędzora drapały nieżyczliwą ziemię jak wróble, ale Bramjędz wrył się w nią solidnie i głęboko. Jego ulice były równo wybrukowane, ogrody po prostu lśniły, a dumne domy wyglądały, jakby same wyrosły. Ze wszystkich okien biło światło. Podróżni słyszeli ludzkie głosy, szczekanie psów i szczęk talerzy, które szorowano, aż piszczały. Przystanęli pod wysokim żywopłotem i zaczęli nasłuchiwać.

– Myślicie, żeśmy pomylili drogę i to wcale nie jest Bramjędz? – szepnęła Molly.

Usiłowała przyglądać na sobie beznadziejne łachmany, chociaż nie miało to żadnego sensu. –

Tak coś czułam, że trzeba zabrać tę lepszą sukienkę – westchnęła.

Szmendryk ze znużeniem pogłodził się po karku.

– Jesteśmy w Bramjędzu – rzekł. – To na pewno Bramjędz, a jednak nie trąci żadnymi gusłami, nie zalatuje czarnoksięstwem. Więc skąd te wszystkie legendy, bajki i baśnie?

Trudno się połapać, zwłaszcza jeśli na obiad zjadło się pół rzepy.

Jednorogini milczała. Hen, za miastem, zamek Króla Nędzora kolebał się jak wariat na szczydach, bardziej mroczny niż mrok, a za nim pełzało morze. Odór Czerwonego Byka przemykał przez noc niczym zimne tchnienie wśród miejskich woni strawy i żywej codzienności.

– Ci poczciwcy siedzą pewnie w domach i błogosławią los – rzekł Szmendryk. –

Pozdrowię ich.

Zrobił krok naprzód i odgarnął połę opończy, lecz nim otworzył usta, nie wiedzieć skąd dobiegł czyjś szorstki głos:

– Nie marnuj tchu, przybłędo, bo ci go może zabraknąć.

Zza żywopłotu wyskoczyli czterej mężczyźni. Dwaj przytknęli Szmendrykowi miecze do gardła, a trzeci zaszachował Molly parą pistoletów. Czwarty podbiegł do Jednorogini i chciał

ją złapać za grzywę, ale odskoczył, gdy stanęła dęba, rozjuszona i rozjarzona.

– Nazwisko! – zapytał Szmendryka ten, który pierwszy się odezwał. Był podobnie jak reszta w średnim wieku albo i starszy, ubrany dostatnio, lecz szaro.

– Gik – odparł Szmendryk, będąc pod wrażeniem mieczy.

– Gik – z namysłem powtórzył ten, co trzymał pistolety. – Obce miano.

– Oczywiście – rzekł pierwszy. – W Bramjędzu każde miano brzmi obco. No, panie Gik –

dodał, lekko zniżając miecz, aż wymierzył nim w spojenie obojczyków Szmendryka. –

Zechciej nam waść łaskawie powiedzieć, za czym tu myszkujesz razem z panią Gikową...

Szmendryk odzyskał nagle mowę.

– Przecież ja ją ledwo znam! – ryknął. – Nazywam się Szmendryk, Szmendryk Czarodziej, jestem głodny, zmęczony i nieuprzejmy. Odłóżcie te szpikulce, bo jak nie, to zaraz każdy złapie skorpioną za gorszy koniec.

Czterej mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Czarodziej – powiedział pierwszy. – Nikt inny.

Dwaj skinęli głowami, ale ten, który próbował schwytać Jednoroginię, sarknął:

– W dzisiejszych czasach byle dureń może się podać za czarodzieja. Upadły dawne kryteria, wszelkie normy poszły w niepamięć. A zresztą prawdziwy czarodziej powinien mieć brodę.

– Jeśli nie jest czarodziejem – rzekł pierwszy lekkim tonem – to wkrótce tego pożałuje. –

Wsunął miecz do pochwy i skłonił się przed Molly i Szmendrykiem. – Nazywam się Drinn –

oświadczył – i z czymś w rodzaju przyjemności witam w Bramjędzu. Mowa była zdaje się o głodzie. Łatwo temu zaradzimy, a potem może zechcesz nam waść wyświadczyć przysługę jako fachowiec od czarów. Proszę za mną.

Nagle stał się uprzedzająco grzeczny, wręcz uniżony, i poprowadził ich do jasno oświetlonej oberży, a jego trzech towarzysze deptali im po piętach. Nadbiegli też inni mieszczanie. Ochoczo wyroili się z domów, porzucając nie dojezione kolacje i parującą herbatę, nim więc Szmendryk i Molly usiedli, prawie dwie setki luda tłoczyły się na długich ławach oberży, pchały drzwiami i wpadały przez okna. Jednorogini pozostała w tyle, przez nikogo nie zauważona: siwa klacz o dziwnych oczach.

Człowiek imieniem Drinn usiadł przy jednym stole ze Szmendrykiem i z Molly. Póki jedli, trajkotał trzy po trzy i dolewał im ciemnego wina o łagodnym smaku. Molly Grue piła niewiele, w milczeniu przyglądając się zebranym. Raptem zdała sobie sprawę, że wszyscy są co najmniej w wieku Drinna, a niektórzy znacznie starsi. Ich twarze łączyło wyraźne podobieństwo, ale nie umiała go określić.

– A teraz – powiedział Drinn, kiedy posiłek dobiegł końca – pozwólcie, że wyjaśnię, czemu tak nieuprzejmie was powitaliśmy.

– Mniejsza z tym – odparł Szmendryk. Wino wprawiło go w dobroduszny nastrój. Co chwila parskał śmiechem, a jego zielone oczy nabrały barwy złota. – Wolałbym się dowiedzieć, skąd wzięły się te pogłoski, że w Bramjędzu roi się od upiorów i wilkołaków. W

życiu nie słyszałem większej bzdury.

– Na oba te pytania jest jedna i ta sama odpowiedź – z uśmiechem rzekł Drinn, żyłasty mężczyzna o bezzębnych szczękach, twardych jak u żółwia. – Słuchajcie. Na Bramjędzu ciąży klątwa.

W izbie zapadła nagle wielka cisza. W piwnym świetle twarze mieszczan były ściągnięte i blade jak ser. Szmendryk znów się roześmiał.

– Prędzej błogosławieństwo – rzekł. – Na tle kościstego królestwa starego Nędzora wasze miasto wygląda jak oaza wiecznej wiosny, jak całkiem inna kraina. Zgoda, musi w tym tkwić jakiś czar, ale pierwszy wypiję za to, żeby nie przysł.

Wzniósł kielich, lecz Drinn go powstrzymał.

– Tylko nie ten toast, przyjacielu – powiedział. – Chcesz wypić za pięćdziesiąt lat niedoli? Nasza zgryzota trwa bowiem, odkąd Król Nędzor zbudował nad morzem swój zamek.

– Nie tyle Nędzor, ile wiedźma – sprostował Szmendryk, karcąco kiwając palcem. –

Cesarzowi, co cesarskie.

– A, znasz waść tę historię – rzekł Drinn. – To pewnie wiesz, że Nędzor odmówił

wiedźmie zapłaty, kiedy wykonała zadanie.

Czarodziej skinał głowę.

– Owszem. A ona przeklęła go za tę chciwość, a właściwie przeklęła zamek. Ale co to ma wspólnego z Bramjędzem? Przecież miasto nie zrobiło jej nic złego.

– Nic złego, ale i nic dobrego. Zamku zniszczyć nie mogła, a może nie chciała, bo czuła się artystką i twierdziła, że jej dzieło o całe lata wyprzedza epokę. Przyszła więc do rajców Bramjędza i zażądała, żeby wymusili na Nędzorze należną jej zapłatę. „Zobaczcie we mnie odbicie własnego losu”, wychrypiała. „Wasze miasto przechodzi próbę razem ze swoim królem. Władca, który nie waha się

oszukać szpetnej starej jędzy, w końcu oszuka własny lud. Powstrzymajcie go, póki czas, nim do niego przywykniecie”.

Drinn upił łyżek wina i troskliwie dolał Szmendrykowi do pełna. – Nędzior nie dał jej pieniędzy – rzekł, podejmując przerwany wątek – a miasto niestety nie dało jej posłuchu.

Potraktowano ją z całą uprzejmością i odesłano do odpowiednich władz, więc wpadła w furję i wrzasnęła, że prac za wszelką cenę do kompromisu zyskaliście sobie dwoje wrogów na raz.

– Zamilkł na chwilę i spuścił cienkie powieki. „Pewnie widzi przez nie jak ptak”, pomyślała Molly. Z zamkniętymi oczami powiedział:

– Właśnie wtedy rzuciła klątwę na zamek Nędziora i na nasze miasto. Królewska chciwość ściągnęła na nas zgubę.

W ciszy wypełnionej westchnieniami głos Molly Grue zadźwięczał niby młot walący w podkowę, jakby po raz nie wiedzieć który mieszała z błotem nieszczęsnego Kapitana Kiepa. –

Nędzior mniej tu zawinił niż wy sami – rzekła kpiąco – bo z niego był jeden złodziej, a z was cała szajka. Własne skąpstwo napytało wam biedy, nie królewskie.

Drinn otworzył oczy i spojrzał na nią z gniewem.

– Mamy czyste sumienie – zaprotestował. – Wiedźma prosiła o wstawiennictwo naszych rodziców i dziadków. Owszem, na swój sposób zawinili nie mniej niż król. My byśmy to całkiem inaczej załatwili.

Przy tych słowach każdy z podstarzałych mieszczan łypnął niechętnie na jeszcze starszego sąsiada.

Któryś starzec wyrzęził jak zachrypnięty kot:

– Zrobilibyście dokładnie to co my. Musieliśmy zebrać plony i obrządzić inwentarz, tak jak i dziś. Musieliśmy żyć w zgodzie z Nędzorem, tak jak i dziś. Doskonale wiemy, co byście zrobili. Jesteście przecież naszymi dziećmi.

Drinn zgasił go wściekłym spojrzeniem, a inni zaczęli urągać, ale wszystkich uciszyło pytanie czarodzieja:

– Jak brzmiała ta klątwa? Miała może coś wspólnego z Czerwonym Bykiem?

Imię to nawet w jasnej izbie zimno zadźwięczało, a Molly poczuła się nagle samotna. Pod wpływem impulsu rzuciła jeszcze jedno pytanie, bez związku z rozmową:

– Czy ktoś z was widział kiedy jednoroźca?

Natychmiast zrozumiała dwie rzeczy. Po pierwsze, czym różni się cisza od absolutnej ciszy; po

drugie, że swym pytaniem trafiła w sedno. Mieszczanie starali się nic po sobie nie pokazać, ale po twarzach przebiegło im drżenie. Drinn rzekł ostrożnie:

– Nigdy nie widzimy Byka i nigdy o nim nie rozmawiamy. Nie obchodzi nas nic, co go dotyczy. A jednorożców nie ma. Nigdy ich nie było. – Znów dolał do kielichów ciemnego wina. – Powiem wam, jak brzmi klątwa. – Złożył ręce przed sobą i zadeklamował:

Wy, co wami Nędzor włada,

Z nim biesiada wam i biada.

W waszych kiesach złoto wzbierze,

Zanim wiry porwą wieżę,

Lecz tylko ten, czyj z Bramjędza ród,

Zamczysko strąci w odmęt wód.

Kilka głosów zawtórowało mu, gdy recytował to stare złożeczenie. Brzmiały smutno i odlegle, jakby nie rozlegały się w izbie, lecz kłębiły gdzieś nad kominem oberży, bezradne niczym uschłe liście na wietrze.

„Co oni takiego mają w twarzach?”, zastanawiała się Molly. „Prawie wiem, ale nie umiem tego nazwać”. Czarodziej siedział obok niej i milcząc obracał w smukłych dłoniach kielich z winem.

– Kiedy te słowa wypowiedziano po raz pierwszy – ciągnął Drinn – Nędzor władał nami dopiero od niedawna i cały kraj był gościnny, kwitnący – z wyjątkiem Bramjędza. Bo Bramjędz wyglądał tak, jak dziś wygląda reszta krainy: była to zgrzebna, łysa dziura, której mieszkańcy przyciskali dachy głazami, żeby nie porwał ich wiatr. – Wyszczrzył się do starców w szyderym uśmiechu. – Plony, inwentarz. Akurat! Zbieraliście z pól kapustę, rzepę i parę mizernych ziemniaków, a w całym Bramjędzu była raptem jedna krowina. Obcy ludzie myśleli, że miasto jest przeklęte, bo naraziło się jakiejś mściwej wiedźmie.

Molly poczuła, że Jednorogini przechodzi pod oknem i zawraca, niespokojna jak cienie pochodni, które kłoniły się i wiły po ścianach. Chciała do niej wybiec, ale tylko spytała półgłosem:

– A potem, kiedy już spadła na was klątwa?

– Od tamtej pory wszystkiego mamy w bród – rzekł Drinn. – Nasza ponura ziemia stała się tak przyjazna, że ogrody i sady same rosną, a my nie musimy ich pielęgnować ani nawet sadzić drzewek. Mnożą się trzody. Rzemieślnicy przez sen nabierają biegłości w swym fachu; samo powietrze i woda chronią nas przed chorobami. Wszelkie troski szerokim łukiem omijają Bramjędz, a tymczasem reszta królestwa, niegdyś tak kwitnącego, zetlała na popiół

pod ręką Nędzora. Od pięćdziesięciu lat powodzi się tylko jemu i nam, jakby to inni byli przeklęci.

– Z nim biesiada wam i biada – mruknął Szmendryk. – Rozumiem. – Wychylił kolejny kielich wina i roześmiał się. – Ale stary Król Nędzor wciąż wam panuje i panować będzie, póki morze nie wystąpi z brzegów. Nie wiecie, co to prawdziwa klątwa. Gdybyście znali mój los... – Nagle załśniły mu w oczach ławne łzy. – Po pierwsze, matka mnie nie lubiła. Udawała, że lubi, ale ja wiedziałem...

Drinn przerwał mu. W tej samej chwili Molly zrozumiała, czemu mieszkańcy Bramjędza są tacy dziwni. Dostatnio i ciepło odziani, mieli twarze biedaków zmarzniętych na kość i zbyt zagłodzonych, żeby móc jeść.

– Lecz tylko ten, czyj z Bramjędza ród, zamczysko strąci w odmęt wód – rzekł Drinn. –

Jak mamy się cieszyć dobrym losem, skoro wiemy, że kiedyś on się skończy i że właśnie ktoś spośród nas położy mu kres? Jesteśmy co dzień bogatsi i co dzień bliżsi upadku. Czarodzieju, od pięćdziesięciu lat żyjemy skromnie, do niczego się nie przywiązujemy, wyzbywamy się nałogów, gotowi na spotkanie morza. Ani przez chwilę nie cieszyliśmy się swym bogactwem

– i niczym innym – bo radość to tylko jedna rzecz więcej do stracenia. Litujcie się nad Bramjędzem, obcy przybysze, bo na całym tym nieszczęsnym świecie nie ma miasta bardziej udręczonego.

– O rety, rety – jęli zawodzić mieszczanie. – Biada nam, biada.

Molly Grue patrzyła na nich w milczeniu, ale Szmendryk powiedział:

– Solidna klątwa. Dobra robota, słowo daję. Zawsze powiadam: cokolwiek chcesz obstalować, zwróć się do fachowca. Na dłuższą metę zawsze się opłaci.

Drinn zmarszczył brwi, a Molly szturchnęła Szmendryka. Czarodziej zamrugał.

– Aaa – powiedział. – No, to czego ode mnie oczekujecie? Uprzedzam, że nie jestem zbyt biegłym czarodziejem, ale chętnie spróbuję zdjąć z was tę klątwę.

– Ani trochę cię nie przeceniam – odparł Drinn – ale i tak chyba się nadasz. Klątwy raczej nie będziemy ruszać. Gdybyś ją zdjął, może byśmy z powrotem nie zbiednieli, ale na pewno przestalibyśmy się bogacić, a to też byłoby niedobrze. Nie, rzecz w tym, żeby nie dopuścić do upadku wieży Nędzora, a ponieważ bohater, który ją zburzy, musi pochodzić z Bramjędza, powinno to być wykonalne. Właśnie dlatego nie pozwalamy tu się osiedlać obcym.

Wyplaszamy ich – siłą, jeśli zajdzie potrzeba, ale najczęściej sprytem. Te mroczne opowieści o Bramjędzu, o których waść wspomniałeś, sami zmyśliliśmy i rozgłosiliśmy jak najszerzej, żeby odstręczyć nieproszonych gości. – Dumnie uśmiechnął się bezzębnymi ustami.

Szmendryk podparł pięścią podbródek i z zamierającym uśmiechem patrzył na Drinna.

– A wasze dzieci? – spytał. – Co na to poradzicie, że któreś dorośnie i spełni klątwę? –

Zaczął się rozglądać po oberży, wpatrując się sennie w pomarszczone twarze. Mieszczanie nie spuszczaali go z oka. – Zaraz, zaraz – rzekł pomału. – Czy w tym mieście w ogóle nie ma młodych ludzi? O której wy tu kładziecie dzieci spać?

Nikt mu nie odpowiedział. Molly słyszała, jak skrzypi krew pulsująca w ludzkich uszach i oczach, widziała, jak skóra na twarzach drga niczym woda, kiedy trąca ją wiatr. Po chwili Drinn rzekł:

– Nie mamy dzieci. Nie mamy ich, odkąd spadła na nas klątwa. – Zakasłał, przysłaniając pięścią usta, i dodał:

– Uznaliśmy, że w ten sposób najłatwiej pokrzyżujemy wiedźmie szyki.

Szmendryk przechylił głowę do tyłu i zaśmiał się bezgłośnie, ale tak, że zakołysały się płomienie pochodni. Molly zdała sobie sprawę, że po prostu się upił. Usta Drinna całkiem znikły, a oczy stały się twarde jak spękana porcelana.

– Nie widzę w naszej doli nic zabawnego – powiedział cicho. – Nic a nic.

– Nic – zagulgotał Szmendryk. Zgiął się w pół i niechcący wylał wino z kielicha. – Nic a nic, ależ skąd, nic a nic. – Porażony gniewnym spojrzeniem stu par oczu wziął się w garść i zdołał z powagą odpowiedzieć Drinnowi:

– No, to nie ma powodu do zmartwień. A przynajmniej wy go chyba nie widzicie.

Leciutki śmieszek wymknął mu się spomiędzy warg, jak smuzka pary z czajnika.

– Tak by się mogło zdawać – odparł Drinn, pochylając się i kładąc dwa palce na nadgarstku Szmendryka. – Ale nie powiedziałem jeszcze całej prawdy. Otóż dwadzieścia jeden lat temu w Bramjędzu urodziło się jedno dziecko. Nigdyśmy się nie dowiedzieli, czyje było. Sam je znalazłem, idąc zimową nocą przez rynek – Leżało na rzeźnickim pieńku, ale nie płakało, chociaż padał śnieg, tylko chichotało w ciepłe, bo bezdomne koty obsiadły je i przykryły jakby kołdrą. Mruczały wszystkie naraz, a był to dźwięk brzemienny wiedzą. Długo stałem w zadumie nad tą dziwną kołyską. Śnieg wciąż padał, a koty wróźebnie mruczały.

Gdy przerwał, Molly Grue wtrąciła podekscytowanym tonem:

– Oczywiście wzięłeś waść dziecko i wychowałeś jako swoje.

Drinn oparł dłonie na stole, wnętrzem do góry.

– Przepędziłem koty – rzekł – a do domu wróciłem sam.

Twarz Molly przybrała kolor mgły. Drinn wzruszył ramionami.

– Umiem poznać, kiedy się rodzi bohater – powiedział. – Omeny i znaki, węże w pokoiku dziecinnym. Gdyby nie koty, może bym nawet zaryzykował i wziął dzieciaka, ale przy nich wszystko stało się takie oczywiste, takie mityczne. Co miałem począć? Świadomie hołubić zgubę Bramjędza? – Drgnęła mu warga, jakby utkwiał w niej haczyk. – No i popełniłem błąd, ale w tym sensie, że okazałem się za miękki. Nim wróciłem o wschodzie słońca, dziecko znikło.

Szmendryk rysował palcem w rozlanym winie, z taką miną, jakby nic nie słyszał. Drinn mówił dalej.

– Nikt oczywiście się nie przyznał, że zostawił dziecko na rynku, a choć przeszukaliśmy wszystkie domy od piwnic po gołębniki, nie odnaleźliśmy go. Pomyślałbym, że wilki porwały bachora, albo nawet, że całe to zdarzenie mi się przyśniło, ale nazajutrz przybył herold od Króla Nędzora i kazał nam się radować, bo oto po trzydziestu latach oczekiwań król miał

wreszcie syna. – Zerknął na Molly, lecz zaraz umknął spojrzeniem. – Nawiasem mówiąc, nasz znajda był chłopcem.

Szmendryk obliznął czubek palca i podniósł wzrok.

– Lir – rzekł z zadumą. – Księżę Lir. A nie dałoby się inaczej wyjaśnić, skąd się wziął?

– Nie sędzę – prychnął Drinn. – Kobiety, która zgodziłaby się wyjść za Nędzora, nie zechciałby nawet Nędzor. Rozgłosił, że chłopiec jest jego bratankiem, którego wspinałomyślnie przygarnął po śmierci rodziców. Ale król nie ma rodziny, żadnych krewnych. Powiadają, że chłopak zrodził się z zachmurzonego nieba, tak jak Wenus z piany morskiej. Nikt nie oddałby Nędzorowi dziecka na wychowanie.

Czarodziej spokojnie nadstawił kielich, a ponieważ Drinn mu nie dolał, sam się obsłużył.

– Ale skądś jednak je wytrzasnął, no i brawo – rzekł. – Tylko jak mógł się natknąć na tego waszego kocisynka?

– Czasem nocą chodzi po Bramjędzu. Nieczęsto, ale zdarza się – odparł Drinn. – Wielu z nas go widywało. Wysoki, szary jak drewno wyłowione z morza, włóczy się sam jeden pod żelaznym księżycem i zbiera upuszczone monety, stłuczone naczynia, łyżki, kamienie, chustki do nosa, pierścionki, rozdeptane jabłka: cokolwiek, byle co, bez ładu ni składu. To Nędzor wziął dzieciaka, jestem pewien – tak jak tego, że właśnie Księżę Lir obali wieżę i pogrąży Nędzora, a z nim Bramjędz.

– Oby tak się stało – przerwała mu Molly. – Oby Księżę Lir był tym dzieciątkiem, które zostawiliście, żeby zamarzło. Niech zatopi wasze miasto i niech ryby oskubią was jak kolby kukurydzy...

Szmendryk z całej siły kopnął ją w kostkę, bo słuchacze zaczęli już syczeć niczym rozżarzone węgle, a niektórzy wstali z ław. Spytał po raz drugi:



– Czego ode mnie oczekujecie?

– Zdaje się, że zmierzacie do zamku Nędzora.

Szmendryk skinął głową.

– Otóż właśnie – rzekł Drinn. – Zręcznemu czarodziejowi nietrudno byłoby zaprzyjaźnić się z Księciem Lirem, który uchodzi za młodzieńca gorliwego i ciekawskiego. Zręcznemu czarodziejowi nieobce mogą być różne dziwne płyny i proszki, eliksiry i esencje, zioła, jady i maście. Zręcznemu czarodziejowi – zręcznemu, mówię, nic ponadto – otóż zręcznemu czarodziejowi w sprzyjających okolicznościach mogłoby się udać... – Resztę przemilczał, ale i tak wszystko zostało powiedziane.

– Za kolację? – Szmendryk zerwał się z takim impetem, że przewrócił krzesło. Oburącz oparł się o stół, dysząc chrapliwie. – To taka jest dzisiejsza taryfa? Kolacja i wino za otrucie księcia? Drinn, przyjacielu, musisz się lepiej postarać. Za taką gażę nawet kominiarza bym nie wykończył.

Molly Grue wpiła mu się w rękę, wołając:

– Co ty wygadujesz?

Czarodziej strząsnął jej dłoń, ale mrugnął porozumiewawczo. Drinn z uśmiechem rozparł się na krześle.

– Nigdy się nie targuję z zawodowcami – oświadczył. – Dwadzieścia pięć sztuk złota.

Targowali się przez pół godziny, bo Szmendryk żądał stu, a Drinn nie chciał dać więcej niż czterdzieści. Stało na siedemdziesięciu – połowa do ręki, a reszta po powrocie z udanej misji. Drinn od razu odliczył pieniądze ze skórzanej sakiewki u pasa.

– Oczywiście przenocujecie w Bramjędzu – rzekł. – Sam was chętnie ugoszczę.

Ale czarodziej pokręcił głową.

– Chyba jednak nie. Pójdziemy do zamku, skoro jesteśmy już tak blisko. Im szybciej tam staniemy, tym szybciej wrócimy, prawda? – Posłał Drinnowi szczywany uśmiech spiskowca.

– Zamek Nędzora jest niebezpieczny o każdej porze – ostrzegł Drinn. – A zwłaszcza nocą.

– To samo mówią o Bramjędzu – odparł Szmendryk. – Nie wierz we wszystko, co usłyszysz, Drinn.

Ruszył do drzwi, a za nim Molly. Na progu odwrócił się i promiennym wzrokiem potoczył po mieszczanach, skulonych wśród swego bogactwa.

– Pożegnaj was tą oto maksymą – powiedział. – Najbardziej profesjonalnie wykrakana, wywarczana czy wygrzmiana klątwa nie zaszkodzi czystemu sercu. Dobranoc.

Na ulicy noc leżała zwinięta jak żmija, zimna w łuskach gwiazd. Nie było widać księżycy. Szmendryk dziarsko ruszył przed siebie, chichocząc pod nosem i podzwaniając sakiewką.

– Frajerzy – powiedział nie patrząc na Molly. – Wydaje im się, że wszyscy czarodzieje chałturzą jako skrytobójcy. Co innego zdjąć klątwę. To akurat rzeczywiście mógłbym zrobić za kolację, choćby za szklankę wina.

– Całe szczęście, że jej nie zdjąłeś – zajadle odparła Molly. – Zaslugują na ten los i na jeszcze gorszy. Żeby zostawić dziecko w śniegu...

– Przecież gdyby go nie zostawili, nie wyrósłby na księcia. Pierwszy raz jesteś w baśni, czy co? – Czarodziej mówił z pijacką dobroduszością, a oczy błyszczały mu jak dopiero co wyłudzone pieniądze. – Bohater musi wypełnić przepowiednię, a łotr ma mu przeszkadzać, chociaż w innego rodzaju legendach częściej bywa na odwrót. Bohater już z chwilą narodzin powinien wpaść w tarapaty, bo inaczej nie zostanie prawdziwym bohaterem. Jak to dobrze, że nareszcie znamy pochodzenie Księcia Lira. Od dawna czekałem, aż z tej opowieści wyłoni się główna postać.

Jednorogini pojawiła się raptem niby gwiazda na niebie. Sunęła przed nimi jak żagiel w mroku.

– Skoro Lir ma być bohaterem, to kim jest ona? – spytała Molly.

– Z nią to co innego. Nędzior, Lir, Drinn, ty, ja – my wszyscy tkwimy w baśni i musimy iść, dokąd nas prowadzi jej wątek. Ale ona jest prawdziwa. Ona jest prawdziwa. – Nagle zaczął ziewać, czkać i dygotać, wszystko naraz. – Pośpieszmy się – rzekł. – Może i należało przenocować w Bramjędzu, ale ten drań Drinn działa mi na nerwy, chociaż właściwie jestem pewien, że go wyprowadziłem w pole.

Molly szła śniąc i budząc się na przemian. Wydawało jej się, że Bramjędz wyciąga się ku nim jak prawdziwa łapa, otacza ich zagiętymi szponami i lekko trącając popycha to tu, to tam, więc krążą po własnych śladach. Minęło stulecie, zanim dotarli do ostatniego domu na skraju miasta, i jeszcze pół wieku, nim przebrnęli grząskie pola, winnice i przyczajone sady. Molly śniło się, że z wierzchołków drzew owce obleśnie szczerzą do nich zęby, a kamienne krowy nadeptują im na nagniotki i spychają ich z niknącej ścieżki. Wciąż jednak podążała za świetlistym żaglem Jednorogini – tak we śnie, jak i na jawie.

Na tle nieba chybotął zamek Króla Nędziora – ślepy gawron, co po nocach plądrował

dolinę. Molly słyszała sapanie jego skrzydeł. Wtem poczuła we włosach oddech jednorożca i usłyszała, że Szmendryk pyta:

– Ilu?

– Trzech – odparła Jednorogini. – Idą za nami, odkąd wyszliśmy z Bramjędza, ale teraz szybko nas doganiają. Posłuchaj.

Kroki zbyt ciche jak na to, że takie prędkie; głosy zanadto stłumione, aby mogły wróżyć cokolwiek

dobrego. Czarodziej przetarł oczy.

– Może Drinn czuje się winny, bo za słabo opłacił swojego truciciela – mruknął. – Może sumienie nie daje mu spać. Wszystko możliwe. Może wyrosły mi pióra. – Złapał Molly za rękę i wciągnął do twardej jamy na poboczu. Jednorogini położyła się tuż obok, nieruchoma jak światło księżyca.

Sztylety zalśniły niczym rybnie ścieżki w morskim mroku i rozległ się gromki, gniewny głos:

– Mówię wam, zgubiliśmy trop. Minęliśmy ich o milę stąd, wtedy kiedy słyszałem ten szelest. Niech mnie szlag trafi, dalej nie idę.

– Milcz! – wściekle szepnął inny głos. – Chcesz, żeby uciekli i nas wydali? Boisz się czarodzieja? Lepiej bój się Czerwonego Byka. Kiedy Nędzior się dowie, jak brzmi nasza połowa klątwy, pośle go, żeby nas stratował na miazgę.

– Bać się nie boję – nieco spokojniej odparł pierwszy. – Co z niego za czarodziej, skoro nie ma brody. Ale ten cały pościg to strata czasu i tyle. Zeszli z drogi i ruszyli na przełaj, jak tylko się połapali, że za nimi idziemy. Możemy tak pędzić do rana i nigdy ich nie dogonimy.

Trzeci głos, bardziej znużony od tamtych:

– Leziemy już za nimi całą noc. Patrzcie. Zaczyna świtać.

Molly nawet nie zauważyła, kiedy do połowy wlaźła Szmendrykowi pod czarną opończę, wciskając twarz w kępę suchej, szorstkiej trawy. Nie śmiała podnieść głowy, ale otworzyła oczy i zobaczyła, że powietrze dziwnie jaśnieje. Drugi mężczyzna rzekł:

– Dureń jesteś. Do świtu jeszcze co najmniej dwie godziny, a w ogóle to idziemy przecież na zachód.

– Skoro tak – odparł trzeci – to ja wracam do domu.

Zatupotały szybkie kroki: ktoś odchodził drogą. Pierwszy głos zawołał:

– Poczekaj, nie idź! No, czekaj, pójde z tobą! Wcale nie wracam do domu – w pośpiechu mruknął do trzeciego. – Chcę tylko kawałek się cofnąć, bo wciąż mi się zdaje, że ich słyszałem, a zresztą gdzieś po drodze upuściłem hubkę i krzesiwo... – Molly słyszała, że nieznajomy z każdym słowem oddala się o krok.

– A niech was diabli, przekłęci tchórze! – zaklął drugi. – Czekajcie! No, może chociaż poczekacie, aż spróbuję tej sztuczki, której mnie nauczył Drinn? – Kroki zawahały się, a on zaczął głośno recytować:

– Ciepłsze niż lato, sytsze niż chleb, słodsze od kobiet, droższe niż krew...

– Szybciej – rzekł trzeci głos. – No, szybciej. Patrzcie na niebo. Co za bzdury wygadujesz?

Nawet w głosie drugiego słychać było zdenerwowanie, gdy rzekł:

– Żadne bzdury. Drinn tak się troszczy o swoje pieniądze, że one potem nie mogą ścierpieć rozstania. Bardziej wzruszającej zażyłości świat nie widział. Tak właśnie do nich przemawia. – Głos lekko mu drżał, gdy spiesznie podjął deklamację:

– Silniejsze niż woda, śpiewniejsze od wilgi, powiedzcie, kto wam najmilszy.

– Drinn! – zadźwięczały złote monety w sakiewce Szmendryka. – Drinndrinndrinndrinn!

A potem stało się wszystko naraz.

Obszarpana czarna opończa smagneła policzek Molly, gdy Szmendryk poturlał się po ziemi, ukląkł i rozpaczliwie ścisnął w garści sakiewkę. Zajazgotała jak grzechotnik. Cisnął ją daleko w krzaki, ale trzech prześladowcy nadbiegali z obnażonymi sztyletami, które czerwieniły się, jakby zadano już nimi cios. Za zamkiem Króla Nędzora wschodząca luna potężnym barkiem wbijała się w noc. Czarodziej wstał i zaczął grozić napastnikom demonami, metamorfozami, różnymi odmianami paraliżu i tajemnymi chwytami dżudo.

Molly sięgnęła po kamień.

Z pradawnym zewem zniszczenia, radosnym i strasznym, Jednorogini stanęła dęba i wyskoczyła z kryjówki, tnąc powietrze kopytami niby deszczem brzytew, z rozszalałą grzywą, z pióropuszem błyskawicy na czole. Nasłani mordercy upuścili sztylety i skryli twarze w dłoniach. Nawet Molly Grue i Szmendryk skulili się na jej widok, lecz ona nikogo nie widziała. Rozhukana, roztańczona, biała jak morze, po raz drugi rzuciła wyzwanie.

Daleki blask odpowiedział jej takim rykiem, jakby wiosną pękały lody. Ludzie Drinna pierzchli, potykając się i krzycząc piskliwie.

Zamek Nędzora płonął, miotany dzikimi podmuchami lodowatej wichury.

– Ale przecież to morze ma go zniszczyć – powiedziała Molly. – Tak głosi przepowiednia.

Mimo wielkiej odległości przez chwilę zamajaczyło jej okno, a w nim szara twarz. Zaraz potem nadciągnął Czerwony Byk.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

Był koloru krwi, lecz nie tej, która tryska z serca, tylko takiej, co kiśnie pod zastarzałą raną. Straszliwa światłość lała się zeń jak pot, a od jego ryku lawiny ruszały stadami i zderzały się z sobą. Rogi miał blade niczym dwie blizny.

Jednorogini zastygła przed nim jak fala, która już, już ma się załamać. A potem zgasł jej róg, odwróciła się i uciekła. Czerwony Byk zaryczał i skoczył za nią.

Jednorogini nigdy niczego się nie bała. Sama przez się była nieśmiertelna, ale mogła ją zabić harpia,

smok, chimera, zblakana strzała wymierzona w wiewiórkę. Lecz w szponach smoków groziła jej co najwyżej śmierć – nie mogły pozbawić jej pamięci o tym, kim jest, ani same zapomnieć, że nawet martwa wciąż będzie od nich piękniejsza. Czerwony Byk jej nie znał, a mimo to poczuła, że właśnie na nią poluje, nie na jakąś tam siwą klacz. Owiął ją strach, przygasła i uciekła, a rozszalała niewiedza Byka przepęłniła niebo i wylała się w dolinę.

Drzewa skakały jej do oczu. Omijała je szalonym slalomem, choć dotąd bezszelestnie przemykała przez wieczność, o nic nie zawadzając. Za nią pnie pękały pod racicami Czerwonego Byka, jak szklane. Byk znów zaryczał i zaraz potężny konar uderzył ją w ramię, aż potknęła się i upadła. Natychmiast zerwała się do biegu, ale korzenie przeżyły się i podcinały jej nogi, a inne ryły w ziemi spieszenie jak krety, żeby zagrozić drogę. Pnącza smagały ją niby węże dusiciele i plotły sieci wśród drzew, z trzaskiem pękały uschłe witki.

Znowu upadła. Tętent kopyt Czerwonego Byka dudnił jej w kościach, aż krzyknęła.

Musiała jakoś wydostać się z lasu, bo biegła teraz po twardej, nagiej równinie graniczącej z bujnymi łąkami Bramjędza. Nareszcie mogła puścić się cwałem, a gdy jednorozec zaledwie pomyka od niechcenia, zagoniony koń już słania się pod myśliwym i nie słucha ostrogi.

Mknęła z prędkością życia, jakby co mgnienie na nowo się wcielała, jakby sunęła po klindze miecza, szybciej niż jakakolwiek istota dźwigająca brzemień nóg czy skrzydeł. Lecz nawet nie oglądając się za siebie wiedziała, że Czerwony Byk jest coraz bliżej, nadciąga niby październikowa pełnia – ponury, opuchnięty księżyc myśliwego. Zawczasu czuła w swym boku pchnięcie jego sinych rogów, jakby już je tam wbił.

Dojrzałe, ostre kłosa godziły w jej pierś zwartym żywopłotem, ale je tratowała. Srebrny łan pszenicy pod tchnieniem Byka zmieniał się w zimne ciasto i jak śnieg lepił jej się do nóg.

Mimo to biegła, pobekując żałośnie. Słyszała lodowaty zaśpiew motyla: „Dawno temu przebiegły drogami całego świata, a Czerwony Byk sadił tuż za nimi”. Zabił je wszystkie.

Wtem znalazł się przed nią, jakby jakaś siła uniosła go niczym figurę szachową i postawiła na jej drodze. Nie od razu zaszarżował, a ona też nie rzuciła się do ucieczki. Był

ogromny już wtedy, kiedy pierwszy raz przed nim pierzchła, a w trakcie pościgu tak urósł, że nie ogarniała go wyobraźnią, a co dopiero wzrokiem. Kłębem zdawał się dotykać sklepienia przekrwionych niebios, jego nogi przypominały trąby powietrzne, a rogaty łeb orał chmury jakby dwojgiem błyskawic. Byk węszył, marszczył nozdrza i prychał. Jednorogini zrozumiała, że jest ślepy.

Gdyby wtedy na nią się rzucił, oparłaby mu się z całą mocą rozpacz, choć taka była przy nim maleńka, choć zgasł jej róg – i niechby ją rozdeptał. Był od niej szybszy; lepiej stawić mu czoło niż dać się dopaść w biegu. Ale zbliżał się pomału, ze złowrogim wdziękiem, jakby nie chciał jej spłoszyć, więc znów się złamała. Z głębokim, smutnym okrzykiem zawróciła w miejscu i pobiegła przez łaciate pola, przez równinę, w stronę zamku Króla Nędzora, który czaił się w oddali, jeszcze bardziej mroczny niż przedtem. Czerwony Byk pomknął tropem jej trwogi.

Kiedy przegalopował obok Szmendryka i Molly, pęd powietrza odrzucił ich na bok jak dwie drzazgi. Kobieta runęła na ziemię, bez tchu i bez zmysłów, a czarodziej padł w kłębowisko cierni, tracąc połowę opończy i jedną ósmą skóry. Wstali, gdy tylko zdołali dźwignąć się z ziemi, i ruszyli w pościg, kulejąc i wzajemnie się podpierając. Żadne nie odezwało się ani słowem.

Przez las przedarli się łatwiej niż Jednorogini, bo Byk utorował tymczasem drogę.

Gramolili się przez potężne pnie, strzaskane i do połowy wdeptane w ziemię, na czworakach omijali rozpadliny, których w ciemnościach nie mogli zgłębić wzrokiem. „Żadne kopyta nie zostawiłyby takich śladów”, w oszołomieniu pomyślała Molly. „To ziemia popękała, kurcząc się pod ciężarem Byka”. Serce jej zamarło na myśl o Jednorogini.

Kiedy znaleźli się na otwartym polu, zobaczyli ją w oddali, małą jak targany wiatrem strzępek białej piany, ledwie widoczną wśród żaru Byka. Na wpół obłąkana ze zmęczenia i strachu, Molly Grue ujrzała tych dwoje, porwanych tym samym ruchem, którym przemierzają przestrzeń gwiazdy i kamienie: wiecznym spadaniem, wiecznym podążaniem, wiecznym osamotnieniem. Czerwony Byk nigdy nie miał doścignąć Jednorogini, nigdy – póki Teraz nie zrówna się z Zaraz, Minione z Mgnieniem. Molly uśmiechnęła się pogodnie.

Lecz gorejący, dwurogi cień przytłaczał Jednoroginię i zdawał się zewsząd ją otaczać.

Stawała dęba, zawracała, miotała się to tu, to tam, ale uparcie zastępował jej drogę, chyląc łeb, tocząc z pyska grom. Zrobiła jeszcze jeden zwrot, i jeszcze jeden, cofała się i zwinnie uskakiwała na boki, a Czerwony Byk za każdym razem ją zatrzymywał, choć nie ruszał się z miejsca. Nie atakował, ale odcinał jej wszystkie drogi ucieczki – oprócz jednej.

– Prowadzi ją jak owczarek – rzekł Szmendryk półgłosem. – Gdyby miał ją zabić, dawno by to zrobił. Chce ją zapędzić tam, dokąd zapędził wszystkie jednorożce: do zamku Nędzora.

Ale po co?

– Zrób coś – powiedziała Molly dziwnie spokojnie, wręcz zdawkowo, a czarodziej odparł

tym samym tonem:

– Nic tu nie poradzę.

Jednorogini z żalosną wytrwałością rzuciła się do ucieczki. Czerwony Byk pozwalał jej biegać do woli, nie dawał jednak zboczyć z drogi. Kiedy stanęła przed nim po raz trzeci, zadnie nogi drżały jej jak przerażonemu psu. Zaparła się w miejscu, ponuro grzebiąc ziemię kopytem i kładąc po sobie smukłe uszka. Ale nie mogła już wydać głosu, a jej róg nie rozbłysnął na nowo. Skuliła się, kiedy ryk Czerwonego Byka zmarszczył i strzaskał niebo, lecz nie cofnęła się.

– Proszę cię – rzekła Molly Grue. – Proszę, zrób coś. Szmendryk zwrócił się ku niej, zrozpaczony własną bezradnością.

– A co mam zrobić? Co tu pomogą moje nędzne czary? Sztuczki z kapeluszem, z monetami? Albo numer z tłuczeniem kamieni na omlet? Myślisz, że to by zajęło Czerwonego Byka, czy lepsze byłyby śpiewające pomarańcze? Sama wybierz, chętnie spróbuję, bo wierz mi, że chciałbym się na coś przydać.

Nie odpowiedziała. Byk parł naprzód, a Jednorogini coraz bardziej się kuliła, jakby lada chwila miała pęknąć na pół.

– Już wiem – rzekł Szmendryk. – Gdybym potrafił, zmieniłbym ją w jakąś inną istotę, w stworzenie tak skromne, że Byk nie zawracałby nim sobie głowy. Ale tylko wielki czarodziej, mag równy mojemu mistrzowi Nikosowi, miałby na to dość mocy. Przeistoczyć jednorożca!

Ten, kto by tego dokonał, mógłby żonglować porami roku i tasować lata jak talię kart. A ja mogę akurat tyle co ty. Nawet mniej, bo tobie wolno jej dotykać, a mnie nie. – Umilkł, lecz zaraz dodał: – Patrz. To już koniec.

Jednorogini zastygła w bezruchu, zwiesiła głowę, a jej biel ustąpiła miejsca zszarganej szarości mydlin. Wydawała się mała, zbiedzona, i nawet Molly, która tak ją kochała, nie mogła nie zauważyć, jak niedorzeczny staje się jednorożec, gdy traci swój blask: lwi ogon, jelenie nogi, kozie kopytka, grzywa zimna i puszysta jak piana na mojej dłoni, zwęglony róg, oczy – ach, oczy! Chwyliła Szmendryka za ramię i wpiła się w nie z całej siły.

– Przecież masz moc – usłyszała własne słowa, wypowiedziane głosem głębokim i czystym jak u Sybilli. – Może nie umiesz do niej dotrzeć, ale tkwi w tobie. Przywołałeś Robin Hooda i chociaż nikt taki nie istnieje, jednak się zjawił: prawdziwy Robin Hood. Tak działa czar. Masz tyle mocy, ile zechcesz, tylko zdobądź się na odwagę, żeby jej poszukać.

Szmendryk patrzył na nią w milczeniu, z takim napięciem, jakby chciał zielonymi oczami zaczerpnąć mocy z oczu Molly Grue. Byk ruszył lekkim kroczeniem w stronę Jednorogini: już jej nie ścigał, tylko samą swą obecnością nakazywał posłuch, a ona ustępowała, uległa, powolna. Szedł za nią jak pies pasterski, prowadząc ją ku szczerbatej baszcie Króla Nędzora, ku morzu.

– Och, błagam cię! – Kobiecie zaczynał łamać się głos. – Tak nie można, to nie do pomyślenia. Wpadnie w łapy Nędzora i nikt jej więcej nie zobaczy. Błagam cię, przecież jesteś czarodziejem, nie pozwolisz, prawda? – Jeszcze mocniej wbiła mu paznokcie w ramię.

– Zrób coś! – Wybuchła łkaniem. – Nie pozwól mu, zrób coś!

Szmendryk daremnie próbował rozewrzeć jej zaciśniętą pięść.

– Ni cholery nie zrobię – powiedział przez zęby – póki nie przestaniesz szczypać.

– Oj – rzekła Molly. – Przepraszam.

– Pewnie nawet nie wiesz, że w ten sposób można przerwać krążenie – skarcił ją czarodziej. Rozmasował sobie ramię, zrobił parę kroków i stanął Czerwonemu Bykowi na drodze. Założył ręce na piersi i usiłował zadrzeć głowę, choć ze zmęczenia co chwila mu opadała.

– Może rzeczywiście już pora – dobiegło Molly jego mamrotanie. – Może nareszcie przyszła pora. Nikos powiedział... co on takiego powiedział? Nie pamiętam. Minęło tyle lat. –

Mówił to dziwnie starym, smutnym tonem, jakiego Molly nigdy u niego nie słyszała. Lecz radość strzeliła płomieniem w jego głosie, gdy rzekł:

– No, kto wie? Kto wie? Nawet jeśli jeszcze nie wybiła godzina, a nuż uda ci się ją przynaglic. Tym razem przynajmniej niczego nie zepsujesz, bo gorzej być już nie może. Ot i cała pociecha, kolego Szmendryk – zaśmiał się z cicha.

Czerwony Byk był ślepy, więc nie zwracał uwagi na stojącą mu na drodze wysoką postać, póki jej omal nie nadepnął. Przystanął i zaczął węszyć; burza wezbrała mu w krtani, ale kołysał łbem, jakby zbity z tropu. Kiedy się zatrzymał, zatrzymała się i Jednorogini, a Szmendrykowi zaparło dech z żalu, że tak się dała ujarzmić.

– Uciekaj! – zawołał. – Pędź, no już!

Lecz ona nie patrzyła ani na niego, ani na Byka, tylko stała ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Na dźwięk głosu czarodzieja warkot w gardzieli Byka zabrzmiał donośniej i groźniej.

Potwór wyraźnie chciał czym prędzej wydostać się z doliny, zabierając jednorozca, a Szmendryk domyślał się, skąd ten pośpiech. Ponad wyniosłym blaskiem Byka mignęło mu kilka białych gwiazd i ostrożna smuzka cieplejszej zorzy. Zbliżał się świt.

– Nie przepada za światłem dziennym – rzekł do siebie czarodziej. – Dobrze wiedzieć.

Raz jeszcze krzyknął do Jednorogini, żeby uciekała, ale odpowiedział mu tylko ryk podobny do warkotu werbli. Jednorogini rzuciła się naprzód, a Szmendryk musiał jej uskoczyć z drogi, boby go stratowała. Tuż za nią nadciągnął Byk. Gnał ją teraz szybko, tak jak wiatr gna wątle strzępy mgły.



Szedł od niego taki podmuch, że Szmendrykiem cisnęło o ziemię, aż zaczął koziołkować i turlać się, umykając spod kopyt, oślepiły od wstrząsu, z głową pełną płomieni. Niewyraźnie usłyszał krzyk Molly Grue.

Dźwignął się na jedno kolano i zobaczył, że Czerwony Byk zapędził Jednoroginię prawie na skraj lasu. Gdyby jeszcze choć raz spróbowała uciec! Ale władał nią Byk, a nie własna wola. Czarodziej ujrzał ją na mgnienie – bladą, zabłąkaną między blade rogi – nim czerwony garb zasłonił ją dziką falą. Osłabły i pokonany, słaniając się na nogach zamknął oczy i poczekał, aż beznadzieja przeniknie go na wskroś, a wtedy zbudziło się w nim to niewiadome, co dało już kiedyś znać o sobie. Krzyknął z radości i strachu.

Nigdy się nie dowiedział, jakimi słowy tym razem przemówił czar. Uleciały jak orły, a on dał im tę wolność; gdy wypuścił ostatnie, pustka wróciła z hukiem piorunu i rzuciła go twarzą na ziemię. Wszystko stało się w jednej chwili. Tym razem zrozumiał, nim jeszcze wstał, że moc uszła z niego równie szybko, jak go nawiedziła.

W oddali Czerwony Byk zastygł w bezruchu i szturchał nosem coś, co leżało na ziemi Jednorogini znikła. Szmendryk czym prędzej ruszył w tamtą stronę, ale Molly pierwsza podeszła dość blisko, żeby zobaczyć, co Byk obwąchuje. Po dziecinnemu włożyła palce do ust.

Między kopytami Czerwonego Byka leżała młoda dziewczyna, niby wzgórek światła i cienia. Była naga, a jej skóra miała kolor śniegu w świetle księżyca. Delikatne, potargane włosy, białe jak wodospad, sięgały jej prawie do pasa. Twarz skryła w ramionach.

– Och – westchnęła Molly. – Och, coś ty zrobił?

Nie bacząc na niebezpieczeństwo, podbiegła do dziewczyny i uklękła przy niej.

Czerwony Byk uniósł olbrzymi łeb i z wolna obrócił się w stronę Szmendryka. W miarę jak szare niebo jaśniało, potwór zdawał się karleć i płowieć, choć dalej buchał wściekłym blaskiem pełzającej lawy. „Ciekawe, jaki jest duży i jakiej maści, kiedy zostaje sam”, pomyślał czarodziej.

Czerwony Byk raz jeszcze powąchał nieruchome ciało, które drgnęło pod jego lodowatym oddechem, a potem bezdźwięcznie pocwałował w las i w trzech gigantycznych susach znikł za horyzontem. Szmendryk po raz ostatni dostrzegł go na skraju doliny już nie jako uchwytny kształt, tylko kłębiącą się ciemność, ten sam czerwony mrok, który widzimy, gdy z bólu zaciskamy oczy. Rogi zmieniły się w dwie najostrzejsze iglice szalonego zamku Króla Nędzora.

Molly Grue wzięła na kolana głowę białej dziewczyny, powtarzając szeptem: „Coś ty zrobił?” Szmendryk nigdy w życiu nie widział piękniejszej twarzy niż ta uśpiona, spokojna, niemal uśmiechnięta. Jej widok ranił mu serce, a zarazem je grzał. Molly przyglądała dziwne białe włosy i czarodziej spostrzegł, że dziewczyna ma na czole niewielki znak: między zamkniętymi oczami, nieco powyżej nich, widniał wypukły punkcik, ciemniejszy niż reszta skóry. Nie była to blizna ani siniec, raczej znamię podobne do kwiatu.

– Jak to co zrobiłem? – spytał, przerywając jęki Molly. – Tylko tyle, że mocą czarów uratowałem ją przed Bykiem. Mocą czarów, kobieto, moją własną, najprawdziwszą mocą!

Bezradny wobec zachwyty, który go nagle ogarnął, chciał tańczyć, a jednocześnie zastygnąć w bezruchu; kipiały w nim okrzyki i przemowy, ale nie miał nic do powiedzenia.

Wreszcie wybuchnął głupkowskim śmiechem, chwycił się dłońmi za ramiona, a gdy mu w końcu zabrakło tchu i nogi odmówiły posłuszeństwa, wyciągnął się na ziemi obok Molly.

– Daj no tę swoją opończę – powiedziała kobieta. Patrzył na nią rozpromieniony, mrugając oczami, więc sama sięgnęła po okrycie i bez ceregieli zdarła mu je z grzbietu.

Owinęła dziewczynę, jak się dało, ale ciało śpiącej świeciło przez materiał niczym słońce przez liście.

– Pewnie się zastanawiasz, jak zamierzam przywrócić jej dawną postać – zaczął

Szmendryk. – Nie troszcz się o to. Moc sama mnie nawiedzi, kiedy będę jej potrzebował.

Teraz już wiem. Przybędzie na me wezwanie, ale dziś jeszcze nie pora. – Chwycił w ramiona Molly Grue i długaczynymi rękami objął ją za głowę. – Miałaś rację! – zawołał. – Miałaś rację! Moc naprawdę we mnie tkwi, jest moja!

Molly wyrwała mu się z obtartym policzkiem i czerwonymi uszami. Dziewczyna wciąż trzymała głowę na jej kolanach. Przestała się uśmiechać, westchnęła przez sen i odwróciła twarz od słońca.

– Szmendryk, ty biedaku – rzekła Molly. – Biedny czarodzieju, czy naprawdę nie widzisz...

– A co mam widzieć? – odparł zaczepnie, ale w jego głosie zabrzmiał nagle twardy, czujny ton, a w zielonych oczach pojawił się lęk. – Czerwony Byk przyszedł po jednorożca, więc musiałem ją zmienić w co innego. Sama błagałaś, żebym ją zmienił, więc o co te dąsy?

Molly pokręciła głową, która trzęsła jej się jak staruszce.

– Nie wiedziałam, że chcesz ją zmienić w dziewczynę. Już lepiej byś zrobił... – urwała, spuszczac wzrok przed jego spojrzeniem. Jedną ręką wciąż głaskała śnieżne włosy śpiącej.

– To czar wybrał tę postać, nie ja – odrzekł Szmendryk. – Tylko szarlatan może dowolnie wybrać taki czy inny szwindel. Czarodziej jest sługą, jest osłem, który niesie swego pana, dokąd ten mu każe. Czarodziej strzela, czar kule nosi. Skoro zmienia jednorożca w człowieka, znaczy, że tak zrobić należało. – Twarz pałała mu deliryczną gorączką i wydawała się jeszcze młodsza. – Jestem posłańcem – zaśpiewał. – Jestem heroldem...

– Jesteś idiotą – wściekle przerwała mu Molly Grue. – Słyszysz? Owszem, jesteś czarodziejem, ale i durniem.

Dziewczyna usiłowała się zbudzić. Molly i Szmendryk patrzyli, jak rozchyła i zaciska dłonie, a powieki pulsują jej niczym pierś ptaka. Z cichym westchnieniem otworzyła oczy.

Były szerzej i głębiej osadzone niż u zwykłych ludzi, ciemne niby morska głębia i jak ona rozświetlone rojem dziwnych, migotliwych istot, które nigdy nie wypływają na powierzchnię.

„Choćby ją przemieniono w jaszczurkę, rekina, ślimaka czy gęś, oczy i tak zdradziłyby, kim jest naprawdę”, pomyślała Molly. „Przynajmniej ja bym ją zawsze poznała”.

Przebudzona leżała bez ruchu, szukając swego odbicia najpierw w oczach kobiety, a potem mężczyzny. Wtem poderwała się z ziemi, aż czarna opończa spadła na kolana Molly.

Dziewczyna zaczęła wirować w miejscu, wpatrzona we własne dłonie, które trzymała przy piersiach, nie wiedząc, co z nimi począć. Skakała i szamotała się jak małpa nauczona sztuczek, z głupkowato zdumioną miną, jak ktoś, komu splątano okrutnego figla, a i tak była piękna w każdym ruchu. Jej usidlona zgroza miała dla Molly więcej uroku niż czyjkolwiek radość – i to właśnie było najstraszniejsze.

– Osioł – powiedziała kobieta. – Herold.

– Zmienię ją z powrotem w jednorożca – ochryple rzekł czarodziej. – Spokojna głowa.

Zmienię ją z powrotem.

Lśniąca dziewczyna zatoczyła się to w jedną, to w drugą stronę, choć nogi miała młode i silne. Nagle potknęła się i upadła. Ciężko się przy tym potłukła, bo nie umiała podeprzeć się rękami. Molly podbiegła do niej, ale tamta skuliła się na ziemi i wpatrując się w kobietę spytała niskim głosem:

– Coście mi zrobili?

Molly wybuchła płaczem.

Szmendryk podszedł do nich. Czuł, że twarz ma zimną i moką, ale głos mu nie zadrżał, kiedy rzekł:

– Nadałem ci ludzką postać, żeby cię uratować przed Czerwonym Bykiem. Nie miałem innego wyjścia. Przywrócę ci dawny kształt, kiedy tylko będę mógł.

– Czerwony Byk – szepnęła dziewczyna. – A! – Wpadła w dziki dygot, jakby coś nią targało od wewnątrz z szalonym łomotem. – Był za silny – powiedziała. – Za silny. Jego siła nie ma końca ani początku. Jest starszy ode mnie.

Rozszerzyły jej się oczy. Molly miała wrażenie, że Byk przemierza ich toń jak płomienista ryba i znika. Dziewczyna zaczęła nieśmiało obmacywać sobie twarz, wzdrygając się przy każdym dotknięciu. Gdy zakrzywionymi palcami musnęła znamię na czole, zamknęła oczy i wydała cienki, przeszywający skowyt, w którym było poczucie straty, znużenie i bezdenne rozpacz.

– Coście mi zrobili? – krzyknęła. – Przecież ja tu umrę! – Zaczęła drzeć paznokciami swą gładką skórę, aż krew popłynęła jej spod palców. – Umrę tu! Umrę tu! – powtarzała. Ale w jej twarzy nie było śladu przerażenia, które szalało w głosie, w ruchach dłoni i stóp, w śnieżnych włosach zalewających kaskadą jej nowe ciało. Twarz pozostała spokojna, nie tknięta troską.

Molly pochyliła się nad dziewczyną, na ile tylko śmiała, błagając, żeby przestała się kaleczyć. Wtem Szmendryk powiedział:

– Spokój. – Słowo to trzasnęło jak jesienna gałąź. – Czar wiedział, co robi. Uspokój się i słuchaj.

– Czemu nie pozwoliłeś, żeby zabił mnie Byk? – zawodziła biała dziewczyna. – Czemu nie porzuciłeś mnie na pastwę harpii? Byłby to mniej okrutny los niż zamknięcie w tej klatce.

Czarodziej skrzywił się, wspomniawszy, o co Molly Grue niegdyś żartem go oskarżyła, ale rzekł ze spokojem rozpaczy:

– Przede wszystkim zauważ, że to całkiem zgrabna klatka. Gdybyś jeszcze wypiękniała, przestałabyś być człowiekiem.

Dziewczyna zaczęła się sobie przyglądać: popatrzyła z ukosa na swe ramiona i ręce, na podrapane, zbroczone krwią ciało. Stała na jednej nodze, żeby obejrzeć podeszwę drugiej; wzniosła oczy ku srebrzystym brwiom, spojrzała zezem w stronę policzków i nosa; zbadała nawet morską zieleń żyłek w nadgarstkach zgrabnych jak młode wydry. W końcu zwróciła się twarzą do czarodzieja, a jemu znowu zaparło dech. „Udał mi się wielki czar”, pomyślał; czuł

jednak w gardle drgnienie smutku, ostre jak haczyk na ryby.

– Niech i tak będzie – powiedział. – Wszystko ci jedno, czy cię zmieniłem w dziewczynę, czy w nosorożca, od którego zresztą zaczął się cały ten głupi mit. Ale w obecnej postaci masz przynajmniej szansę dotrzeć do Króla Nędzora i dowiedzieć się, co się stało z twoimi pobratymcami. Jako jednorożec podzieliłabyś tylko ich los. A może ci się wydaje, że za drugim razem pokonałabyś Byka?

Śnieżna dziewczyna pokręciła głową.

– Nie – odparła. – Wykluczone. Za drugim razem jeszcze krócej bym wytrzymała. – Jej głos brzmiał zbyt miękko, jakby miał przetrącone kości. – Moi bracia przepadli, a ja wkrótce podążę ich śladem, w jakiegokolwiek postaci mnie uwięzisz. Każde więzienie byłoby jednak lepsze niż to. Nosorożec jest równie pokraczny jak człowiek i równie śmiertelny, ale przynajmniej nie myśli, że jest piękny.

– No właśnie – przyznał czarodziej. – Toteż przez całe życie pozostaje nosorożcem i nigdy nie doczeka się audiencji nawet u Króla Nędzora. Lecz młoda dziewczyna, która ani dba o to, że nie jest nosorożcem, ma szansę zaintrygować króla i jego syna, a nim ją rozszyfrują, może zdoła rozwikłać własną zagadkę. Nosorożce nie należą do zwierząt dociekliwych, ale młode dziewczęta owszem.

Ze zwarzonego nieba lał się żar; słońce zdążyło już rozpląnąć się w kałużę lwiej maści; na równinie

wokół Bramjędza panował bezruch zakłócany jedynie podmuchami stęchłego, ciężkiego wiatru. Naga dziewczyna z kwietnym znamieniem na czole bez słowa wpatrywała się w zielonookiego mężczyznę, a kobieta patrzyła z boku na nich dwoje. W beżowym świetle poranka zamek Króla Nędzora nie wydawał się ani przekłety, ani jakoś specjalnie mroczny, tylko po prostu obskurny, zniszczony i od początku źle pomyślany. Cherlawe wieże wcale nie przypominały byczych rogów, raczej ogon błazeńskiej czapki. „Albo rogaty dylemat”, pomyślał Szmendryk. „Jeden z tych, co to zawsze mają więcej niż dwa rogi”.

– Wciąż jestem sobą – powiedziała biała dziewczyna. – A to ciało umiera. Czuję, jak gnije wokół mnie. Czy coś, co ma umrzeć, może być prawdziwe? Prawdziwie piękne?

Molly Grue znów zarzuciła jej na ramiona opończę, nawet nie gwoli skromności czy przyzwoitości, tylko przez jakąś dziwną litość, jakby chciała oszczędzić przemienionej jej własnego widoku.

– Coś ci opowiem – rzekł Szmendryk. – W dzieciństwie oddano mnie na naukę do najpotężniejszego czarodzieja wszech czasów, wielkiego Nikosa, o którym już wcześniej wspominałem. Lecz nawet on, zdolny przemienić kota w kocioł, płatek śniegu w przebiśnieg, a jednorożca w człowieka, nie umiał ze mnie zrobić choćby jarmarcznego szulera. W końcu powiedział: „Mój synu, twoja niepojętność jest tak bezgraniczna, niewiedza tak przepastna, że musi mieszkać w tobie moc, jakiej nigdy nie zznałem. Chwilowo działa ona niestety na wspak i nawet ja nie potrafię odwrócić jej biegu. Widać los chce, żebyś sam w swoim czasie i własną drogą dotarł do źródła tej mocy, ale szczerze ci powiem, że bez mojej interwencji mógłbyś tego nie dożyć. Od dziś przestaniesz więc się starzeć i będziesz obiegał świat jako wiekuisty nieudacznik, póki się nie odnajdziesz, póki wreszcie nie odkryjesz, kim jesteś. Nie dziękuj. Drzę na myśl o twym losie.

Śnieżna dziewczyna utkwiała w nim czyste, odwieczne spojrzenie oczu jednorożca, łagodnych i strasznych w nietkniętej twarzy, ale nic nie powiedziała. Za to Molly Grue spytała:

– A kiedy już odnajdziesz swoją moc? Co wtedy?

– Czar pryśnie i znów zacznę pomału umierać, tak jak zacząłem w chwili narodzin.

Nawet najwięksi czarodzieje starzeją się i umierają, jak to ludzie. – Nogi ugięły mu się w kolanach, głowa opadła na pierś, ale zaraz się ocknął: wysoki, chudy obdartus, od którego zalatywało kurzem i winem. – Mówiłem ci, że jestem starszy, niż wyglądam. Urodziłem się jako zwykły śmiertelnik, od lat dźwigam idiotyczne brzemie nieśmiertelności, a pewnego dnia znów stanę się śmiertelny. Wiem zatem coś, czego jednorożec wiedzieć nie może. Wszystko, co śmiertelne, jest piękne. Piękniejsze od jednorożca, który żyje wiecznie i jest najpiękniejszą istotą na świecie. Rozumiesz?

– Nie – przyznała śnieżna panna.

Czarodziej uśmiechnął się ze znużeniem.

– Ale kiedyś zrozumiesz. Odtąd jesteś z nami w jednej bajce i chcąc nie chcąc musisz podążać za jej wątkiem. Jeśli pragniesz odnaleźć pobratymców, jeśli pragniesz znów stać się jednorożcem, musisz

ić tropem baśni do zamku Króla Nędzora i wszędzie, dokąd baśń cię zaprowadzi. Ona przecież nie może się skończyć bez księżniczki.

– Nie pójdę – odparła śnieżna panna. Odsunęła się o krok, czujna, okryta kaskadą zimnych włosów. – Nie jestem księżniczką, nie jestem kobietą śmiertelną. Nie pójdę. Odkąd porzuciłam swój las, spotyka mnie samo zło, i tylko zło mogło spotkać jednorożce w tym kraju. Zwróć mi moją prawdziwą postać, a wrócę do swoich drzew, do swojej sadzawki, do siebie. Twoja baśń nie ma nade mną władzy. Jestem jednorożcem. Jestem ostatnim jednorożcem.

Czy już kiedyś to powiedziała, dawno temu, wśród morskozielonej ciszy drzew?

Szmendryk wciąż się uśmiechał, lecz Molly Grue poprosiła:

– Zmień ją z powrotem w jednorożca. Podobno umiesz. Niech wraca do swojego lasu.

– Nie mogę – odrzekł czarodziej. – Mówiłem ci, że nie mogę rozkazywać czarowi, przynajmniej na razie. I właśnie dlatego ja też muszę iść do zamku, choć nie wiem, czy czeka mnie tam zguba, czy uśmiech losu. Gdybym teraz spróbował cofnąć czar, mógłbym rzeczywiście zrobić z niej nosorożca. W najlepszym razie. A w najgorszym... – Zadrżał i umilkł.

Dziewczyna odwróciła się do nich tyłem i spojrzała na pochylony nad doliną zamek. Nie dostrzegła żadnego ruchu w oknach ani między chwiejnymi wieżyczkami, najmniejszego śladu Czerwonego Byka. Wiedziała jednak, że Byk tam jest, że w zasepieniu czeka wśród korzeni zamku, aż znów zapadnie ciemność: potężny bez granic, niepokonany jak noc. Po raz drugi dotknęła czoła w miejscu, z którego jeszcze niedawno wyrastał róg.

Kiedy z powrotem się obróciła, tamci dwoje spali siedząc na ziemi, z głowami wspartymi o powietrze, z rozdziawionymi ustami. Patrzyła, jak oddychają, i jedną ręką przytrzymywała pod szyją czarną opończę. Z wielkiej dali po raz pierwszy zaleciała ją słaba woń morza.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Warta dostrzegła przybyszów tuż przed zachodem, gdy oślepiające słońce odbijało się w gładkiej powierzchni morza. Zamek zwieńczony mnóstwem koślawych wież przypominał

drzewo rosnące korzeniami do góry. Po szczycie jednej z najwyższych przechadzali się dwaj strażnicy. Ze swego miejsca ogarniali wzrokiem dolinę Bramjędza, miasto ze stromymi wzgórzami w tle oraz drogę wiodącą ze skraju doliny do głównej bramy zamku Króla Nędzora, potężnej, choć obsuniętej na zawiasach.

– Mężczyzna i dwie kobiety – rzekł pierwszy strażnik i pospieszył na drugą stronę wieży; żołądek podszedł mu do gardła, bo wieża stała tak pochyło, że wartownikowi zawisło nad głową pół nieba, pół morza. Zamek tkwił na skraju urwiska, które opadało ostrą klingą ku wąskiemu spłachetkowi żółtej plaży, wytartej do nitki o zielone i czarne skały. Ptaki podobne do oklapłych worków siedziały na skałach, pokrzykując kpiąco:

– Drwiii, drwiii!

Drugi strażnik podążał śladem pierwszego, ale spokojniejszym krokiem.

– Mężczyzna i kobieta – powiedział. – Trzecia postać, ta w opończy... nie jestem pewien, kto zacz.

Obaj strażnicy mieli na sobie zbroje domowej roboty, sklecone z kółek, kapsli od butelek i ogniwo łańcuchów naszytych na źle wyprawione skóry. Choć twarze zasłaniały im zardzewiałe przyłbice, znać było po głosie i chodzie, że drugi wartownik jest starszy od towarzysza.

– Ta postać w czarnej opończy – powtórzył. – Nie zgaduj zbyt pochopnie, kto to taki.

Pierwszy pochylił się nad skośną taflą morza, od której bił pomarańczowy blask.

Zawadził przy tym nędzną zbroją o blanki i zdarł z niej parę ćwieków.

– To kobieta – oświadczył. – Prędzej niż w jej płeć zwątpiłbym we własną.

– Masz po temu wszelkie powody – szyderczo odparł drugi – bo o twojej męskości świadczy tylko to, że dosiadasz konia okrakiem. Jeszcze raz cię ostrzegam: nie sądz

pochopnie, czy to mężczyzna, czy kobieta. Poczekaj, aż się naocznie przekonasz.

Pierwszy odpowiedział, nie odwracając głowy:

– Choćby mi się nigdy nie śniło, że świat skrywa dwa sprzeczne sekrety, choćbym wszystkie napotkane kobiety brał za stworzenia niczym nie różniące się ode mnie, wiedziałbym, że ta, co nadchodzi, nie przypomina żadnej ze znanych mi istot. Zawsze żałowałem, że nie mogę ci dogodzić; ale gdy na nią patrzę, robi mi się żal, że samemu sobie bardziej nie dogadzałem. Och, jak mi teraz żal.

Wychylił się jeszcze dalej i wyęzając wzrok spoglądał ku trzem postaciom, które z wolna nadchodziły drogą. Za kratą jego przyłbicy zagrzechotał lekki śmieszek.

– Ta druga ma chyba obtarte pięty i szorstki charakter – zameldował. – Mężczyzna raczej da się lubić, choć od razu widać, że to włóczykij. Pewnie minstrel albo aktor. – Urwał i przez dłuższą chwilę w milczeniu przyglądał się nadchodzącym.

– A ta trzecia? – spytał starszy. – Twoja luba, której zagadkowe włosy złoci zachód słońca? Zdażyła ci się sprzykrzyć przez kwadrans? Czyżbyś już jej się przyjrzał bliżej, niżli miłość śmie się przyglądać? – Jego głos szeleścił w hełmie jak tupot ostrych pazurków.

– Chyba nigdy nie zdołałbym jej się bliżej przyjrzeć – odparł wartownik – choćby nie wiem jak blisko podeszła. – Powiedział to ściszym głosem, w którym szumiał żal i echa straconych szans. – Jest taka świeża – dodał. – Wszystko u niej dzieje się pierwszy raz. Patrz, jak się rusza, jak idzie, jak obraca głowę: wszystko zdarza się pierwszy raz, jakby nikt przed nią nie wykonywał tych prostych

gestów. Popatrz, jak wciąga powietrze i jak je wypuszcza, jakby nikt inny na świecie nie wiedział, że ono służy płucom. Całe jest dla niej. Gdybym się dowiedział, że urodziła się dziś rano, zdziwiłbym się, że jest taka stara.

Drugi strażnik w milczeniu patrzył na trójkę wędrowców. Najpierw spostrzegł go wysoki mężczyzna, a potem kobieta o zaciętej twarzy. W ich oczach odbił się tylko jego pancierz –

posępny, zapleśniały i pusty. Ale gdy dziewczyna w podartej opanczy zadarła głowę, wartownik cofnął się od blanków i dłonią w blaszanej rękawicy zasłonił się przed jej spojrzeniem. Po chwili wraz z dwojgiem towarzyszy skryła się w cieniu murów, więc opuścił

rękę.

– Może się okazać, że jest obłąkana – rzekł spokojnie. – Dorosła kobieta musi być obłąkana, żeby mieć takie oczy. Byłoby to irytujące, ale i tak lepsze niż druga możliwość.

– Czyli? – po chwili milczenia ponaglił go młodszy.

– Czyli to, że naprawdę urodziła się dziś rano. Już bym wolał, żeby była obłąkana.

Chodźmy na dół.

Kiedy przybysze dotarli do zamku, po bokach bramy stali obaj wartownicy z bułatami przypasanymi na brzuchach, skrzyżowawszy tępe i powykrzywiane halabardy. Słońce zaszło tymczasem, a im bardziej gasł blask morza, tym groźniej wyglądał ich absurdalny rynsztunek.

Podróżni zawahali się i spojrzeli po sobie. Nie mieli za plecami mrocznego zamku, a ich oczu nie skrywały przyłbice.

– Coście za jedni? – rozległ się zasuszony głos drugiego strażnika.

Wysoki mężczyzna postąpił o krok.

– Nazywam się Szmendryk Czarodziej – oświadczył. – To jest Molly Grue, moja podręczna, a to Lady Amaltea. – Przy imieniu śnieżnej panny lekko się zaciął, jakby wymawiał je po raz pierwszy. – Przyszliśmy prosić Króla Nędzora o audiencję – dodał. –

Przybywamy z daleka.

Drugi strażnik czekał, aż pierwszy się odezwie, ale ten patrzył wyłącznie na Lady Amalteę, więc starszy spytał niecierpliwie:

– Jaki macie interes do Króla Nędzora?

– Powiem to tylko samemu Nędzorowi – odparł czarodziej. – Cóż by to była za sprawa wagi państwowej, gdybym mógł ją powierzyć odźwiernym czy innej służbie? Prowadźcie nas do króla.



– A jakąż to sprawę wagi państwowej może mieć do Króla Nędzora wędrowny magik o niewyparzonym języku? – spytał drugi strażnik mrocznym tonem. Odwrócił się jednak i ruszył przez zamkową bramę, a za nim powlekli się królewscy goście. Na końcu szedł

młodszy wartownik, stąpając równie delikatnie jak Lady Amaltea, której ruchy bezwiednie naśladował. Gdy przystanęła przed bramą i spojrzała na morze, zrobił to samo.

Jego dawny towarzysz gniewnie go zawołał, ale młody strażnik przeszedł tymczasem pod inny sztandar, więc za swe wybryki odpowiadać miał przed nowym dowódcą. Wszedł do bramy dopiero wtedy, gdy zechciała to zrobić Lady Amaltea. Idąc za nią śpiewał sobie na monotonna, marzycielską nutę:

Cóż to się ze mną dzieje?

Cóż to się ze mną dzieje?

Sam nie wiem, cieszyć się czy lękać.

Cóż to się ze mną dzieje?

Na dziedzińcu brukowanym kocimi łbami przeciągnęła im po twarzach wisząca na sznurach mokra, zimna bielizna. Z dziedzińca weszli przez mniejszą bramę do sali tak ogromnej, że w ciemnościach nie było widać ścian ani sufitu. Gdy przedzierali się przez mrok, potężne kamienne kolumny rzucały się w ich stronę i odsuwały, nim zdążyli je choćby w przelocie zobaczyć. W olbrzymiej komnacie nawet oddech odbijał się echem, a kroki różnych drobnych stworzonek rozlegały się równie wyraźnie jak ich własne. Molly Grue trzymała się blisko Szmendryka.

Minawszy tę wielką salę stanęli przed kolejnymi drzwiami i wąskimi schodami ruszyli w górę. Po drodze niewiele było okien, żadnych lamp ani pochodni. Schody wiły się coraz ciaśniejszą spiralą, aż przybyszom zaczęło się zdawać, że przy każdym kroku robią pełny obrót, a wieża zaciska się wokół nich jak spocona pięść. Ciemność miała wzrok i dotyk. Czuć ją było zmokłym psem.

Z pobliskiej otchłani dobiegł gromowy łoskot. Wieża zadrzała jak okręt wyrzucony na ląd i odpowiedziała niskim, kamiennym skowytom. Troje wędrowców krzyknęło, czepiając się ścian, żeby nie spaść z rozdygotanych schodów, ale ich przewodnik niezłomnie i bez słowa parł przed siebie. Młodszy strażnik szepnął żarliwie do Lady Amaltei:

– To nic takiego, proszę się nie bać. To tylko Byk.

Drugi wartownik zatrzymał się raptem, wyjął z jakiejś skrytki klucz i wbił go prosto w litą ścianę – tak to przynajmniej wyglądało. Część muru odsunęła się jak na zawiasach i nieliczny korowód wkroczył do niskiej i wąskiej komnaty z jednym oknem. Pod ścianą na wprost drzwi stało krzesło, które służyło za całe umeblowanie. W komnacie nie było żadnych innych sprzętów, dywanów, kotar ani arrasów: tylko pięcioro ludzi, wysokie krzesło i mączyste światło wschodzącego księżyca w nowiu.

– Oto sala tronowa Króla Nędzora – oznajmił strażnik. Czarodziej chwycił go za opancerzony łokieć i obrócił twarzą ku sobie.

– Przecież to cela. Grobowiec. Żaden żywy król tu nie zasiada. Prowadźcie nas do Nędzora, jeśli on jeszcze żyje.

– Oceń to sam – zabrzmiał w odpowiedzi myszkujący głos. Strażnik odpiął hełm i zdjął go z siwej głowy. – Jam jest Król Nędzor – oświadczył.

Jego oczy były tej samej barwy, co rogi Czerwonego Byka. Górował wzrostem nad Szmendrykiem, a jego twarz, choć poorana głębokimi zmarszczkami, nie miała w sobie cienia głupkowatości ani łatwowierności. Przypominała pysk szczupaka: szczęki były długie i zimne, policzki twarde, chuda szyja tryskała siłą. Mógł mieć lat siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lub więcej.

Podszedł pierwszy strażnik, także z hełmem pod pachą. Molly Grue zapało dech na widok tej z kolei twarzy, było to bowiem przyjazne, jakby zmięte oblicze młodego księcia, który czytał czasopismo, gdy jego księżniczka wabiła jednoroźca.

– A to jest Lir – rzekł Król Nędzor.

– Jak się macie – powiedział Księżę Lir. – Miło was poznać.

Jego uśmiech wił się u ich stóp jak pełen optymizmu szczeniak, ale oczy –

ciemnobłękitne w cieniu szczeciniastych rzęs – ufnie wyszły na spotkanie oczom Lady Amaltei. Ona także nań patrzyła, milcząca niby klejnot, ale widziała go równie niewyraźnie, jak ludzie widzą jednoroźce. Lecz księżę poczuł dziwną, radosną pewność, że przejrzała go na wskroś, zaglądając w otchłanie, o których istnieniu nawet nie wiedział, póki jej wzrok nie rozszedł się w nich echem. Na południowy zachód od jego dwunastego żebra jęły się budzić cuda, dziwy, i w końcu sam załśnił blaskiem odbitym od Lady Amaltei.

– Co was do mnie sprowadza?

Szmendryk Czarodziej odchrząknął i skłonił się przed bladookim starcem.

– Pragniemy służyć waszej wysokości. Sława dworu Króla Nędzora dotarła aż...

– Nie potrzeba mi sług. – Król odwrócił się. W jednej chwili tak zobojętniał, że zwiotczała mu twarz i całe ciało. Lecz Szmendryk wyczuł, że w kamienistej skórze i w cebulkach szarych włosów czają się resztki ciekawości.

– Ale przecież wasza wysokość ma chyba jakichś dworzan czy rękodajnych – rzekł

ostroźnie. – Prostota to najwspanialsza z królewskich ozdób, nie przeczę, lecz tak wielki władca jak Nędzor...

– Pomału przestaję się tobą interesować – przerwał mu szeleszczący głos. – A to bardzo niebezpieczne. Lada chwila do reszty cię zapomnę i już nigdy nie zdołam sobie przypomnieć, co właściwie z tobą zrobiłem. Rzeczy, o którym zapominam, nie tylko przestają istnieć, ale nigdy nie istniały. – Obrócił głowę i spotkał się wzrokiem z Lady Amalteą, tak jak przedtem jego syn.

– Mój dwór – podjął po chwili – skoro upierasz się tak go nazywać, składa się z czterech knechtów. Wolałbym się bez nich obejść, bo kosztują więcej, niż są warci, tak zresztą, jak wszystko inne. Ale do czegoś się jednak przydają, bo na zmianę trzymają straż i gotują, a z daleka od biedy ujdą za całą armię. Po co mi inni dworzanie?

– A rozkosze dworskiego życia? – zawołał czarodziej. – Muzyka, rozmowy, kobiety i fontanny, polowania, maskarady i uroczystości...

– Są dla mnie niczym – rzekł Król Nędzor. – Poznałem je wszystkie i nie dały mi szczęścia. A tego, co mi nie daje szczęścia, nie będę u siebie trzymał.

Lady Amaltea minęła go, stąpając bezgłośnie, podeszła do okna i spojrzała na morze okryte nocą.

Szmendryk zrobił nagły zwrot i złapał świeży wiatr w żagle:

– Doskonale rozumiem waszą wysokość! – oświadczył. – Jakże nużące, oklepane, drętwe i daremne wydaje się wszystko, co świat ma do zaofiarowania! Jesteś, panie, znudzony błogostanami, przesycony wrażeniami, wyczerpany jałowymi radościami: typowo królewska przypadłość. I właśnie dlatego nikt bardziej niż król nie potrzebuje usług czarodzieja. Tylko bowiem dla maga świat jest wiekuiście płynny, nieskończenie zmienny i wciąż nowy. Tylko czarodziej zna sekret przemian, on jeden naprawdę rozumie, że każda rzecz aż drży z ochoty, aby stać się czym innym, i z tego właśnie powszechnego napięcia płynie jego moc. Dla niego sen jest jawą, a jawa snem, noc dniem, a dzień nocą. Spraw sobie czarodzieja, choć nie wiesz, po co!

Przy ostatnich słowach przyklęknął na jedno kolano i rozpostarł ręce. Król Nędzor odsunął się od niego, zdenerwowany, i mruknął:

– Wstawaj, wstawaj. Głowa mnie przez ciebie boli. A zresztą mam już nadwornego czarodzieja.

Szmendryk dźwignął się ociężale. Na jego zaczerwienionej twarzy odmalował się wyraz zupełnej pustki.

– Pierwsze słyszę – rzekł. – Kto to taki?

– Nazywają go Mabruk – odparł Król Nędzor. – Nieczęsto o nim wspominam. Nawet moi knechci nie wiedzą, że mieszka na zamku. Jest wszystkim, czym według ciebie powinien być czarodziej, a ma też dostęp do rejonów, o jakich pewnie ci się nie śniło. W swej branży uchodzi za czarodzieja nad czarodziejami. Nie widzę powodu, żeby go zastępować wędrownym bezimiennym błaznem, który...

– Za to ja widzę! – desperacko wtrącił Szmendryk. – Jest jeden powód. Wasza wysokość sam go

przed chwilą wymienił: ten znakomity Mabruk nie daje ci szczęścia, panie.

Zaciekle oblicze króla z wolna osnuł cień rozczarowania, zawodu. Przez ułamek sekundy Nędzor wyglądał jak oszołomiony, zdumiony młokos.

– Rzeczywiście – wymamrotał. – Czary Mabruka od dawna już mnie nie cieszą.

Właściwie od jak dawna? – Energicznie klasnął w dłonie i zawołał:

– Mabruk! Mabruk! Zjaw się, Mabruk!

– Jestem – dobiegł z przeciwległego kąta komnaty czyjś głęboki głos. Stał tam starzec w ciemnej szacie w gwiazdy i w spiczastej czapie w takiż gwiazdzisty wzór. Nikt z obecnych nie przysiągłby, że nie stoi na widoku, odkąd weszli do sali tronowej. Brodę i brwi miał siwe, a z jego twarzy biła łagodna mądrość, lecz oczy były twarde jak grad. – Czego sobie wasza wysokość życzy?

– Mabruk – rzekł Król Nędzor. – Ten jegomość to twój kolega po fachu. Nazywa się Szmendryk.

Lodowate oczy starego maga z lekka się rozszerzyły, gdy spojrzał na obdartusa.

– Rzeczywiście! – zawołał z udawanym zachwytem. – Szmendryk, chłopcze drogi, co za spotkanie! Nie możesz mnie pamiętać, ale byłem bliskim przyjacielem twojego mentora, poczciwego Nikosa. Biedak pokładał w tobie takie nadzieje! No, no, a to ci niespodzianka. I co, naprawdę wciąż jeszcze jesteś w branży? To dopiero determinacja! Zawsze mówię, że wytrwałość to dziewięć dziesiątych artyzmu, choć oczywiście być w dziewięciu dziesiątych artystą to słaba pociecha. Ale co cię tu sprowadza?

– Przyszedł zająć twoje miejsce – rzekł Nędzor tonem beznamiętnym i nie znoszącym sprzeciwu. – Jest odtąd moim nadwornym czarodziejem.

Szmendryk aż podskoczył ze zdumienia, co nie uszło uwagi Mabruka, choć królewska decyzja na pozór wcale go nie zaskoczyła. Przez chwilę stary mag wyraźnie się zastanawiał, czy nie warto by rzucić klątwy, uderzył jednak w dobroduszenie rozbawiony ton.

– Wola waszej wysokości, teraz i zawsze – zagruchał. – Zechcesz może jednak, panie, dowiedzieć się czegoś o przeszłości swego nowego czarodzieja. Nasz drogi Szmendryk na pewno się nie obrazi, jeśli zdradzę, że zdążył zasłynąć w branży czarnoksiężkiej jako Wygłup Nikosa. Jego urocza niezdolność do tego, żeby opanować najbardziej szkolne zakłęcie; inwencja w stosowaniu teurgicznych rymowanek, że nie wspomnę...

Nędzor zrobił nieznaczny gest kantem dłoni i Mabruk umilkł. Książę Lir zachichotał, a król rzekł:

– Nie musisz mnie przekonywać, że to nieudacznik. Wiem to od jednego spojrzenia, tak jak jedno jedyne spojrzenie mówi mi, że należysz do największych magów świata. – Mabruk lekko się nadał, głaszcząc swą przepyszną brodę i dobrotliwie marszcząc brew.

– Ale to także jest dla mnie niczym – ciągnął Król Nędzor. – Sprawiałeś na moje żądanie wszelkie możliwe cuda i tyle tylko z tego mam, że mi się przejadły. Twoja moc potrafi sprostać najogromniejszym zadaniom, lecz ilekroć ziszcza się czar, niczego to nie zmienia.

Widocznie wielka moc nie daje mi tego, czego naprawdę pragnę, cokolwiek by to było.

Mistrz czarnoksięstwa nie zdołał mnie uszczęśliwić. Zobaczymy, co zdoła partacz. Możesz odejść, Mabruk. – Skinął głową, aby odprawić starego maga.

Maska życzliwości znikła z twarzy Mabruka jak iskra w śniegu i z takimże dźwiękiem.

Całe jego oblicze przybrało ten sam wyraz co oczy.

– Nie dam się tak łatwo wystawić za drzwi – rzekł ledwie dosłyszalnie. – Nie dla kaprysu, choćby i królewskiego, i nie po to, żeby durniowi zwolnić miejsce. Strzeż się, Nędzorze! Z

Mabrukiem lepiej nie zadzieraj.

W mrocznej komnacie zerwał się wiatr. Pozornie ciągnął zewsząd po trochu – z okna, z otwartych drzwi – lecz w rzeczywistości wiał od przyczajonej, sprężonej postaci maga.

Zimny, cuchnący, mokry wicher znad bagien skakał z kąta w kąt, pohukując jak zwierzę, które właśnie z uciechą odkryło kruchość ludzkich istot. Molly Grue przytuliła się do Szmendryka, a on zrobił niewyraźną minę. Książę Lir nerwowo bawił się mieczem, wyciągając go z pochwy i na powrót chowając.

Nawet Król Nędzor cofnął się o krok przed triumfalnym uśmiechem Mabruka. Ściany zdawały się topnieć i rozpływać, a gwiazdzista szata starego maga zlała się z bezkresną, wyjąca nocą. Mabruk nie wyrzekł ni słowa, lecz wzmagający się wicher jął niecierpliwie pochrząkiwać. Jeszcze chwila, a stałby się widzialny, jednym susem oblekłby się w kształt.

Szmendryk otworzył usta, lecz jeśli próbował własnym czarem przeciwważyc urok rzucony przez Mabruka, nikt tego nie usłyszał i nic to nie dało.

Molly Grue ujrzała w ciemnościach, że Lady Amaltea odsuwa się, wyciągając przed siebie dłoń, której środkowy palec dorównuje długością serdecznemu. Przedziwne znamię na jej czole jarzyło się niby kwiat paproci.

Wicher ucichł, jakby go nigdy nie było, kamienne ściany znów zwały się w siebie, a po nocy, którą wyczarował Mabruk, szara komnata zdawała się tonąć w radosnym blasku południa. Stary mag patrzył na Lady Amalteę, nieomal przywierając do podłogi. Jego mądre, dobrotliwe oblicze przypominało twarz topielca, a broda – wątlą strużkę stęchłej wody.

Książę Lir wziął go za ramię.

– Chodź, dziadku – rzekł dość łagodnie. – Tędy, staruszku. Wypiszę ci referencje.

– Odchodzę – odparł Mabruk – ale nie ze strachu przed tobą, ty gomulo zjełczałego ciasta, ani przed twoim szalonym, niewdzięcznym ojcem; a już na pewno nie przed waszym nowym czarodziejem, oby wam dał jak najwięcej szczęścia. – Napotkał zgłodniałe spojrzenie Króla Nędzora i beknął capim śmiechem. – Nędzorze, za nic w świecie nie chciałbym być tobą. Główną bramą wpuściłeś własną zgubę, lecz opuści ona twój zamek inną drogą.

Wy tłumaczyłbym ci to szerzej, ale nie jestem już u ciebie na służbie. Szkoda, bo przyjdzie czas, że tylko prawdziwy mistrz zdoła cię ocalić, a ty w owej godzinie będziesz miał na swoje usługi Szmendryka! Żegnaj, nieszczęsny Nędzorze, żegnaj!

Znikł, nim przestał się śmiać, lecz jego rozradowanie na zawsze osiadło w zakamarkach komnaty, jak woń dymu albo stary, ostygły kurz.

– No cóż – rzekł w szarym półmroku Król Nędzor. – No cóż. – Wolno, bezszelestnie podszedł do Szmendryka i do Molly. Głowa trzęsła mu się w rytmie bez mała krotochwilnym.

– Nie ruszać się – rozkazał, kiedy drgnęli. – Chcę przyjrzeć się waszym twarzom.

Wodził po nich oczyma, a jego oddech zgrzytał jak ostrzony nóż. – Bliżej! – sarknął

wyęzając wzrok, żeby coś jednak zobaczyć przy świetle księżyca. – Bliżej... podejdźcie bliżej! Chcę was obejrzeć.

– No to zapal światło – powiedziała Molly Grue ze spokojem, który przeraził ją bardziej niż wściekłość starego maga. „Być dzielną w jej imieniu to drobnostka”, pomyślała, „ale jeśli będę taka buńczuczna na własny rachunek, dokąd mnie to zaprowadzi?”

– Nigdy nie palę światła – odparł król. – Co komu po światłach?

Odwrócił się od nich, mamrocząc pod nosem:

– Jedna twarz jest prawie naiwna, prawie głupia, lecz nie dość. Druga jest podobna do mojej, a to musi oznaczać niebezpieczeństwo. Ale przecież widziałem to wszystko jeszcze przed bramą, więc czemu ich wpuściłem? Mabruk miał rację: zidiociałem na starość, każdy robi ze mną, co chce. Lecz w oczach tych dwojga i tak widzę tylko Nędzora.

Książę Lir drgnął nerwowo, kiedy król ruszył przez salę tronową ku Lady Amaltei, która znowu patrzyła w okno. Nędzor podszedł do niej całkiem blisko, nim zrobiła szybki zwrot, w osobliwy sposób spuszczając głowę.

– Nie dotknę cię – rzekł, a ona znieruchomiła.

– Czemu wciąż stoisz w oknie? – zapytał. – Na co patrzysz?

– Patrzę na morze – odrzekła Lady Amaltea. Jej niski głos drżał, lecz nie ze strachu, tylko z nadmiaru życia, jak świeżo wykluty motyl, który migocze w słońcu.

– Aaa! – westchnął król. – Tak, morze jest dobre na każdą porę. Żadnego widoku zbyt długo nie wytrzymuję, a na nie mogę patrzeć bez końca. – Ale w twarz Lady Amaltei długo się wpatrywał. Jego własne oblicze nie odbijało ani odrobiny jej blasku, którym przedtem zalśniła twarz Księcia Lira, tylko chłonęło go i ciułało nie wiedzieć gdzie. Choć jego oddech zionął tym samym odorem co wichler starego maga, Lady Amaltea nawet nie drgnęła.

Wtem król krzyknął:

– Co się dzieje z twoimi oczami? Pełno w nich zielonych liści, tłoczno od drzew, strumieni i zwierzątek. Gdzie ja jestem? Czemu w twoich oczach nie widzę siebie?

Lady Amaltea nie odpowiedziała. Król Nędzor zwrócił się raptem do Szmendryka i Molly, z uśmiechem, który poczuli na krtaniach jak zimny kindzał. – Kim ona jest? – zapytał.

Szmendryk parę razy odkasznął. – Lady Amaltea jest moją bratanicą – wyjaśnił. – Z jej krewnych już tylko ja żyję, więc mam nad nią pieczę. Pewnie dziwi waszą wysokość jej strój, ale łatwo rozproszę to zdumienie. W drodze napadli nas zbójcy i zrabowali nam wszystkie...

– Co mi tu za bzdury opowiadasz? Co ma do rzeczy jej strój? – Znów spojrzął na śnieżną pannę, a Szmendryk raptem zdał sobie sprawę, że król i jego syn nie zauważyli jej nagości pod obszarpaną opończą. Dzięki gracji Lady Amaltei najgorsze łachmany wyglądały jak książęca szata; sama zresztą nie wiedziała, że jest naga. Już raczej Nędzor wydawał się przy niej nagusem, choć zakuty był w pancerz.

– Jak jest ubrana, co was spotkało po drodze, kim i czym dla siebie nawzajem jesteście –

rzekł król – to na szczęście nie moje zmartwienie. W tych sprawach możesz sobie łągać do woli, jeśli masz odwagę. Chcę tylko wiedzieć, kim jest. Jakim cudem bez słowa przełamała czar Mabruka? I czemu w oczach pełno ma liści i lisiątek? Odpowiadaj natychmiast i nie waz się kłamać, zwłaszcza co do zielonych liści. No, mów!

Szmendryk nie od razu odpowiedział. Wydał wprawdzie kilka nader skwapliwych pomruków, ale nie było wśród nich ani jednego sensownego słowa. Molly Grue próbowała zebrać się na odwagę i dać jakąś odpowiedź, chociaż czuła, że Królowi Nędzorowi nie sposób wyjawić prawdy. Sama jego obecność warzyła mrozem każdy wyraz, plątała sensory i wypaczała uczciwe zamiary, aż przybierały umęczone kształty zamkowych wież. Lecz Molly byłaby przemówiła, gdyby w ponurej komnacie nie zabrzmiał nagle inny głos: lekki, miękki, głupkowaty głos młodego Księcia Lira:

– Ojczy, co to w końcu za różnica? Grunt, że jest.

Król Nędzor westchnął. Nie był to dźwięk łagodny, lecz niski i chropawy; nie znak poddania, ale pełen namysłu warkot tygrysa prężącego się do skoku. – Oczywiście, masz rację – powiedział. – Jest.

Są tu wszyscy troje i czy zwiastują mi zgubę, czy nie, trochę im się poprzyglądam. Osnuwa ich miły klimat katastrofy. I może tego mi trzeba.

Do Szmendryka rzekł zwięźle:

– Jako nadworny czarodziej będziesz mnie zabawiał, ilekroć sobie zażyczę, w stylu już to poważnym, już to frywolnym. Oczekuję od ciebie, żebyś sam zgadywał, kiedy masz się stawić i w jakiej postaci, bo nie zamierzam co chwila opisywać ci swoich nastrojów i pragnień. Nie dostaniesz zapłaty, ale przecież nie dla niej tu przybyłeś. Co się tyczy tej twojej dziewczki, asystentki czy jak ją tam zwiesz, ona także będzie mi służyć, jeśli chce zostać na zamku. Od dziś jest kucharką i pokojówką, sprzątaczką i pomywaczką w jednej osobie.

Urwał, jakby czekał, aż Molly się sprzeciwi, lecz tylko skinęła głową. Księżyc przesunął

się po niebie i nie świecił już prosto w okno, ale Księżę Lir zauważył, że w ciemnej komnacie mrok wcale nie zgęstniał. Chłodny blask Lady Amaltei wzmagął się wolniej niż wichler Mabruka, młodzieniec rozumiał jednak, że to nowe niebezpieczeństwo jest znacznie groźniejsze. Chciał przy jej świetle pisać wiersze, choć dotąd nie miewał takich chętek.

– Możesz chodzić, gdzie ci się podoba – rzekł Król Nędzor do Lady Amaltei. – Może głupio zrobiłem, wpuszczając cię do zamku, ale nie jestem aż takim durniem, żeby ci zabraniać wstępu za te czy tamte drzwi. Moje sekrety uszczęśliwią się same. Czy twoje też? Na co znowu patrzysz?

– Patrę na morze – tak jak przedtem odparła Lady Amaltea.

– Tak, morze jest dobre na każdą porę – powtórzył król. – Kiedyś razem na nie popatrzymy. – Z wolna podszedł do drzwi. – To będzie ciekawe – dodał – mieć na zamku istotę, której obecność sprawia, że Lir mówi mi „ojcze” po raz pierwszy, odkąd skończył pięć lat.

– Sześć – sprostował Księżę Lir. – Miałem wtedy sześć lat.

– Żadna różnica – stwierdził król. – Dawno przestało mnie to cieszyć i teraz też mnie nie cieszy. To, że ona tu jest, na razie nic jeszcze nie zmieniło. – Znikł niemal równie bezszelestnie jak Mabruk. Dopiero po chwili usłyszeli klekot jego blaszanych butów na schodach.

Molly Grue cicho podeszła do Lady Amaltei i wraz z nią stanęła przy oknie.

– Co tam widzisz? – spytała. – Co tam takiego jest?

Szmendryk oparł się o tron i utkwiał w Księciu Lirze spojrzenie podłużnych zielonych oczu. Hen, w dolinie Bramjędza znów zabrzmiał zimny ryk.

– Gdzieś was ulokuję – obiecał Księżę Lir. – Jesteście może głodni? Znajdzie się coś do jedzenia. Wiem też, gdzie leży trochę przedniego atlasu. Można by z niego uszyć suknię.



Nikt nie odpowiedział. Ciężka noc pochłonęła jego słowa i wydało mu się, że lady Amaltea nie słyszy go, nie dostrzega. Choć ani drgnęła, był pewien, że oddała się od niego jak księżyc.

– Chciałbym się na coś przydać – powiedział. – W czym mogę pomóc? Pozwólcie, że wam pomogę.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– W czym mogę pomóc? – spytał Książę Lir.

– Chwilowo chyba w niczym – odparła Molly Grue. – Potrzebna mi była tylko woda. Ale jeżeli masz ochotę obrać kartofle, to proszę bardzo.

– Nie, nie o to pytałem. To znaczy owszem, chętnie obiorę, ale mówiłem teraz do niej. Bo kiedy do niej naprawdę mówię, wciąż ją o to pytam.

– Siadaj i obierz parę kartofli – rzekła Molly. – Przynajmniej zajmiesz czymś ręce.

Siedzieli w kuchni, w zawilgłej, ciasnej izbie, cuchnącej zgniłą rzepą i sfermentowanymi burakami. W kącie stał stos glinianych talerzy, a pod trójnogiem dygotał rachityczny ogieniek, usiłując zagotować wielki gar szarej wody. Molly siedziała przy z gruba ciosanym stole zawalonym kartoflami, porami, cebulą, papryczkami, marchwią i innymi jarzynami, które w większości były zwiędłe i całe w plamach. Książę Lir stał przed nią, kołysząc się na piętach i wyłamując sobie miękkie paluchy.

– Dziś rano znowu zabiłem smoka – oświadczył.

– To miło – stwierdziła Molly. – Bardzo ładnie. Który to już będzie?

– Piąty. Był mniejszy od poprzednich, ale miałem z nim trudniejszą przeprawę. Nie mogłem podejść na piechotę, więc musiałem go zażyć kopią i ciężko mi poparzył konia.

Dziwna sprawa z tym koniem...

– Siadaj, wasza książęca mość – przerwała mu Molly – i przestań wyłamywać sobie palce, bo od samego patrzenia ciarki człowieka przechodzą.

Książę Lir usiadł naprzeciw niej. Wyciągnął sztylet z za pasa i z chmurną miną jął obierać ziemniaki. Molly patrzyła na niego, leciutko się uśmiechając.

– Przyniosłem jej głowę – ciągnął książę. – Siedziała u siebie w komnacie, tak jak zwykle. Wciągnąłem smoczy łeb po schodach na samą górę, żeby go złożyć u jej stóp. –

Westchnął i zaciął się w palec. – Cholera. Nawet miło było tak go wlec. Póki go ciągnąłem po schodach, był to smoczy łeb, najbardziej zaszczytny dar, jaki ktokolwiek komukolwiek może ofiarować. Ale kiedy go zobaczyła, zmienił się nagle w żałosny, poharatany ochłap, kupę łusek, rogów i chrząstek z wywalonym ozorem i przekrwionymi ślepiami. Poczułem się jak wsiowy rzeźnik,

który w dowód miłości przyniósł swojej lubej kawał świeżego miecha. A gdy na mnie spojrzała, zrobiło mi się żal, że bestię zabiłem. Żal, że zabiłem smoka! –

Ciachnął sztyletem gumiasty kartofel i znów się skaleczył.

– Tnij od siebie, a nie do siebie – poradziła mu Molly. – Wiesz co, dałbyś już sobie spokój z tym szlachtowaniem smoków na cześć Lady Amaltei. Skoro pięć nie zrobiło na niej wrażenia, trudno się spodziewać, że wzruszy ją szósty. Spróbuj innego sposobu.

– A czy jest jeszcze na świecie coś, czego nie próbowałem? – spytał Książę Lir. –

Przepląnąłem cztery wezbrane rzeki, a każda była co najmniej na milę szeroka. Wspiąłem się na siedem nie zdobytych gór, przespałem trzy noce na Bagnie Wisielców i żywy wyszedłem z lasu, w którym widok kwiatów wypala wędrowcom oczy, a słowiczy śpiew zaprawiony jest jadem. Zerwałem zaręczyny z pewną księżniczką, a jeśli uważasz, że to żadne bohaterstwo, widać nie znasz jej matki. Pokonałem dokładnie piętnastu czarnych rycerzy, którzy w swoich czarnych pawilonach oczekiwali u piętnastu brodów i rzucali rękawicę każdemu, kto chciał

się przepawić na drugi brzeg. A jeśli idzie o wiedźmy w ciernistych puszczech, olbrzymy, demony w postaci dziewczyc, szklane góry, zgubne zagadki, straszliwe zadania, czarodziejskie jabłka, lampy, napoje, miecze, płaszcze, skórnie, krawaty i szlafmyce, to dawno stałem rachubę. Nie mówiąc już o skrzydlatych rumakach, bazyliškach, węzach morskich i reszcie żywego inwentarza. – Podniósł głowę. Z jego ciemnoniebieskich oczu wyzierał smutek i pomieszanie. – Wszystko na nic. – rzekł. – Nie mogę jej dotknąć, choćbym stawał na głowie.

To dla niej zostałem bohaterem: ja, ospały Lir, pośmiewisko i hańba rodzonego ojca – ale równie dobrze mogłem pozostać tępym durniem. Moje wielkie czyny nic dla niej nie znaczą.

Molly sięgnęła po nóż i zaczęła krajać papryczki.

– No, to może Lady Amaltei nie da się zdobyć wielkimi czynami – powiedziała. Książę patrzył na nią, marszcząc czoło ze zdumienia.

– A czy można inną drogą trafić do serca dziewczicy? – spytał z powagą. – Molly, znasz tę drogę? Zdradzisz mi ją? – Pochylił się nad stołem i chwycił jej dłoń. – Miło jest być odważnym, ale chętnie znów stanę się gnuśnym tchórzem, jeśli myślisz, że to jej się bardziej spodoba. Kiedy ją widzę, mam ochotę stanąć do walki z wszelkim złem i brzydotą, a równocześnie chce mi się usiąść w kącie i cierpieć. Co mam robić, Molly?

– Nie wiem – odparła z nagłym zakłopotaniem. – Pozostaje jeszcze uprzejmość, dworność, dobre uczynki... te rzeczy. Poczucie humoru. – Rudo-popielaty kotek z krzywym uchem wskoczył jej na kolana i zaczął się ocierać o rękę, mruczając jak grzmot. – A co to za dziwna sprawa z twoim koniem? – spytała, próbując zmienić temat.

Ale Książę Lir wpatrywał się w krzywouchego kota.

– Skąd on się wziął? – zaciekał się. – Jest twój?

– Nie – odparła Molly. – Ja tylko daję mu jeść, no i czasem trzymam go na kolanach. –

Pogłaskała kotka po delikatnym gardle, a on zamknął oczy. – Myślałam, że zawsze tu mieszkał.

Książę pokręcił głową. – Ojciec nie cierpi kotów – rzekł. – Twierdzi, że w ogóle nie istnieje takie stworzenie jak kot. Że to tylko kształt, w który chętnie obleka się wszelkie licho, diabelstwo i draństwo, żeby łatwiej się zakraść do ludzkich siedzib. Zabiłby go, gdyby wiedział, że go tu trzymasz.

– Więc co z tym koniem? – spytała Molly.

Książę Lir znowu się nachmurzył.

– Dziwna historia – powiedział. – Skoro sam dar nie sprawi jej przyjemności, pomyślałem, że może rada będzie usłyszeć, jak go zdobyłem. Więc opisałem jej wszystko, opowiedziałem o szarży i jak smok syczał, o nagich skrzydłach i o tym smoczym odorze, który w deszczowe ranki jest najbardziej dokuczliwy, i jak czarna jucha trysnęła spod grotu kopii. Ale ona z całego tego gadania nie usłyszała ani słowa, póki nie powiedziałem, jak smok zionął ogniem i o mało nie spalił nóg mojemu nieszczęsnemu koniowi. Wtedy... tak, wtedy wróciła z tej niewiadomej dali, w którą odchodzi, kiedy do niej mówię, i powiedziała, że musi iść obejrzeć mojego wierzchowca. No to zaprowadziłem ją do stajni. Biedne bydlę jęczało z bólu, a ona dotknęła go ręką, położyła mu dłoń na nodze i zaraz przestało jęczeć. Konie strasznie jęczą, kiedy je bardzo boli. A gdy milkną, to jakby ktoś nagle zaśpiewał.

Lśniący sztylet księcia leżał wśród kartofli. Porywisty wicher obiegał zamek i smagał go deszczem, lecz do kuchni dobiegał tylko jego niski warkot, bo w tej zimnej izbie nie było ani jednego okna. Nie paliło się tam też żadne światło, tylko wąty ogieniek pod trójnogiem. Kot drzemący na kolanach Molly wyglądał w jego blasku jak kupka jesiennych liści.

– I co się wtedy stało? – spytała kobieta. – Kiedy Lady Amaltea dotknęła końskich nóg?

– Nic się nie stało. Nic a nic – rzekł Książę Lir, jakby nagle rozgniewany. Trzasnął

pięścią w stół, aż pory i soczewica pofrunęły we wszystkie strony. – Spodziewałaś się, że coś się stanie? Bo ona tak. Myślałaś, że w jednej chwili zagoją się oparzenia? Że popękana skóra od razu się zablizni, zrośnie się zwęglone ciało? Bo ona tak myślała, przysięgam – jak pragnę ją zdobyć! A kiedy dotyk jej ręki nic nie działał, uciekła. Nie wiem, gdzie jest.

Głos mu zmiękł, a palce dłoni złożonej bokiem na stole smętnie się podkuliły. Wstał i podszedł do garnka wiszącego nad ogniem. – Gotuje się – powiedział. – Może pora wrzucić warzywa. Płakała, bo koniowi nie chciały się zagoić oparzenia. Słyszałem jej płacz, ale nie miała łez w oczach. Wszystko w nich było, tylko nie łzy.

Molly delikatnie postawiła kota na wilgotnej posadzce i zaczęła zgarniać do sagana życiodajną zieleninę. Książę Lir wodził za nią spojrzeniem, gdy krążyła między stołem a trójnogiem, śpiewając:

Tak zatańczyć na jawie

Jak to zdarza się we śnie,

Lekko – ach, bezcieleśnie

Niby śmierć w cudzych szatach!

Więcej nic nie chcę prawie.

Już nie czekam na chłopca

I nie pragnę być młodsza,

Mądra, dobra, bogata.

– Kim ona jest, Molly? – spytał książę. – Co z niej za kobieta, że wierzy... nawet nie wierzy, tylko wie, przecież widziałem w jej twarzy tę pewność, że potrafi dotykiem leczyć rany – i płacze nie lejąc łez?

– Wszystkie kobiety potrafią płakać, nie lejąc łez – odparła przez ramię – a większość umie leczyć dotykiem. To zależy od rodzaju rany. Poprzestańmy na tym, wasza książęca mość, że jest kobietą, bo to już wystarczająco zawiła zagadka.

Ale książę podniósł się z miejsca i zastąpił jej drogę. Stała z fartuchem pełnym ziół, z włosami opadającymi na oczy. Książę Lir pochylił ku niej twarz – co prawda starszą o pięć smoków, lecz po dawnemu przystojną i głupkowatą.

– Śpiewasz – powiedział. – Mój ojciec daje ci najgorszą robotę, a ty śpiewasz. Nigdy w tym zamku nie słyszano śpiewu, nie było tu kotów, nie pachniało dobrą kuchnią. To wszystko dzieło Lady Amaltei, tak jak to, że rankiem wyruszam na poszukiwanie niebezpieczeństw.

– Zawsze nieźle gotowałam – powściągliwie rzekła Molly. – Skoro siedemnaście lat przeżyłam w lesie z Kiepem i z jego ludźmi...

Książę Lir mówił dalej, jakby się w ogóle nie odezwała:

– Chcę służyć jej tak jak ty, pomóc jej znaleźć to, czego tu szuka. Chcę stać się tym, czego najbardziej potrzebuje. Powtórz jej to ode mnie. Powtórzysz?

Nim dokończył zdanie, Molly wyczytała z jego oczu echo bezdźwięcznych kroków, a z twarzy – niespokojne westchnienie atlasowej szaty. W drzwiach stała Lady Amaltea.

Kilka miesięcy spędzonych w chłodnym władztwie Króla Nędzora nie zgasiło jej blasku ani barwy. Wręcz przeciwnie: jej uroda wyostrzona przez zimę atakowała widza niby strzała z zadziornym grotem, którego nie sposób wyciągnąć, gdy raz ugrzęźnie. Miała na sobie suknię lila, a śnieżne włosy związała niebieską wstążką. Suknia źle na niej leżała, bo Molly Grue nie umiała przejąć się szyciem, a dotyk atłasu szczególnie ją drażnił. Lecz toporny krój sukni, odór rzepy i zimne kamienie czyniły Lady Amalteę jeszcze piękniejszą. We włosach przyniosła deszcz.

Książę Lir skłonił się przed nią; był to szybki, krzywy ukłon, jakby ktoś go nagle uderzył w żołądek.

– Pani – wybełkotał. – Nie powinnaś wychodzić z gołą głową w taką pogodę.

Lady Amaltea usiadła przy stole, a kotek jesiennej maści natychmiast skoczył do niej z pospiesznym, cichym pomrukiem. Wyciągnęła rękę, ale odsunął się, nie przestając mruczeć.

Nie wyglądał na przestraszonego, lecz nie dał jej dotknąć swego rdzawego futerka. Gdy skinęła dłonią, zaczął się wic jak przymilny psiak, podejść jednak nie chciał.

– Czas na mnie – ochryłym głosem rzekł Książę Lir. – O dwa dni drogi stąd grasuje potwór, który pożera dziewice z pobliskich wiosek. Podobno zabić go można tylko Wielkim Toporem Diuka Albana. Niestety, sam Diuk Alban znalazł się wśród pierwszych ofiar, bo przebrał się za dziewczycę, żeby zmylić ludojada. Wiadomo więc, kto teraz dzierży Wielki Topór. Myślcie o mnie, jeśli nie wrócę. Żegnajcie.

– Żegnamy waszą książęcą mość – odpowiedziała Molly. Książę znów się skłonił i wyszedł z kuchni, aby podjąć swą szlachetną misję. Tylko raz obejrzał się za siebie.

– Jesteś dla niego okrutna – rzekła Molly. Lady Amaltea nie spojrzała na nią. Wciąż wyciągała otwartą dłoń do kota z krzywym uchem, ten jednak tkwił w miejscu, choć drżał z ochoty, żeby się zbliżyć.

– Okrutna? – spytała. – Jakże ja mogę być okrutna? To coś w sam raz dla śmiertelnych. –

Gdy podniosła spojrzenie, oczy miała rozszerzone smutkiem, a zarazem prawie kpiące. – Tak jak i dobroć – dodała.

Molly Grue krzątała się jakby w odrętwieniu, mieszając i przyprawiając zupę.

– Mogłabyś przynajmniej powiedzieć mu dobre słowo – rzuciła półgłosem. – Przeszedł dla ciebie wiele ciężkich prób.

– Jakie słowo? – spytała Lady Amaltea. – Ani razu się do niego nie odezwałam, a i tak codziennie przynosi mi porcję łbów, rogów, skór i ogonów, zaklętych klejnotów i zaczarowanego oręza. Co

zrobi, jeśli do niego przemówię?

– Chce, żebyś o nim myślała – odparła Molly. – Rycerze i książęta tylko w ten sposób umieją zabiegać o pamięć. To nie jego wina. Moim zdaniem bardzo ładnie się spisuje.

Lady Amaltea znów spojrzała na kota. W długich palcach gniotła szew atłasowej szaty.

– On wcale nie pragnie moich myśli – rzekła. – Chce tylko mnie tak jak Czerwony Byk i z tą samą tępotą. Ale boję się go bardziej niż Byka, bo ma dobre serce. Nie, niczego mu nie obiecuję, nie powiem ani słowa.

Blade znamię na jej czole nikło w kuchennym półmroku. Dotknęła go i szybko cofnęła rękę, jakby musnęła obolałe miej.

– Koń umarł – powiedziała do kotka. – Nic nie mogłam poradzić.

Molly szybko się obróciła i oparła dłonie na ramionach Lady Amaltei. Przez gładką tkaninę poczuła ciało zimne i twarde jak kamień z zamku Króla Nędzora.

– O, pani moja – wyszeptwała. – To dlatego, że nie jesteś w swojej prawdziwej postaci.

Kiedy ją odzyskasz, wróci cała moc, siła, pewność. Wszystko ci wróci.

Gdyby tylko śmiała, wzięłaby śnieżną pannę w objęcia i ukołysała jak dziecko. Nigdy przedtem nic takiego nie przyszło jej do głowy.

Lady Amaltea odrzekła jednak:

– Czarodziej dał mi tylko ludzką powierzchowność – pozór, lecz nie ducha. Gdybym wtedy umarła, pozostałabym jednorożcem. Stary mag poznał się na mnie. Na złość Nędzorowi nic nie powiedział, ale od razu mnie przejrzał.

Włosy wymknęły jej się spod wstążki i spiesznie spłynęły po szyi i ramionach. Ten zachęcający ruch nieomal przełamał opór kota, który podniósł łapę, żeby się nimi pobawić, wnet jednak ją cofnął. Usiadł, przekrzywiając pocieszny łebek, i owinął ogonem przednie łapki. Ślepie miał zielone, złoto nakrapiane.

– Ale to już dawne dzieje – ciągnęła dziewczyna. – Dziś jestem dwiema istotami: sobą i tą drugą, którą nazywasz „swoją panią”. Jest równie prawdziwa jak ja, choć dawniej tylko mnie okrywała niby welon. Chodzi po zamku, sypia, ubiera się i jada posiłki, a jej myśli biegną własnym torem. Nie potrafi leczyć ani uspokajać, ale ma za to inną moc. Mężczyźni mówią jej „Lady Amalteo” i czasem dostają odpowiedź, a czasem nie. Król śledzi ją bladym okiem i zastanawia się, co z niej za stworzenie, a jego syn krwawi z miłości i łamie sobie głowę, co z niej za kobieta. Ona zaś dzień w dzień szuka: w morzu i na niebie, w zamku i na dziedzińcu, w lochach i w królewskim obliczu, choć nie zawsze pamięta, czego właściwie wypatruje. Czego szuka w tym obcym miejscu? Jeszcze przed

chwilą wiedziała, ale zdążyła zapomnieć.

Gdy zwróciła się twarzą do Molly Grue, jej oczy nie były oczami jednoroźca. Nie przestały być piękne, ale ich piękno dawało się nazwać, tak jak uroda zwykłej kobiety. Można było zgruntować i poznać ich głębię, dokładnie opisać nasycenie barw. Molly ujrzała w nich lęk, poczucie straty, zdumienie – i samą siebie, ale nic więcej.

– Szukasz jednoroźców – powiedziała. – Czerwony Byk przegnał je wszystkie, tylko ty mu się wymknęłaś. Jesteś ostatnim jednoroźcem. Przyszłaś tu, żeby znaleźć i uwolnić resztę. I tak też zrobisz.

W oczach Lady Amaltei wezbrało głębokie, tajemne morze, z wolna je napełniając, aż stały się odwieczne, mroczne, nieprzeniknione i nieopisane jak morska toń. Molly patrzyła na to i nagle ogarnął ją lęk, ale tylko mocniej wczepiła się w pochylone ramiona tamtej, jakby dłońmi mogła ściągnąć rozpacz niby piorunochronem. W posadzce kuchni zawibrował znany jej dźwięk, podobny do zgrzytu ogromnych trzonowców: to Czerwony Byk we śnie przewracał się na drugi bok. – „Ciekawe, czy miewa sny”, pomyślała Molly.

– Muszę do niego pójść – oświadczyła Lady Amaltea. – Nie ma innej drogi, nie ma czasu do stracenia. Znów muszę stawić mu czoło, w tej albo w swojej prawdziwej postaci, nawet jeśli moi bracia już nie żyją i nie ma kogo ratować. Muszę do niego pójść, nim całkiem się zapomnę, ale nie wiem którądy, i jestem taka samotna.

Kotek machnął ogonem i wydał dziwny mruk – ni to miauknięcie, ni to pomruk.

– Pójdę z tobą – obiecała Molly. – Ja też nie wiem którądy, ale musi przecież być jakieś przejście. Szmendryk też z nami pójdzie. Otworzy nam drogę, jeśli nie znajdziemy gotowej.

– Nie liczę na niego – wzgardliwie odparła Lady Amaltea. – Dzień w dzień widzę, jak błaznuje przed Królem Nędzorem, zabawia go swoimi kiksami i knoci najbłahsze sztuczki.

Twierdzi, że nic więcej nie zdiąła, póki moc sama nie przemówi. Ale ona już nigdy go nie nawiedzi. Z czarodzieja stał się królewskim błaznem.

Molly poczuła w twarzy bolesny skurcz. Odwróciła się, żeby zajrzeć do garnka, i pokonując klucie w gardle powiedziała:

– Naraża się dla ciebie. Nic, tylko się dąsasz, boczysz i pomału stajesz się kim innym, a on tymczasem wyczynia hopsztosy przed Nędzorem i odwraca jego uwagę, żebyś miała czas odnaleźć swoich, jeśli w ogóle jest jeszcze kogo szukać. Ale król niedługo nim się znudzi tak jak wszystkim i ciśnie go do lochu albo i gorzej. Nie powinnaś z niego drwić – wyjąkała smutnym, dziecięcym głosikiem. – Tobie nic podobnego nie grozi. Wszyscy cię kochają –

dodała.

Jeszcze przez chwilę mogły w spokoju na siebie popatrzeć: jedna – cała jasna – w zimnej, niskiej

izbie wyglądała jak cudzoziemka; druga czuła się tam jak u siebie, niczym mały rozszerzony karaluch, nie pozbawiony swoistej kuchennej urody. Wtem zaszurały buty na schodach, rozległ się klekot zbroi i dziarskie głosy starców. Czterej knechci Króla Nędzora wmaszerowali do kuchni.

Mieli co najmniej po siedemdziesiąt lat. Wychudli, kulawi, krusi jak lodowa skorupka na śniegu, od stóp do głów zakuci byli w usknerzone pancerze Króla Nędzora i dzierżyli koślawy oręż z jego zbrojowni. Radośnie powitali Molly Grue, pytając, co im ugotowała na kolację, lecz na widok Lady Amaltei wszyscy czterej natychmiast ucichli i złożyli tak głębokie ukłony, że aż się zasapali.

– Pani – rzekł najstarszy. – Racz rozkazywać swym sługom. Jesteśmy starzy, sterani, ale jeśli chcesz ujrzyć cud, po prostu zażądaj od nas niemożliwości. Twoje życzenie przywróci nam młodość. – Jego trzej towarzysze mruknęli potakująco.

– Nie, nie, już nigdy nie będziecie młodzi – szepnęła Lady Amaltea i wybiegła z twarzą ukrytą w olśniewającej zamieci włosów, z sykiem atlasowej sukni.

– Jaka mądra! – stwierdził najstarszy. – Rozumie, że nawet jej uroda nie pokona czasu.

Rzadka to rzecz, ta smutna mądrość u tak młodej osoby. Pysznie pachnie twoja zupka, Molly.

– Aż zanadto smakowicie jak na te kazamaty – sarknął drugi, kiedy siadali do stołu –

Nędzor nie cierpi smacznegojadła. Uważa, że szkoda na nie trudu i pieniędzy. „To jedno wielkie urojenie”, powiada, „i wydatek. Żyjcie tak jak ja, bez złudzeń”. Brrrrrr! – Wzdrygnął

się i skrzywił, a pozostali wybuchnęli śmiechem.

– Życ jak Nędzor – rzekł któryś, gdy Molly lała mu do miski parującą zupę. – Taka właśnie kara spotka mnie na tamtym świecie, jeżeli na tym źle się będę sprawował.

– No to dlaczego mu służycie? – spytała Molly. Usiadła razem z nimi i podparła dłońmi podbródek. – Nie płaci wam żołdu, karmi tak skąpo, jak tylko śmie. W najgorszą nie pogodę wysyła was do Bramjędza i każe kraść, bo z bogactw nagromadzonych w swojej komorze nie trwoni ani odrobiny. Wszystkiego zabrania: lutni i luster, światła i śpiewu, ognia, ogłady, grzebieni, grzechu, wierszy o wiosnie, ksiutów i książek, spania do późna i barwnych wstążek. Czemu go nie opuścicie? Co was tu trzyma?

Starcy nerwowo spojrzeli po sobie, pokaślując i wzdychając.

– Starość – odparł pierwszy. – Niby dokąd mielibyśmy pójść? Za starzy jesteśmy, żeby jeszcze włóczyć się po gościńcach, szukać pracy i dachu nad głową.

– Tak, to starość nas tu trzyma – zgodził się drugi. – Na starość dobre jest wszystko, co nie zakłóca spokoju. Ziab, mrok i nuda dawno już przestały nam doskwierać; a ciepło, śpiewy, wiosna... zwracanie głowy i tyle. Życ jak Nędzor to jeszcze nie najgorszy los.



– Nędzior jest od nas starszy – rzekł trzeci. – Kiedyś w końcu zapanuje nam Książę Lir, a ja nie wyniosę się na tamten świat, póki go nie zobaczę w koronie. Lubię tego chłopca od maleńkości.

Molly poczuła, że właściwie nie jest głodna. Spoglądała po twarzach starców, słuchając, jak przez szpetne usta i skurczone gardła płynie im do żołądków zupa; nagle ucieszyła się, że Król Nędzior zawsze jada na osobności, samotnie, bo prędzej czy później zaczynała szczerze się troszczyć o każdego, kto był na jej wikcie.

– A wiecie, że Książę Lir podobno wcale nie jest bratankiem Króla Nędzora? – spytała ostrożnie. Pytanie to wcale nie zaskoczyło knechtów.

– Owszem – rzekł najstarszy. – Znamy tę wersję. Może nawet być prawdziwa, bo nie ma między nimi śladu rodzinnego podobieństwa. Ale co z tego? Lepiej niech krajem rządzi obcy przybysz, ukradziony z kolebki, niż rodzony syn Króla Nędzora.

– Ale jeśli księcia wykradzono z Bramjędza – krzyknęła Molly – to właśnie on wypełni ciężącą na zamku klątwę!

Powtórzyła wiersz, który Drinn wyrecytował w oberży:

Lecz tylko ten, czyj z Bramjędza ród,

Zamczysko strąci w odmęt wód.

Ale starcy pokręcili głowami, szczerząc zęby koloru zardzewiałych hełmów i napierśników.

– Książę Lir? – powiedział trzeci. – Wykluczone. Może zabić tysiąc smoków, ale nie zrówna z ziemią żadnego zamku, nie obali żadnego króla. To nie on. Jest posłusznym synem i pragnie tylko – niestety – zasłużyć się w oczach człowieka, którego nazywa ojcem. W klątwie musi chodzić o kogo innego.

– A nawet gdyby chodziło o Księcia Lira – dodał drugi – nawet gdyby klątwa czyniła go swym narzędziem, i tak by mu się nie udało. Między Królem Nędzorem a wszelką zgubą stoi bowiem Czerwony Byk.

Nagła cisza wdarła się do izby i stanęła, powlekając wszystkie twarze drapieżnym cieniem, studząc chłodnym tchnieniem smakowitą zupę. Jesienny kotek na kolanach Molly przestał mruczeć, a wątył ogieniek pod garnkiem jeszcze bardziej się skurczył. Zimne ściany kuchni zdawały się garnać ku sobie.

Czwarty knecht, który dotąd milczał, zawołał do Molly Grue poprzez mrok:

– Teraz już wiesz, czemu jesteśmy w służbie u króla. On sobie nie życzy, żebyśmy ją porzucili, a jego chęci i niechęci to jedyne, co obchodzi Czerwonego Byka. My, przybocznicy Nędzora, jesteśmy u Byka w niewoli.

Molly głaskała kota. Nie drżała jej ręka, ale głos miała suchy i ściągnięty, kiedy zapytała:

– Co właściwie jest między Czerwonym Bykiem a Królem Nędzorem?

Odpowiedział jej najstarszy:

– Tego nie wiemy. Byk zawsze tu był. Zastępuje Nędzorowi armię i warowny mur; jest jego siłą i źródłem siły, a pewnie i jedynym towarzyszem, bo nie wątpię, że król schodzi czasem sekretnymi schodami do jego jamy. Ale czy Byk słucha Nędzora pod przymusem, czy po dobrowoli? I który jest panem, który zaś sługą? Tegośmy nigdy nie wiedzieli.

Czwarty – najmłodszy – pochylił się w stronę Molly Grue. Różowe wilgotne oczy zabłysły mu nagle.

– Byk jest demonem – rzekł – i w nagrodę za usługi oddane Nędzorowi porwie pewnego dnia samego Nędzora.

Inny przerwał mu: przecież widać gołym okiem, że zakłęcie trzyma Byka w jarzmie Króla Nędzora, a jarzmo to pęknie, kiedy potwór złamie czar i unicestwi swego dawnego pana. Zaczęli się przekrzykiwać, wylewając zupę.

Molly o coś ich spytała, ledwie półgłosem, ale takim tonem, że natychmiast umilkli.

– Wiecie, co to jest jednorożec? – spytała. – Widzieliście go kiedyś?

Poczuła, że ze wszystkich żywych istot obecnych w kuchni jedynie kot i cisza patrzą na nią z jakim takim zrozumieniem. Czterej mężczyźni mrugali, bekali i przecierali oczy. Hen, w dole Byk znów poruszył się w niespokojnym śnie.

Po kolacji knechci pożegnali Molly Grue i wyszli z kuchni – dwaj prosto do łóżek, a dwaj na nocną wartę w rześystym deszczu. Najstarszy poczekał, aż inni sobie pójdą, nim rzekł cicho do Molly:

– Uważaj na Lady Amalteę. Kiedy się tu zjawiała, od jej urody nawet to przekłete zamczysko wypiękniało – tak jak księżyc, który też przecież jest kamieniem, tyle że odbija światło. Ale zanadto się tu zasiedziała. Jest równie piękna jak dawniej, lecz te mury i dachy ostatnio jeszcze bardziej przy niej spodlały.

Wyrwało mu się przeciągłe westchnienie, z którego wystrzępił się jęk.

– Znam ten drugi rodzaj piękna – powiedział starzec. – A tego poprzedniego nie znałem.

Uważaj na nią. Powinna stąd odejść.

Kiedy Molly została sama, wtuliła twarz w abstrakcyjne wzory na grzbiecie kotka. Ogień pod trójnogiem trzepotał tuż przy ziemi, ale nie wstała, żeby go podsycić. Po izbie przemykały różne drobne stworzonka. Tupot ich łapek przypominał Molly zrządzenie Króla Nędzora, a łomot deszczu o mury zamku – zew Czerwonego Byka. I nagle Byk rzeczywiście zaryczał, jakby podsłuchał jej myśli.

Jego głos strzaskał na proch kamienne płyty posadzki, aż kobieta uczepliła się stołu, żeby nie runąć wraz z kotem prosto w byczą jamę. Krzyknęła.

– Właśnie wychodzi – powiedział kot. – Co wieczór po zachodzie słońca rusza na poszukiwanie dziwnego białego zwierzęcia, które mu się wymknęło. Przecież wiesz. Nie bądź

głupia.

Znów zabrzmiał zgłodniały ryk, tym razem z większej odległości. Molly z zapartym tchem patrzyła na kotka. Nie zdziwiła się aż tak, jak można by się spodziewać; od pewnego czasu trudniej było ją zaskoczyć niż większość kobiet.

– Zawsze umiałeś mówić? – spytała. – Czy to widok Lady Amaltei obdarzył cię mową?

Kot w zadumie wylizywał sobie przednią łapkę.

– Powiedzmy, że na jej widok zachciało mi się mówić – odparł. – Ale dość już tych wyjaśnień. Hmm, więc to właśnie jest jednorożec. Bardzo piękny.

– Skąd wiesz, że ona jest jednorożcem? – zapytała Molly. – I czemu się bałeś, kiedy chciała cię dotknąć? Dobrze widziałam. Bałeś się jej.

– Niedługo chyba przejdzie mi ochota, żeby mówić – rzekł kot, ale bez cienia urazy. – Na twoim miejscu nie marnowałbym czasu na głupstwa. Co do pierwszego pytania, to żaden kot, który zdążył choć raz zmienić futro, nie da się zwieść pozorom. W przeciwieństwie do ludzi, bo ich właśnie pozory cieszą. Co do drugiego pytania... – Zawiesił głos. Nagle bez reszty pochłonęła go toaleta; zamilkł, póki nie wylizał się pod włos i z powrotem. Ale nawet wtedy nie spojrzał na Molly, tylko zaczął sobie oglądać pazury.

– Gdyby mnie dotknęła – powiedział cichutko – byłbym odtąd jej, a nie swój własny.

Miałaby mnie na zawsze. Chciałem tego dotyku, ale nie mogłem jej pozwolić. Żaden kot na coś takiego nie pójdzie. Ludziom, owszem, dajemy się głaskać, bo to nawet dość miłe, no i tak ich uspokaja. Ale z nią to całkiem inna historia. Żaden kot nie zapłaci takiej ceny.

Molly znów wzięła go na kolana. Wtulił jej nos w szyję i długo mruczał, aż złękła się, że raz na zawsze stracił mowę. W końcu jednak powiedział:

– Macie bardzo mało czasu. Ona wkrótce zapomni do cna, kim jest i po co tu przybyła, a Bykowi odechce się ryczeć za nią po nocach. Może nawet wyjdzie za tego poczciwego księcia, który tak ją kocha. – Wepchnął łebek w nagle znieruchomiałą dłoń Molly. – Wydaj ją za księcia – rzekł rozkazująco. – Zakochać się w jednorożcu to wielka odwaga. Jako kot doceniam absurdalne męstwo.

– Nie – odparła Molly Grue. – Nie, wykluczone. Jest ostatnia.

– Skoro tak, musi zrobić to, po co tu przyszła. Musi pójść do Byka królewską drogą.

Molly tak go do siebie przycisnęła, że pisnął jak mysz.

– Znasz tę drogę? – spytała nie mniej żarliwie niż Księżę Lir. – Wskaż mi ją. Powiedz, którądy mamy iść.

Postawiła kota na stole i puściła wolno. Długo nie odpowiadał, ale oczy coraz bardziej mu jaśniały, jakby spływał na nie rozedrgany złoty pył, stopniowo przesłaniając ich zieleń.

Zamarł w bezruchu. Drżało mu tylko krzywe ucho i czarny koniuszek ogona.

– Kiedy wino się wypije – oznajmił wreszcie. – Kiedy czaszka przemówi, a zegar wybijie właściwą godzinę... dopiero wtedy znajdziecie tunel wiodący do jamy Czerwonego Byka. –

Podwinął przednie łapki i dodał: – Oczywiście jest jeszcze pewien kruczek.

– Nie wątpię – ponuro rzekła Molly. – Na jednym filarze w największej sali wisi stara czaszka, ohydna i spękana, ale od pewnego czasu jakoś nie ma nic do powiedzenia. Obok stoi zupełnie zwariowany zegar, który bije, kiedy mu się żywnie podoba: co godzina północ, siedemnastą o czwartej, a czasem przez tydzień ani brzęknie. A wino... och, kocie, czy nie byłoby prościej, gdybyś mi od razu wskazał tunel? Przecież wiesz, gdzie jest?

– Jasne, że wiem – ze lśniącym i zawitym ziewnięciem odparł kot. – Jasne, że byłoby prościej, gdybym ci pokazał drogę. Wielka oszczędność czasu i energii.

Mówił coraz sennie, coraz bardziej rozwlekle, i Molly zrozumiała, że kot zaczyna się nudzić – tak jak Król Nędzior.

– No to powiedz mi chociaż jedno – rzekła pospiesznie. – Co się stało z jednorożcami?

Gdzie są teraz?

Kot znowu ziewnął. – Blisko i daleko, daleko i blisko – wymamrotał. – W zasięgu wzroku twej pani, ale prawie poza obrębem jej pamięci. Raz bliżej, raz dalej. – Zamknął oczy.

Molly poczuła własny oddech jak drapiący w gardle kawał powroza. – Dlaczego nie chcesz mi pomóc, do cholery?! – krzyknęła ochryple. – Dlaczego mówisz samymi zagadkami?

Pomału otworzyło się jedno oko, zielonozłote niby słońce w lesie. – Jestem, jaki jestem.

Chętnie bym ci powiedział wszystko, co chcesz, bo dobrze się ze mną obchodzisz. Ale jestem kotem, a jeszcze żaden kot nie dał nikomu jasnej odpowiedzi.

Ostatnie słowa przeszły w głęboki, miarowy pomruk. Kot zasnął z jednym okiem do połowy otwartym. Molly trzymała go na kolanach i głaskała, a on mruczał przez sen, ale nic więcej nie

powiedział.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Książę Lir wyruszył, żeby zabić łasego na dziewice ludojada. Wrócił trzy dni później z przewieszonym przez plecy Wielkim Toporem Diuka Albana, z przytroczoną do łęku głową potwora. Nie ofiarował Lady Amaltei trofeów ani nie pobiegł jej szukać, mając jeszcze na rękach brunatną krew ludożercy. Wieczorem w kuchni wytłumaczył Molly Grue, że postanowił nigdy więcej nie narzucać się ukochanej, żyć tylko myślą o niej, służyć jej wytrwale, póki nie spotka go samotna śmierć, lecz nie zabiegać o jej towarzystwo, podziw ni miłość.

– Będę bezimienny jak powietrze, którym oddycha – obiecał. – Niewidzialny jak siła, która trzyma ją na ziemi. – Po namyśle dodał: – Może czasem napiszę dla niej wiersz i wsunę go pod jej drzwi albo gdzieś zostawię, żeby przypadkiem znalazła. Ale się nie podpiszę.

– To bardzo szlachetnie – stwierdziła Molly. Wiadomość, że książę poniecha zalotów, przyjęła z ulgą, rozbawieniem i niejakim smutkiem. – Dziewczyny wolą wiersze od martwych smoków i zaczarowanych mieczy. Przynajmniej ja je zawsze wolałam, póki byłam dziewczyną. Właśnie dlatego uciekłam z Kiepem, że...

Ale Książę Lir przerwał jej, mówiąc zdecydowanie:

– Nie, nie rób mi nadziei. Muszę nauczyć się żyć bez widoków na przyszłość, tak jak mój ojciec. Może on i ja nareszcie się zrozumiemy. – Wepchnął rękę do kieszeni. Molly usłyszała szelest papieru. – Prawdę powiedziawszy, już napisałem o tym parę wierszy. O niej, o nadziei i w ogóle. Rzuć okiem, jeśli masz ochotę.

– Bardzo chętnie – zgodziła się. – Ale czy to znaczy, że już nigdy nie pojedziesz walczyć z czarnymi rycerzami i przedzierać się przez kręgi płomieni?

Miała to być kpina, lecz w połowie zdania Molly poczuła, że byłoby jej trochę żal, gdyby zaniechał męźnych czynów, bo od przygód bardzo wyprzystojniał, schudł, no i zaczął się za nim snuć ten piżmowy aromat śmierci, który owiewa bohaterów. Lecz książę pokręcił głową, prawie zażenowany.

– O, pewnie czasem będę się udzielał – mruknął. – Ale już nie na pokaz i nie po to, żeby ona się dowiedziała. Z początku rzeczywiście chciałem się tylko popisać, ale człowiekowi z czasem wchodzi w krew ratowanie bezbronnych, zdejmowanie uroków, uczciwe pojedynki z niegodziwymi książętami. Niełatwo zerwać z bohaterstwem, skoro już się do niego przywykło. Podoba ci się pierwszy wiersz?

– Napisany z wielkim uczuciem, to fakt – rzekła Molly. – Ale czy jesteś pewien, że „kwiat” rymuje się z „padł”?

– Trochę trzeba to będzie jeszcze wygładzić – przyznał Książę Lir. – Najwięcej kłopotów mam z

„cudem”.

– Właśnie się zastanawiałam, czy dobrym rymem nie byłby „pud”.

– Ja nie o rymie, tylko o pisowni. Zwykle u czy kreskowane?

– Chyba zwykle – zaryzykowała Molly. – Szmendryk – powiedziała, bo czarodziej właśnie wszedł, pochylając się w drzwiach – jak się pisze „cud”?

– Przez ó kreskowane – odparł ze znużeniem. – Tak jak „cudzy”.

Usiadł przy stole, a Molly naląła mu rosółu do miski. Spojrzenie miał twarde, oczy zamglone jak dwa jadeity, tik w jednej powiece.

– Już nie mogę – rzekł pomału. – I wcale nie ten okropny zamek najbardziej daje mi w kość, ani to, że muszę bez przerwy nasłuchiwać, czy on mnie nie wzywa, bo w tym akurat nabieram coraz większej wprawy. Najgorsze są te tanie numery, które każe mi godzinami powtarzać, ostatnio przez całą noc. Gdyby jeszcze żądał prawdziwej magii albo prostych czarów, to czemu nie, ale on chce tylko pierścieni i złotych rybek, kart, wstęg i sznurków, dokładnie jak w Ponurym Miasteczku. Już nie daję rady. Zaczynam robić bokami.

– Przecież właśnie po to cię przyjął – przypomniała mu Molly. – Gdyby chciał

prawdziwych czarów, zostałby przy starym magu, tym jakimś Mabruku.

Szmendryk wyprostował się i spojrzał na nią prawie z rozbawieniem.

– Źle mnie zrozumiałeś – rzekła. – A zresztą to już niedługo potrwa. Póki nie znajdziemy drogi do Czerwonego Byka, o której opowiedział mi kot.

Przy ostatnich słowach zniżyła głos do szeptu. Oboje szybko zerknęli na Księcia Lira, on jednak siedział w kącie i chyba pisał kolejny wiersz.

– Gazele – mruknął, pukając się piórem po ustach. – Wesele, cytadele, asfodele, ziele, paralele... – Wybrał „ukulele” i zaczął pospiesznie gryzmolić.

– Nigdy jej nie znajdziemy – bardzo cicho odparł Szmendryk. – Nawet jeśli kot mówi prawdę, w co bardzo wątpię, Nędzor dopilnuje, żebyśmy nie mieli czasu zająć się czaszką i zegarem. Jak myślisz, czemu z każdym dniem zwała ci na kark więcej roboty? Czy nie po to, żebyś nie mogła węszyć i myskować po wielkiej sali? Czemu zmusza mnie, żebym go zabawiał jarmarcznymi sztuczkami? Czemu w ogóle mianował mnie nadwornym czarodziejem? Molly, on wszystko wie, jestem pewien! Wie, kim ona jest, chociaż sam jeszcze nie całkiem przyjmuje to do wiadomości. Ale kiedy już przyjmie, będzie wiedział, jak postąpić. Wszystkiego się domyśla. Chwilami widzę to po jego minie.

– Słodycz tęsknoty, gorycz utraty – zadeklamował Książę Lir. – Rozpacz tarura-rura-rura-raty. Kraty,

klaty, szaty. Jasna cholera.

Szmendryk pochylił się ku niej nad stołem. – Nie możemy siedzieć i czekać, aż zada cios.

Nasza jedyna szansa to uciec którejs nocy, na przykład morzem, jeżeli uda mi się załatwić łódkę. Knechci przymkną oczy, a brama...

– A jednorożce? – z cicha zawołała Molly. – Jak mamy odejść, skoro z tak daleka przybyła ich śladem, a wiemy już, że gdzieś tu są? – Lecz jakaś słaba, zdradziecka jej część zapragnęła nagle uwierzyć w fiasko wyprawy. Molly zauważyła to i rozżłościła się na Szmendryka. – A twoja moc? – spytała. – Twoja prywatna pielgrzymka? Z niej też zrezygnujesz? Czy Jednorogini ma umrzeć w ludzkiej postaci, a ty będziesz żył wiecznie?

Skoro tak, to równie dobrze mogłeś ją porzucić na pastwę Byka.

Czarodziej oparł się o ścianę. Twarz miał bladą i pomarszczoną jak palce praczki.

– To właściwie wszystko jedno – rzekł jakby do siebie. – Ona i tak nie jest już jednorożcem, tylko śmiertelną kobietą, do której ten tuman może wdychać i pisać wiersze.

Nędzior nie musi jej rozszyfrować. Może uzna ją za córkę i nigdy się nie połapie, z kim ma do czynienia. Głupia sprawa. – Odsunął zupę, której nawet nie skosztował, i ukrył twarz w dłoniach. – Nie umiałbym zmienić jej z powrotem w jednorożca, choćbyśmy znaleźli tamte –

przyznał. – Nie ma we mnie śladu mocy.

– Szmendryk... – zaczęła, lecz on zerwał się na równe nogi i wybiegł z kuchni, choć Molly nie słyszała, żeby król go wzywał. Książę Lir wystukiwał rozmaite metra i wypróbowywał rymy, nie odrywając Wzroku od kartki. Molly zawiesiła nad ogniem czajnik z wodą na herbatę dla strażników.

– Brakuje mi już tylko ostatniego kupletu – rzekł niebawem Lir. – Chcesz od razu posłuchać, czy zaczekasz?

– Jak wolisz – odparła, więc przeczytał od razu, ale nie usłyszała ani słowa. Na szczęście nie zdążył skończyć przed przyjściem knechtów, przy nich zaś nie śmiał pytać jej o zdanie.

Nim knechci sobie poszli, wziął się do następnego wiersza, a potem zrobiło się bardzo późno, więc już tylko powiedział jej dobranoc. Molly siedziała przy stole, z pstrym kotem na kolanach.

Nowy wiersz miał mieć formę sekstyny. Książę Lir szedł schodami w górę, zmierzając do swej sypialni, i radośnie żonglował rymami, aż mu w głowie dzwoniło. „Pierwszy wiersz wsunę jej pod drzwi”, zdecydował, „a resztę zostawię na jutro”. Postanowił co prawda tworzyć anonimowo, teraz jednak bił się z myślami i przymierzał rozmaite pseudonimy literackie, takie jak „Cienisty Rycerz” czy „Le Chevalier Mal-Aimé”, gdy wychodząc zza rogu napotkał w ciemnościach Lady Amalteę. Schodziła szybkim krokiem, ale na widok Lira ni to jęknęła, ni to zameczała, i stanęła jak wryta o trzy

stopnie nad księciem.

Ubrana była w suknię, którą jeden z knechtów ukradł dla niej w Bramjędzu. Włosy miała rozpuszczone, stopy bosc. Kiedy Lir ujrzał ją na schodach, smutek smagnął go po kościach, aż księżę upuścił wiersze i podał tyły, nie dbając już o pozory. Ale że był bohaterem w każdym calu, po chwili mężnie zawrócił i rzekł spokojnie a dwornie:

– Bądź pozdrowiona, pani.

Patrząc nań poprzez mrok wyciągnęła rękę, ale cofnęła ją, nim zdążyła go dotknąć.

– Kim jesteś? – szepnęła. – Czy to Rukh?

– To ja, Lir – odparł z nagłym lękiem. – Nie poznajesz? – Odsunęła się krokiem płynnym jak u zwierzęcia, a gdy nieco spuściła głowę, księżę dostrzegł w tym geście ruch kozy lub jelenia. – To ja, Lir – powtórzył.

– Starucha – rzekła Lady Amaltea. – Księżyc zgasł. Aaa! – Zadrżała, i wtedy jej oczy go poznały, ale ciało pozostało tak samo dzikie i czujne, więc nie zbliżyła się ani o krok.

– Śniłaś, o pani – powiedział, odnalazłszy rycerski ton. – Pragnąłbym poznać treść twego snu.

– Już mi się kiedyś śnił – odparła. – Siedziałam w klatce. Były tam też inne istoty: zwierzęta pozamykane w klatkach i stara kobieta. Ale nie chcę ci zawracać głowy tym snem, mój księżę. Śnił mi się już wiele razy.

Odeszłaby, lecz przemówił tonem, który znają jedynie bohaterowie, podobnie jak samice wielu zwierząt zaczynają wydawać pewien szczególny zew, gdy mają młode.

– Sen tak natrętny może wróżyć przyszłość lub przypominać sprawy przedwcześnie puszczone w niepamięć. Racz mi więc o nim opowiedzieć, pani, a postaram się go rozwikłać.

Przystanąła w pół roku, patrząc nań z lekko obróconą głową, jak smukłe, kosmate stworzenie wyzierające z gąszczu. Ale oczy jej miały ludzki wyraz: był w nich żal po stracie, tęsknota za czymś, bez czego żyć nie sposób, lub nagła świadomość, że nigdy się tego nie miało. Gdyby Księżę Lir drgnął, uciekłaby; lecz on ani mrugnął, tylko trzymał ją na uwięzi nieruchomym spojrzeniem, którym nauczył się obezwładniać gryfy i chimery. Widok jej bosych stóp ranił go głębiej niż jakikolwiek kiel czy szpon, ale księżę ani na chwilę nie przestał być bohaterem.

– W tym śnie widzę czarne zakratowane wozy – powiedziała Lady Amaltea – zwierzęta, które są, a zarazem ich nie ma, i skrzydlatą istotę, dźwięczącą metalicznie w blasku księżyca.

Wysoki mężczyzna ma zielone oczy i zakrwawione dłonie.

– To na pewno twój stryj, czarodziej – domyślił się Księżę Lir. – Przynajmniej ten fragment wydaje



się dość jasny. Wcale się nie dziwię, że ma krew na rękach. Daruj, pani, ale nigdy mi się nie podobał. Czy to już cały sen?

– Nie mogę ci opowiedzieć całego. Nigdy się nie kończy. – W jej oczach znów pojawił

się lęk, jakby do sadzawki wpadł głaz: przesłonił je zmacony wir, we wszystkie strony pomykały szybkie cienie. – Uciekam skądś, gdzie było mi dobrze, z bezpiecznego miejsca, a wokół mnie płonie noc. Ale równocześnie jest dzień. Spaceruję pod koronami buków w ciepłym, cierpkim deszczu, fruwać motyle, w powietrzu słyszeć miód, drogi są łaciate, miasta jak rybnie szkielety, a skrzydlaty stwór zabija staruchę. Uciekam, ale gdziekolwiek się obróczę, wpadam prosto w lodowaty ogień i mam zwierzęce nogi...

– Pani – przerwał jej książę. – Błagam, nie mów nic więcej. – Jej sen gęstniał między nimi, oblekając się w mroczny kształt, i Lir nagle poczuł, że woli go nie rozumieć. – Przestań, proszę.

– Nie mogę przestać, bo on nigdy się nie kończy. Nawet po przebudzeniu, kiedy chodzę, mówię, jem kolację, nie wiem, co jest prawdą, a co snem. Pamiętam rzeczy, które nie mogły się zdarzyć, a zapominam coś, co dzieje się teraz. Ludzie patrzą na mnie, jakbym powinna ich znać, a ja rzeczywiście ich znam, ale tylko we śnie, i ciągle ten ogień, coraz bliżej, nawet na jawie...

– Dość – rzekł Książę Lir desperackim tonem. – Ten zamek zbudowała wiedźma i kiedy mówi się tu o koszarach, często się ziszczają. – Księcia zmroził nie tyle jej sen, ile to, że opowiadając go nie uroniła ani jednej łzy. Jako bohater obyty był z widokiem płaczących kobiet i umiał koić ich żal: zwykle należało w tym celu coś zabić. Lecz jej cicha zgroza wprawiała go w pomieszanie i pozbawiała męskości, a zarys jej twarzy kruszył otoczkę wyniosłego dostojeństwa, które z takim upodobaniem w sobie wypielęgnował. Głos księcia zabrzmiał młodzieńczo i niepewnie.

– Zalecałbym się z większą gracją, gdybym wiedział jak. Moje smoki i zbrojne czyny męczą cię, pani, ale nic prócz nich nie mam ci do ofiarowania. Dopiero od niedawna jestem bohaterem, a przedtem byłem nikim – ot, synem swego ojca, tępym mięczakiem. Może po prostu zmieniłem styl tępoty, ale skoro już istnieję, nie pozwól, żebym tak się marnował.

Pragnąłbym, żebyś czegoś ode mnie chciała. Niekoniecznie musiałby to być mężny czyn – niechby chociaż był pożyteczny.

Lady Amaltea uśmiechnęła się doń po raz pierwszy, odkąd zamieszkała w zamku Króla Nędzora. Był to uśmiech wątły jak księżyc w nowiu, szczupły rąbek jasności na skraju niewidzialnego, ale Książę Lir pochylił się, żeby się przy nim ogrzać. Gdyby starczyło mu odwagi, otoczyłby ten uśmiech dłońmi i rozdmuchał.

– Zaśpiewaj mi – poprosiła. – Jeśli w tej mrocznej samotni odważysz się podnieść głos, będzie to czyn mężny, a zarazem pożyteczny. Zaśpiewaj mi, zaśpiewaj pełną piersią. Zagłusz sny, nie pozwól wspominać tego czegoś, co dobija się do mojej pamięci. Zaśpiewaj mi, mój książę, bądź tak dobry. Może nie wydaje ci się to bohaterskim zadaniem, ale będę naprawdę rada, jeśli zaśpiewasz.

Książę Lir zaśpiewał więc soczystym głosem, który rozległ się wśród zimnych murów, płosząc swą słoneczną wesołością całe stada wilgotnych, niewidocznych stworzeń, aż czmychnęły do kryjówek, koziółkując po schodach. Zaśpiewał pierwszą piosenkę, jaka mu przysłała do głowy, a brzmiała ona tak:

Za młodu ogromnym cieszyłem się wzięciem:

Nigdy mi się żadna nie oparła niewiasta.

Skubałem serduszka jak z garści rodzynki,

Mówiąc, że kocham, choć były to łgarstwa.

Lecz w duchum powtarzał: „Ni jedna z nich nie wie, Jaki sekret hołubię, pieścuję i skrywam.

Czekam tej, która przejrzy na wskroś moją duszę, Bym po czynach swych poznał, że to miłość prawdziwa”.

Płynie rok za rokiem, jak chmury w niebiosach; Niewiasty przemijają niby śnieg na wietrze.

A ja łżę i czaruję, udaję i zwodzę,

I wciąż grzeszę, grzeszę, grzeszę i grzeszę.

Lecz co dnia sobie mówię: „Ni jedna nie widzi, Żem jest czysty i biały, jak na morzu grzywacz.

Choć ma luba się spóźnia, w duchu jestem jej wierny I po czynach swych poznam, że to miłość prawdziwa”.

Wreszcie rzekła mi dama rozumna i tkliwa:

„Widzę skarb, który kryjesz w tanich pozorach”.

Zdradziłem ją, nim jeszcze to wyznanie skończyła, Więc trutkę połknęła i hyc do jeziora.

Gdy się wdzięcznie łajdaczę i tarzam w rozpuście, Nowy głos raz po raz się we mnie odzywa:

„Moc miłości jest wielka, ale większa – nałogu.

Wszak poznałem po czynach, co to miłość prawdziwa”.

Lady Amaltea roześmiała się, kiedy skończył. Na dźwięk jej śmiechu prastary zamczysty mrok cofnął się z sykiem.

– To był naprawdę pożyteczny czyn – powiedziała. – Dziękuję ci, mój książę.

– Sam nie wiem, czemu wybrałem akurat tę piosenkę – rzekł Lir, zawstydzony. – Śpiewał

mi ją dawniej jeden z ludzi mojego ojca. Ale nie wierzę, żeby mówiła prawdę. Miłość jest chyba silniejsza niż wszelkie nałogi czy okoliczności. Chyba można bardzo długo dla kogoś się oszczędzać, a gdy ta osoba wreszcie się zjawi, pamiętać, że to właśnie na nią się czekało.

Lady Amaltea uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała. Książę zbliżył się o krok i oświadczył, zdumiony własną śmiałością:

– Wniknąłbym w twój sen, gdybym tylko mógł, i strzegłbym cię w nim. Położyłbym trupem to stworzenie, które cię prześladowuje, tak jak zabiłbym je na jawie, jeśli miałoby odwagę stawić mi czoło. Ale żebym się dostał do twego snu, musiałabyś o mnie śnić.

Nim zdążyła się odezwać – jeśli w ogóle miała ten zamiar – z dołu usłyszeli kroki dudniące po krętych schodach i głos Króla Nędzora, dobiegający jakby zza zasłony:

– Słyszałem jego śpiew. Co go raptem napadło, żeby śpiewać?

Szmendryk, nadworny czarodziej, rzekł pokornie i śpiesznie:

– Panie, to była tylko bohaterska pieśń, jedna z tych *chansons de geste*, które często śpiewa, gdy wyrusza po sławę lub wraca w glorii. Zapewniam waszą wysokość...

– On tu nigdy nie śpiewa – ciągnął król. – Owszem, na tych swoich durnych eskapadach pewnie wyśpiewuje bez ustanku, jak to bohater. Ale tym razem śpiewał tu, na zamku, i to nie o żadnych bojach ani o rycerstwie, tylko o miłości. Gdzie jest dziewczyna? Wiedziałem, że śpiewa o miłości, nim go w ogóle usłyszałem, bo nawet kamienie drżały tak jak wtedy, kiedy Byk rusza się pod ziemią. Gdzie dziewczyna?

Książę i Lady Amaltea w ciemnościach spotkali się wzrokiem. Stali już obok siebie, choć żadne nie ruszyło się z miejsca. Przerazili się, że król zechce sobie przywłaszczyć to, co zrodziło się między nimi. O kilka schodków w górę zaczynał się podest przyległy do korytarza; odwrócili się i pobiegli ramię w ramię, choć nie sięgali wzrokiem dalej niż na długość oddechu. Kroki Lady Amaltei były bezgłośnie jak obietnica, którą złożyła księciu, ale jego buciory łomotały o posadzkę nie inaczej niż te, co dudniły za nimi po schodach. Król Nędzor nie ruszył w pogoń, lecz jego szept popęłznął śladem uciekających i zaszeleścił w korytarzach, zagłuszany słowami Szmendryka:

– Myszy, jaśnie panie, to na pewno myszy. Ale tak się szczęśliwie składa, że znane mi jest specjalne zaklęcie...

– Niech biegną – rzekł król. – Niech sobie pobiegają. W to mi graj.

A gdy wreszcie stanęli – gdziekolwiek to było – znów spotkali się wzrokiem.

I tak to wlokła się zrzędliva zima, wcale nie ku wiosnie, lecz ku krótkiemu, żarłocznemu latu – takie

bowiem bywało ono w krainie Króla Nędzora. Życie na zamku toczyło się wśród ciszy, jaka panuje w miejscach, gdzie nikt już na nic nie czeka. Molly Grue gotowała i prała, szorowała kamienne posadzki, naprawiała zbroje i ostrzyła miecze; rąbała drwa na opał, mełła mąkę, obrządzała konie i czyściła stajnie, przetapiała kradzione złoto i srebro, żeby je złożyć w królewskich kufrach, gotowała zupę na gwoździu i kręciła bicze z piasku. Przed zaśnięciem czytywała Lady Amaltei nowe wiersze Księcia Lira, chwaliła je i poprawiała pisownię.

Szmendryk błaznował, zonglował i szarlatanił na królewski rozkaz, nienawidząc tych wygłupów, a zarazem wiedząc, że Nędzor wyczuwa tę nienawiść i nią się delectuje. Nie próbował już przekonywać Molly, że trzeba uciekać, nim król dowie się, kim jest Lady Amaltea; ale nie szukał też tajemnej drogi do jamy Czerwonego Byka, nawet gdy czasu miał

w bród. Wyglądało na to, że się poddał – nie królowi, tylko znacznie starszemu, okrutniejszemu wrogowi, który wreszcie go dopadł w tym zamku, w połowie tej właśnie zimy.

Lady Amaltea z każdym dniem piękniała akurat o tyle, o ile sam ten dzień był

ciemniejszy i bardziej ponury od poprzedniego. Gdy leciwi knechci schodzili z baszt po skończonej warcie, przemoczeni i zziębnięci, albo wracali z łupem ukradzionym na rozkaz króla i napotykali ją na schodach lub w korytarzach, rozkwitali cicho jak kwiaty. Uśmiechała się do nich i przemawiała łagodnie. Zaledwie ich jednak minęła, zamek mroczył jak nigdy przedtem, a wiatr za oknami szamotał niebem niby praniem na sznurze, bo jej uroda była ludzka, skazana za zagładę, starcy nie mogli więc czerpać z niej pociechy. Szczelniej otulali się opończami ociekającymi deszczówką i kuśtykali do kuchni, żeby się ogrzać przy wątlym ogniu.

Za to Lady Amaltea i Księżę Lir przechadzali się, rozmawiali i śpiewali na dwa głosy z taką beztroską, jakby zamek Króla Nędzora przemienił się w dziki zielony las pełen wiosennych cieni. Wspinali się na krzywe wieże jak na wzgórze, urządzali sobie pikniki na kamiennych łąkach pod kamiennym niebem, brodzili po schodach, które stopniały i przedzierzgnęły się w bystre strumienie. Księżę mówił ukochanej wszystko, co wiedział, mówił, co w ogóle sądzi o życiu, i dla niej też zmyślił radośnie cały zyciorys i poglądy, ona zaś pomogła mu w tym, cierpliwie słuchając. Wcale zresztą nie wprowadziła go w błąd, bo naprawdę nie pamiętała, żeby w jej życiu cokolwiek poprzedzało księcia i zamek. Zaczynała się od Lira i na nim się kończyła. Jedyne jej sny nie miały z nim nic wspólnego, ale wkrótce spełzły i wyblakły, tak jak obiecał.

Już tylko z rzadka rozlegał się nocą łowiecki zew Czerwonego Byka, lecz słysząc ten zgłodniały ryk wpadała w trwogę, a wtedy zima znów otaczała ich lodowatym murem, jakby rzekoma wiosna była wyłącznie dziełem Lady Amaltei, nietrwałym podarunkiem, który z radości ofiarowała księciu. A on zawsze pragnął wtedy wziąć ją w ramiona, wiedział jednak, jaką grozę budzi w niej dotyk.

Pewnego popołudnia Lady Amaltea stała na najwyższej wieży, oczekując księcia, który wyruszył, żeby stoczyć pojedynek ze szwagrem niedawno zgłodzonego potwora, bo zgodnie z obietnicą daną Molly nie całkiem porzucił zajęcie błędnego rycerza. Nad Bramjędzem i resztą doliny piętrzyło się niebo koloru brudnych mydlin, ale deszcz nie padał. Hen, w dole morze sunęło ku zadymionym

horyzontom, całe w twardych smugach srebra i zieleni, przetykanych brązem wodorostów. Szkaradne ptaki były tego dnia niespokojne: zrywały się do lotu po dwa, po trzy, przez chwilę szybko krążyły nad wodą i znów siadały na piasku, aby dumnie stąpając zezować w stronę zamku Króla Nędzora i chichotać: „Drwiii, drwiii!” Morze cofnęło się w dal i lada chwila miał nadciągnąć przyływ.

Lady Amaltea zaczęła śpiewać. Jej głos wzbił się nad urwiskiem, szybując jak jakiś nietutejszy ptak.

Starzeję się, a przecież

Królewską jestem córą,

W okowach swej osoby,

Spętana własną skórą.

Uciekłabym i poszła

Żebrać od drzwi do drzwi...

Nie pamiętała, czy gdziekolwiek słyszała tę piosenkę, lecz słowa szczypały ją i tarnosiły niczym gromada dzieci, usiłując zawlec z powrotem w to jakieś miejsce, które chciały raz jeszcze odwiedzić. Wzruszyła ramionami, żeby się pozbyć natrętów.

– Przecież nie jestem stara – rzekła do siebie – i nikt mnie tu nie więzi. Jestem Lady Amaltea, ukochana Lira, który wdarł się w moje sny, żebym nie wątpiła w siebie nawet śpiąc.

Gdzie mogłam zasłyszeć tę smutną pieśń? Jestem Lady Amaltea i znam tylko te piosenki, których nauczył mnie Książę Lir.

Podniosła rękę i dotknęła znamienia na czole. Morze zataczało kręgi, spokojne jak zodiak, a szkaradne ptaki skrzeczały. Trochę ją martwiło, że znamię nie znika.

– Wasza wysokość – powiedziała, choć żaden dźwięk nie zmącił ciszy. Usłyszała z tyłu szeleszczący chichot, odwróciła się i ujrzała króla. Na zbroję narzucił szarą opończę, ale głowę miał odkrytą. Choć na jego twarzy widniały czarne bruzdy w miejscach, gdzie czas zrył twardą skórę, Nędzor wydawał się silniejszy niż jego syn: silniejszy i bardziej nieposkromiony.

– Jesteś całkiem bystra jak na to, kim się stałaś – stwierdził – ale niemrawa jak na to, kim byłaś. Szkoda, że od miłości mężczyźni robią się zwawi, a kobiety niemrawe. Uważaj z tym kochaniem, bo cię w końcu przydybię.

Uśmiechnęła się do niego w milczeniu. Nigdy nie wiedziała, jakim słowem zwrócić się do tego bladookiego starca, którego rzadko widywała, bo pojawiał się tylko jako drgnienie na skraju jej samotności, dzielonej jedynie z Lirem. Wtem w głębi doliny błysnął pancierz i usłyszała zgrzyt, gdy znużony koń potknął się o kamień.

– Syn waszej wysokości, wraca do domu – rzekła. – Popatrzmy na niego.

Król Nędzor podszedł z wolna i stanął wraz z nią u blanków, lecz tylko raz rzucił okiem na połyskliwą figurkę jeźdźca, który zmierzał do zamku.

– Nie, doprawdy, co ciebie czy mnie może obchodzić Lir? – spytał. – Nie jest mój ani z urodzenia, ani z prawa. Wziąłem go, bo ktoś go porzucił, a mnie akurat przyszło na myśl, że nigdy nie byłem szczęśliwy i nie miałem syna. Z początku nawet dosyć nim się cieszyłem, ale ta radość rychło obumarła. Co tylko wezmę do ręki, wnet obumiera. Nie wiem, czemu tak jest, ale nigdy nie było inaczej. Jeden jedyny skarb nie wystygł i nie zszarzał pod moją strażą.

Nic prócz niego nigdy naprawdę do mnie nie należało. – Ponure oblicze króla zatrasnęło się nagle jak zgłodniała pułapka. – A Lir nie pomoże ci znaleźć tego skarbu. Nawet nie wie, co to jest.

Cały zamek zadźwięczał zniecka jak targnięta struna, gdy śpiąca u jego posad bestia przewróciła się z boku na bok. Lady Amaltea bez trudu złapała równowagę, bo przywykła już do tych raptownych wstrząsów, i rzekła lekko:

– To Czerwony Byk. Ale czemu wasza wysokość przypuszcza, że chcę ukraść Byka? Nie mam królestwa, którego mógłby strzec, i nie pragnę dokonywać podbojów. Co bym z nim robiła? He on je?

– Nie kpj ze mnie! – odparł król. – Czerwony Byk nie jest bardziej mój niż ten chłopak.

Nigdy nie jada i nie można go ukraść. Służy każdemu, kto nie zna strachu, a mnie strach jest równie obcy jak świat. – Lady Amaltea zobaczyła jednak, że po jego pociągłej, szarej twarzy przemyka cień niepokoju, aby zaraz skryć się pod brwiami i w zapadniętych policzkach. –

Nie kpj ze mnie – powtórzył król. – Czemu udajesz, że zapomniałaś o celu swej wędrówki i że muszę ci dopiero o nim przypomnieć? Wiem, po co przybyłaś, i ty też wiesz, że właśnie ja mam to, czego szukasz. Bierz więc ten skarb, weź go sobie, jeśli zdołasz, ale nie waż się dać za wygraną! – Czarne zmarszczki na jego twarzy były ostre jak noże.

Książę Lir nadjeżdżał z pieśnią na ustach, ale Lady Amaltea nie słyszała jej słów.

– Panie mój – rzekła cicho do króla. – W całym twoim zamku, w całym państwie, we wszelkich królestwach, jakie Czerwony Byk może ci rzucić pod nogi, masz tylko jeden skarb, którego pragnę, a sam przed chwilą powiedziałeś, że nie należy on do ciebie, więc nie możesz mi go dać ani odmówić. Wszystkim zaś, co jest ci drogie, lecz nie jest nim, ciesz się do woli, z serca ci życzę. Żegnam waszą wysokość.

Ruszyła ku schodom, ale zastąpił jej drogę, przystanąła więc, patrząc nań oczami ciemnymi jak ślady kopyt w śniegu. Szary król uśmiechnął się, ją zaś zmroziła na mgnienie przedziwna wobec niego tkliwość, bo wydało jej się, że są jakoś do siebie podobni. Lecz król rzekł:

– Wiem, kim jesteś. Wiem to prawie od pierwszej chwili, odkąd cię ujrzałem na drodze, kiedy szłaś do mnie ze swoją kucharką i z tym błaznem. Od tamtej pory zdradza cię każdy gest: krok, spojrzenie, obrót głowy, połysk szyi, poruszanej oddechem, a nawet twoja poza, gdy stoisz nieruchomo – wszystko to są moi szpiegowie. Trochę się jeszcze wahałem i jestem ci na swój sposób wdzięczny za tę chwilę niepewności. Ale wybiła już twoja godzina.

Spojrzał przez ramię na morze i nagle podszedł do blanków, poruszając się z bezmyślnym wdziękiem młodzieńca.

– Zaczyna się przyływ – powiedział. – Chodź, zobacz. No, podejdź tu. – Mówił bardzo cicho, ale od jego głosu umilkły nagle szkaradne ptaki. – No, chodź – rzekł zajadle. – Nie bój się, nie dotknę cię.

Księżę Lir śpiewał:

Będę kochał cię, jak długo zdołam,

Choćby najdłużej...

Potworny łeb dyndający u lęku siodła basował mu falsetem. Lady Amaltea stanęła obok króla.

Pod gęstym, skłębionym niebem nadciągały wzdęte fale. Rosły wolno jak drzewa, bliżej lądu czały się, wzwyż prężąc grzbiety, wściekle rzucały się na plażę niby uwięzione zwierzęta skaczące na mur i odpadały ni to ze szlochom, ni to z warkotem, aby za chwilę znów skoczyć, krusząc o brzeg ubłocone szpony, a nad nimi smętnie pokrzykiwały szkaradne ptaki. Fale były gołębioszare, lecz gdy się załamywały, przybierały barwę włosów, którymi wiatr przesłaniał oczy Lady Amaltei.

– Popatrz – zabrzmiał tuż obok niej obcy, wysoki głos. – Patrz, tam je trzymam. – Król Nędzor szczerzył zęby w uśmiechu, wskazując palcem zbielałą wodę. – Tam je trzymam –

powtórzył, śmiejąc się jak przerażone dziecko. – Tam biegną. Może to nie twoi pobratymcy?

Może nie po to tu przybyłaś, żeby ich odnaleźć? Może tylko dla miłości spędziłaś w moim zamku całą zimę?

Nie czekając, aż mu odpowie, odwrócił się i spojrzał na fale. Jego twarz zmieniła się nie do poznania: od nagłej rozkoszy posępna cera nabrała rumieńców, wypełniły się zapadnięte policzki, usta zmiękły i nie przypominały już napiętej cięciwy.

– Mam je – rzekł cicho. – Są moje. Czerwony Byk przygnał je tu dla mnie, po jednym, i kazałem mu wszystkie zapędzić do morza. Bo czyż istnieje lepsza zagroda dla jednorożców?

Wyrwałyby się z każdej innej klatki, tu zaś pilnuje ich Byk. Strzeże ich nawet przez sen, a już dawno złamał w nich ducha. Żyją w morzu i każdy przyływ niesie je tuż, tuż, do brzegu, lecz nie śmiać dać tego ostatniego susa, nie śmiać wyjść z wody. Boją się Czerwonego Byka.

Śpiew Księżca Lira dobiegał już z całkiem bliska: Niech ci inny obieca więcej, niż dać zdoła,

by potem złożyć w darze niewiele lub nic zgoła...

Lady Amaltea zacisnęła dłonie na krawędzi blanków i zapragnęła, żeby księżę do niej przyszedł, bo zrozumiała, że Król Nędzor jest obłąkany. W dole widać było wąską, bladą plażę, skały, wzbierający przypływ – i nic więcej.

– Lubię na nie patrzeć. To cała moja radość. – Dziecięcy głos króla niemal przechodził w śpiew. – Jestem pewien, że to radość. Za pierwszym razem myślałem, że umrę. Zobaczyłem dwa. Wśród cieni wczesnego poranka jeden pił ze strumienia, a drugi opierał mu głowę na grzbiecie. Myślałem, że umrę. „Muszę to mieć”, powiedziałem do Czerwonego Byka. „Muszę mieć to wszystko, ile tylko jest tego na świecie, bom wielce spragniony”. Więc Byk wyłapał

je po kolei. Jemu jest wszystko jedno. Zrobiłby to samo, gdybym zażądał skarabeuszy albo krokodyli. Jego świat dzieli się na to, czego chcę, i resztę.

Zapomniał o niej na chwilę, przechylony nad niskim murem, i mogła wtedy umknąć z wieży. Ale została, bo wokół niej jął w biały dzień budzić się stary koszmar. Fale przyboju roztrzaskiwały się o skały i padały skłębioną masą, a Księżę Lir nadjeżdżał, śpiewając: Lecz ja będę cię kochał, jak długa się da,

i nigdy nie spytam, czyś mi wzajemną.

– Musiałem chyba być młody, kiedy pierwszy raz je ujrzałem – ciągnął Król Nędzor. –

Teraz pewnie jestem już stary, a w każdym razie od tamtej pory zdążyłem wziąć do ręki wiele rozmaitych rzeczy, które zaraz odkładałem z powrotem. Bo zawsze wiedziałem, że w nic nie warto wkładać serca, skoro wszystko przemija, i miałem rację, czyli zawsze byłem stary. Lecz ilekroć patrzę na swoje jednorożce, czuję się zupełnie tak samo jak tamtego ranka w lesie.

Chcąc nie chcąc młodzieję i nagle widzę, że w świecie, który skrywa w sobie takie piękno, wszystko może się zdarzyć.

We śnie patrzyłam z góry na cztery białe nogi i czułam ziemię pod kopytami. Czoło paliło mnie, tak jak i teraz pali. Ale z przypływem wcale nie nadciągnęły jednorożce. Król jest szalony.

– Ciekawe, co z nimi będzie, kiedy mnie zabraknie – rzekł Nędzor. – Czerwony Byk natychmiast o nich zapomni i pójdzie szukać nowego pana, ale wcale nie jest pewne, czy skorzystają z tej nagłej swobody. Mam nadzieję, że nie, bo w ten sposób już zawsze będą moje. – Odwrócił się i spojrzał na nią łagodnie i zachłannie jak Księżę Lir. – Jesteś ostatnia –

powiedział. – Byk cię przeoczył, bo masz postać kobiety, ale ja od początku wiedziałem, coś ty za jedna. Jak właściwie udała ci się ta przemiana? Nie mógł jej dokonać ten twój czarodziej. Nie umiałby chyba zmienić śmietany w masło.



Gdyby nie trzymała się muru, runęłaby w dół, lecz odparła z całym spokojem:

– Nie rozumiem cię, panie. Nie widzę w wodzie nic szczególnego.

Królewskie oblicze drgnęło, jakby patrzyła na nie przez ogień.

– Wciąż się siebie zapierasz? – szepnął Nędzor. – Jak śmiesz? Jestże w tobie tyle fałszu i tchórzostwa, jakbyś naprawdę była z ludzkiego rodu? Własnymi rękami strącę cię między twoich pobratymców, jeśli nie przestaniesz się zapierać. – Zrobił krok w jej stronę. Patrzyła nań szeroko otwartymi oczami, zastygła w bezruchu.

Jej głowę wypełnił tumult wzburzonego morza, zmieszany z piosenką Księcia Lira i z bełkotliwym skowytom, który wydał przed śmiercią człowiek imieniem Rukh. Szara twarz Nędzora wisiała nad nią jak młot.

– Niepodobna, żebym się mylił – mruczał król. – Chociaż oczy ma równie głupie jak on.

Jak każdy, kto nigdy nie widział jednorożców. Jak każdy, kto zawsze widział tylko własne odbicie w lustrze. Co to za szachrajstwo? Jakże to możliwe? Z jej oczu znikły zielone liście.

A ona w końcu spuściła powieki, lecz więcej zjaw uwięzło pod nimi, aniżeli pozostało na zewnątrz. Skrzydlaty stwór z brązu z twarzą wiedźmy przemknął chyżym lotem, śmiejąc się i paplając, a motyl złożył skrzydła, gotów do ataku. Czerwony Byk bezszelestnie sunął przez las i rozgarniał bladymi rogami nagie gałęzie. Poczowała, że Król Nędzor odchodzi, ale nie otworzyła oczu.

Długo potem, a może tylko chwilę później, usłyszała z tyłu głos czarodzieja:

– Cicho, cicho, już po wszystkim.

Nawet nie wiedziała, że ją było słycać.

– W morzu – dodał czarodziej. – Tak, w morzu. No, nie rób sobie wyrzutów. Ja też ich nie widziałem. Ani dziś, ani nigdy, chociaż obejrzałem już z tego miejsca tyle przyływów.

Ale Nędzor je widział, a coś, co on widzi, na pewno nie jest złudzeniem. – Jego śmiech zabrzmiał jak stukot topora o drewno. – Nie rób sobie wyrzutów. Ten zamek zbudowała wiedźma, więc wszystko tu mieni się w oczach. Nie wystarczy patrzeć, trzeba wyteżać wzrok.

– Znów parsknął śmiechem, ale łagodniejszym. – No dobrze – powiedział. – Teraz już je znajdziemy. Chodź. Chodź ze mną.

Obróciła się ku niemu poruszając wargami, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie wykrztusiła ani słowa. Czarodziej utkwiał w jej twarzy zielonookie spojrzenie.

– Masz mokre policzki – stwierdził z niepokojem. – Oby to była piana morska. Bo jeżeli już tak się uczłowieczyłaś, że płaczesz, to żaden czar na świecie... nie, to na pewno piana.

Chodź ze mną. Oby to była piana.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zegar w największej sali zamku Króla Nędzora wybił szóstą. Przed jedenastoma minutami minęła północ, ale w komnacie było niewiele ciemniej niż o szóstej albo i w południe. Mieszkańcy zamku zawsze odgadywali porę dnia według odcieni ciemności.

Czasem w ogromnej sali panował ziąb – zwykłe przeciwieństwo ciepła, i mrok – proste zaprzeczenie światła; powietrze wydawało się nieruchome i stęchłe, a kamienie cuchnęły zastałą wodą, to tylko z braku okien, którymi mógłby wpaść oczyszczający wiatr. Tak było za dnia.

Ale nocą – jak to bywa z pewnymi drzewami, które przez cały dzień gromadzą żywe światło i jeszcze długo po zachodzie słońca hołubią je u spodu liści – otóż nocą cały zamek elektryzowała rojna, ożywiona ciemność. W wielkiej sali nie bez powodu było wtedy zimno: różne szmerki, które spały w dzień, budziły się i zaczynały gderać i gmerać po kątach.

Właśnie nocą stary odór kamieni zdawał się ciągnąć już nie spod posadzki, lecz z głęboko pod nią ukrytej jamy.

– Zapal światło – poprosiła Molly Grue. – Zrób, żeby było widno, dobrze?

Szmendryk wymamrotał coś, co zabrzmiało zwięźle i fachowo. Przez chwilę nic się nie działo, wnet jednak po posadzce rozlał się dziwaczny, niezdrowy blask; rozprysnął się po sali tysiącem spłoszonych okruchów, które lśniły i popiskiwały. Nocne stworki świeciły jak robaczki świętojańskie. Pomykały to tu, to tam, wlokąc za sobą żwawe cienie. Przeszyta ich chorobliwym światłem ciemność wydawała się jeszcze zimniejsza niż przedtem.

– Niepotrzebnie to zrobiłeś – stwierdziła Molly. – Mógłbyś je z powrotem zgasić?

Przynajmniej te fioletowe, te co mają takie niby, niby... nibynóżki.

– Nie, nie mógłbym – z urazą odparł Szmendryk. – Cicho bądź. Gdzie ta czaszka?

Lady Amaltea widziała stary czerep, który wisiał na słupie i szczyrzył zęby w półmroku, mały jak cytryna, szary jak księżyc z rana, ale nic nie powiedziała. Nie odezwała się, odkąd zeszła z wieży.

– O, jest – rzekł czarodziej. Zamaszystym krokiem podszedł do czaszki i jął się wpatrywać w jej spękane, wykruszone oczodoły, z wolna kiwając głową i z namaszczeniem mrucząc do siebie. Molly Grue równie pilnie przyglądała się czaszce, lecz raz po raz zerkała na Lady Amalteę. W końcu Szmendryk powiedział:

– No tak. Odsuńcie się.

– Naprawdę istnieje zaklęcie, od którego czaszka przemówi? – spytała Molly. Czarodziej uśmiechnął

się nieznacznie, acz protekcyjnie, z trzaskiem wyłamując sobie palce.

– Owszem, istnieje. Wszystko może przemówić, jeśli użyje się odpowiedniego czaru –

oświadczył. – Wielcy czarodzieje znali sztukę słuchania, nauczyli się więc zaklinać wszelkie stworzenia, a nawet przedmioty martwe, żeby do nich mówiły. Bo czarodziej to przede wszystkim uważny widz i słuchacz. – Wziął głęboki oddech i spojrzał w bok, zacierając ręce.

– Reszta to tylko technika – dodał. – No, do roboty.

Stał przodem do czaszki, lekko oparł dłoń na jej bladym ciemieniu i przemówił

głębokim, rozkazującym tonem. Słowa wymaszerowały jak żołnierze, a ich mocarny krok rozniósł się w mroku gromkim echem, ale czaszka ani pisnęła.

– Chciałem tylko spróbować – półgłosem rzekł czarodziej. Zdjął rękę z czerepu i znów doń przemówił. Tym razem zakłęcie brzmiało rozważnie, pojednawczo, niemal żałośnie.

Czaszka wciąż milczała, ale Molly miała wrażenie, że po oskalpowanym obliczu przemknął cień czujności i zaraz zgasł.

W rozpierzchłej poświacie promiennego robactwa włosy Lady Amaltei świeciły jak kwiat paproci. Nie wydawała się ani zaciekawiona, ani obojętna, lecz spokojna tym spokojem, który czasem ogarnia pola bitew. Słuchała, jak Szmendryk kieruje zakłęcie za zakłęciem do starego gnata koloru pustyni, a gnat nie staje się ani trochę bardziej rozmowny niż ona sama. Każdą kolejną inkantację wygłaszał nieco bardziej zdesperowanym tonem, ale czaszka uparcie milczała. Molly Grue była jednak pewna, że czerep czuwa, wszystko słyszy i świetnie się bawi. Zbyt dobrze знаła szydercze milczenie, żeby je pomylić z grobowym.

Zegar wybił dwudziestą dziewiątą, a przynajmniej Molly przy dwudziestym dziewiątym uderzeniu straciła rachubę. Nim ostatni żelazisty brzęk stuknął o posadzkę, Szmendryk krzyknął, wymachując pięściami w stronę czaszki:

– No, no, uważaj, ty nadęta glaco! Chcesz fangę w oko? – Przy ostatnich słowach jego krzyk przeszedł we wrzask, pełen smutku i wściekłości.

– Doskonale – rzekła czaszka. – Drzyj się. Obudź starego Nędzora. – Jej głos przypominał trzask i stukot gałęzi targanych wiatrem. – Krzyknij jeszcze głośniejsze. Stary pewnie gdzieś tu się szwenda. Niewiele przecież sypia.

Molly cicho krzyknęła z zachwytu i nawet Lady Amaltea zbliżyła się o krok. Szmendryk stał, zaciskając pięści, bez cienia triumfu w twarzy.

– No, śmiało – powiedziała czaszka. – Pytaj, którądy się idzie do Czerwonego Byka. Nie pobłądzisz,

prosząc mnie o radę. Jestem królewskim strażnikiem i mam za zadanie strzec tej tajnej drogi. Nie zna jej nawet Księżę Lir, a ja – owszem.

Molly Grue spytała trochę nieśmiało:

– Skoro stoisz na straży, to czemu nie podniosłeś alarmu? Czemu obiecujesz nam pomoc, zamiast wezwać knechtów?

Czaszka parsknęła grzechotliwym śmiechem.

– Tak długo wiszę na tym słupie – westchnęła. – Byłem prawą ręką Nędzora, póki całkiem bez dania racji nie skrócił mnie o głowę. Akurat go skorciło, żeby sprawdzić, czy aby nie jest to jego ulubione zajęcie. Okazało się, że nie, ale skoro już mnie ściał, postanowił

jakoś wykorzystać mój czerep, więc powiesił go na tym słupie w charakterze strażnika.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę, nie jestem tak znów bardzo oddany Królowi Nędzorowi.

– No to rozwiąż za nas zagadkę – rzekł z cicha Szmendryk. – Powiedz, którędy mamy iść do Czerwonego Byka.

– Nie – odparła czaszka i zaczęła się śmiać jak szalona.

– Dlaczego? – z wściekłością zawołała Molly. – Co to za podchody?...

Długie, pożółkłe szczęki czaszki od początku nawet nie drgnęły i teraz też trwały w bezruchu, minęło jednak sporo czasu, nim umilkł jej niecny śmiech. Nocne stworki przerwały krzątanie i uwięzły we własnym cukierkowym świetle, czekając, aż znów zapadnie cisza.

– Nie żyję – powiedziała czaszka. – Nie żyję, tylko wiszę w ciemnościach i strzegę majątku Nędzora. Moja jedyna drobna przyjemność to droczyć się i przekomarzać z żywymi, a nieczęsto trafia mi się okazja. Szkoda, bo za życia miałem szczególnie przekorne usposobienie. Z pewnością mi darujecie, że trochę z wami poigram. Spróbujcie jutro. Może jutro wam powiem.

– Przecież nie mamy czasu! – błagalnie zawołała Molly. Szmendryk dał jej kuksańca, lecz nie zważając na to podeszła tuż do słupa i zwróciła się z prośbą wprost do bezludnych oczodołów. – Nie mamy czasu. Może nawet już się spóźniliśmy.

– A ja właśnie mam czas – z zadumą odparła czaszka. – Wcale nie jest tak miło go mieć.

Pośpiech, szarpanina, rozpacz, jedno przegapić, drugie zawieruszyć, trzecie się nie zmieści, bo mu za ciasno... samo życie. Tak to już jest, że z czymś zawsze trzeba się spóźnić. Znadto się nie przejmujecie.

Molly gotowa była dalej dopraszać się łaski, ale czarodziej chwycił ją za ramię i odciągnął na bok.

– Milcz! – rzekł popędliwym, zajadłym tonem. – Ani słowa, ani słowa więcej. Ten cholerny gnat przemówił, prawda? Może to wystarczy, żeby rozwiązać zagadkę.

– Nie wystarczy – poinformowała go czaszka. – Będę gadał, ile chcecie, ale nic wam nie powiem. Wredny ze mnie typ, co? A to jeszcze nic w porównaniu z tym, jaki byłem za życia.

Szmendryk nie słuchał.

– Gdzie masz wino? – spytała Molly. – Zobaczmy, jak mi pójdzie z winem.

– Nie znalazłam – odparła ze zdenerwowaniem. – Szukałam wszędzie, ale w całym zamku nie ma chyba ani kropli.

Czarodziej wpatrywał się w nią z wściekłością, w bezdennym milczeniu.

– Naprawdę szukałam.

Szmendryk pomału uniósł ręce, a potem je opuścił.

– Skoro tak – powiedział – lepiej postawmy krzyżyk. Zrobić wino z powietrza to nie to samo, co te moje czary-mary.

Czaszka zachichotała, jakby bocian klekotał.

– Materii nie można ani stworzyć, ani zniszczyć – stwierdziła. – W każdym razie większości czarodziejów się to nie udaje.

Molly wyciągnęła spomiędzy fałd sukienki buteleczkę. Szkło zaśniło w ciemnościach słabym blaskiem.

– Pomyślałam, że gdybyś na początek miał trochę wody... – powiedziała.

Szmendryk i czaszka rzucili jej spojrzenia o mniej więcej tej samej wymowie.

– Przecież robiono już takie rzeczy – odparła mocnym głosem. – Nie musisz niczego stworzyć z nicości. Nie przyszłoby mi do głowy, żeby stawiać ci aż takie wymagania.

Połapawszy się nagle, co mówi, zerknęła z ukosa na Lady Amalteę, ale Szmendryk zabrał

jej flaszkę i zaczął ją uważnie oglądać, obracając na wszystkie strony i mamrocząc pod nosem dziwne, krule słowa. W końcu rzekł:

– Czemu nie? Masz rację, to oklepana sztuczka. Pamiętam, że kiedyś była w wielkiej modzie, ale z czasem poszła do lamusa. – Z wolna przesunął dłonią nad butelką, przędąc w powietrzu jakieś słowo.

– Co robisz? – z ciekawością spytała czaszka. – Hej, przysuń no się z tą robotą, bo nic nie widzę.

Czarodziej odwrócił się, przycisnął butelkę do piersi i jeszcze się nad nią pochylił. Zaczął

recytować szeptem coś, co przypominało Molly syk gasnącego ognia, który słyhać nawet wtedy, gdy ostatni węgielek dawno już szerniał.

– Uprzedzam – rzekł Szmendryk, przerywając zaklęcie. – Nie będzie to nic szczególnego.

W najlepszym razie *vin ordinaire*. – Molly z powagą skinęła głową. – Zwykle bywa za słodkie. A jak je skłonię, żeby się samo wypiło, to już całkiem nie mam pojęcia.

Znów zaczął odmawiać zaklęcie, jeszcze ciszej niż przedtem, a czaszka dalej utyskiwała, że nic nie widzi ani nie słyszy. Molly rzekła coś po cichu, próbując dodać otuchy Lady Amaltei, ale ta nie odpowiedziała i nawet nie spojrziała na nią.

Szmendryk umilkł raptem i podniósł buteleczkę do ust. Najpierw powąchał, mruczając:

– Cienkusz, deresz. Trudno to w ogóle nazwać bukietem. Cóż, nikt jeszcze nie wyczarował dobrego wina. – Przechylił flaszkę, żeby upić łyk, potrząsnął nią, przyjrzał jej się... i ze straszliwym uśmiechem odwrócił ją do góry dnem. Nie wylała się ani kropla.

– Zrobione – rzekł niemal radośnie. Przesunął suchym językiem po suchych wargach i powiedział:

– Udało się. Nareszcie się udało. – Nie przestając się uśmiechać podniósł butelkę i zamierzył się, żeby cisnąć ją przez całą komnatę.

– Nie, czekaj! Hej, nie tłucz! – zaterkotała czaszka, tak dramatycznie protestując, że Szmendryk zastygł w pół ruchu. On i Molly obrócili się w miejscu i razem popatrzyli na czaszkę, która z rozpaczyny zaczęła szamotać się na gwoździu i z całej siły walić sfatygowaną potylicą o słup, usiłując się oswobodzić. – Nie wylewaj! – zawyła. – Trzeba być wariatem, żeby tak marnować wino. Dajcie mi się napić, skoro sami nie chcecie, ale go nie wylewajcie.

Ciskała się i huśtała na gwoździu, rozpaczliwie skowycząc. Po twarzy Szmendryka przemknął wyraz rozmarzonej zadumy, niczym chmura sunąca nad spieczoną słońcem krainą.

– A co ci właściwie po winie? – bez pośpiechu spytał czarodziej. – Przecież nie masz języka, żeby je posmakować, ani podniebienia, żeby się trunkiem podelektować, ani nawet gardła, żeby go połknąć? Nie żyjesz od pięćdziesięciu lat. Czy to możliwe, że wciąż pamiętasz, wciąż pragniesz?...

– A cóż innego mogę robić, skoro nie żyję od pięćdziesięciu lat? – Czaszka zaprzestała groteskowych podrygów, ale jej głos z udręki stał się niemal ludzki. – Pewnie, że pamiętam.

Nie tylko smak wina. Dajcie mi pociągnąć chociaż łyk, łyczek, o więcej nie proszę, a będę się nim delektował tak, jak wy nie potraficie, chociaż macie te swoje galaretowate cielska, te rozmaite kubki

smakowe i inne narządy. Zdążyłem przemyśleć to i owo. Wiem, czym jest wino. Dajcie mi się napić.

Szmendryk pokręcił głową, szczerząc zęby.

– Nie brak ci daru wymowy – powiedział – ale ja też zrobiłem się ostatnio trochę złośliwy.

Po raz trzeci podniósł pustą butelkę, a czaszka jęknęła w śmiertelnej męce.

– Ale przecież to nie jest... – zaczęła Molly Grue, zdjeta litością, lecz Szmendryk nadepnął jej na nogę.

– Oczywiście – rzekł, głośno myśląc – gdyby się okazało, że drogę do pieczary Czerwonego Byka pamiętasz równie dobrze jak smak wina, moglibyśmy się potargować. –

Zakręcił flaszkę od niechcienia, trzymając ją dwoma palcami.

– Stoi! – od razu zawołała czaszka. – Macie to załatwione, choćby za jeden haust, ale dajcie mi go już, natychmiast! Od samego myślenia o winie suszy mnie, jak nigdy za życia, kiedy jeszcze miałem prawdziwe gardło. Dajcie mi choć raz pociągnąć z flaszki, to powiem wam, co tylko zechcecie. – Zardzewiałe szczęki o mało nie wypadły z zawiasów, kiedy nimi zazgrzytała, a sine zęby dygotały i pękały.

– Daj mu się napić – szepnęła Molly do Szmendryka, przerażona, że puste oczodoły wzbiorą łzami. Ale Szmendryk pokręcił głową.

– Dam ci całe wino – obiecał – jak tylko wskażesz nam drogę do Byka.

Czaszka westchnęła, lecz odparła bez wahania:

– Droga prowadzi przez zegar. Wystarczy przejść na drugą stronę, jak przez drzwi. To co, mogę już się napić?

– Przez zegar – powtórzył czarodziej. Obrócił się i spojrzał w najdalszy kąt ogromnej sali, tam gdzie stał sędziwy chronometr. Wysoki, czarny i wąski, przypominał raczej cień zegara o zachodzie słońca. Szyba, która powinna zasłaniać cyferblat, była stłuczona. Brakowało niniejszej wskazówki. Za szarym szkłem ledwie widoczne tryby wierciły się i podskakiwały jak ryby w sieci.

– To znaczy – rzekł Szmendryk – że kiedy wybija właściwą godzinę, otwiera się i odsłania jakiś tunel czy ukryte schody. – Powiedział to z powątpiewaniem, bo zegar wydawał

się o wiele za wąski na to, żeby mogło się za nim kryć tego rodzaju przejście.

– Nic o tym nie wiem – odparła czaszka. – Jeśli zechcecie czekać, aż wybije właściwą godzinę, będziecie tu sterczeć, póki nie wyłysiecie tak jak ja. Po co komplikować prostą zagadkę? Przechodźcie przez zegar i proszę, jesteście u Byka. No, dawaj.

– Ale kot mówił... – zaczął Szmendryk, wtem jednak odwrócił się i ruszył w stronę zegara. W ciemnościach wyglądał, jakby schodził ze wzgórza, bo z każdym krokiem malał i bardziej się garbił. Przy zegarze nie zatrzymał się, lecz szedł dalej, jakby rzeczywiście tylko cień tarasował mu drogę, ale walnął nosem o szybę.

– Głupi psikus – rzekł ozięble do czaszki, kiedy wrócił. – Myślisz, że damy się oszukać?

Bardzo możliwe, że droga do Byka prowadzi przez zegar, ale widocznie jest jakiś szczegół, którego jeszcze nie znamy. Mów, bo wyleję wino na posadzkę, żebyś mógł do woli wspominać jego zapach i kolor. Pospiesz się!

Ale czaszka znowu parsknęła śmiechem; tym razem brzmiał on dobrotliwie, niemal serdecznie.

– Przypomnijcie sobie, co wam powiedziałem o czasie – odparła. – Za życia wierzyłem tak jak i wy, że jest on nie mniej rzeczywisty i namacalny niż ja sam, a pewnie i bardziej.

Mówiłem „kwadrans”, „poniedziałek”, jak o czymś, co można wziąć do ręki albo znaleźć na mapie; no i dawałem się gnać od minuty do minuty, od dnia do dnia, od roku do roku, i czułem się, jakbym naprawdę wędrował z miejsca na miejsce. Nie inaczej niż inni ludzie żyłem w domu, który zamiast cegieł miał sekundy i minuty, niedziele i dni Nowego Roku, i nie ruszałem się zeń aż do śmierci, bo tylko ona znała wyjście. A teraz już wiem, że mogłem przechodzić przez ściany.

Molly mrugała ze zdumienia, ale Szmendryk potakująco kiwał głową.

– Owszem – powiedział. – Tak właśnie robią prawdziwi czarodzieje. Ale co do zegara...

– On nigdy nie wybije właściwej godziny. Nędzor już dawno temu rozbebeszył całą maszynę, bo próbował schwytać czas przelatujący na wahadle. Ale przede wszystkim musicie zrozumieć, że to nieważne, czy zegar za chwilę wybije dziesiątą, siódmą czy piętnastą. Sami możecie sobie wybić godzinę, jaką tylko chcecie, i zacząć liczyć od dowolnego momentu. Gdy raz to zrozumiecie, każda godzina będzie dla was właściwa.

W tejże chwili zegar wybił czwartą. Nim wybrzmiało ostatnie uderzenie, odpowiedział

mu jakiś dźwięk spod posadzki. Nie był to ani ryk, ani ten dziki warkot, który Czerwony Byk wydawał czasem, kiedy śnił, lecz cichy, pytający pomruk, jakby bestia zbudziła się, czując, że noc niesie z sobą coś nowego. Każda płyta w posadzce syczała niczym wąż i nawet sama ciemność zdawała się drżeć, gdy świetliste stworki czmychały w popłochu pod ściany. Molly poczuła, że Król Nędzor jest niedaleko.

– Daj mi wina – powiedziała czaszka. – Przecież dotrzymałem umowy.

Szmendryk w milczeniu przytknął do pustych ust pustą flaszkę i przechylił ją, a czerep zaczął gulgotać, wzdychać i cmokać.



– Aaa – rzekł w końcu. – Aaa, to dopiero był trunek! Prawdziwy rarytas. Większy z ciebie czarodziej, niż sądziłem. Rozumiesz już teraz, co mówiłem o czasie?

– Tak – odparł Szmendryk. – Chyba rozumiem.

Czerwony Byk znowu wydał ten swój dziwny pomruk, aż czaszka zagrzechotała o słup.

– Chociaż właściwie nie jestem pewien – dodał czarodziej. – Nie ma przypadkiem innej drogi?

– A niby gdzie ma być?

Molly usłyszała kroki, potem znowu nic, a po chwili słabe, ostrożne pulsowanie oddechu.

Nie wiedziała, skąd szmer ten dobiega. Szmendryk obrócił się w jej stronę. Jego twarz przypominała szklaną lampę okopconą od wewnątrz, tyle w niej było lęku i pomieszania.

Przenikała przez nie odrobina światła, lecz drżało ono jak płomień latarni podczas sztormu.

– Niby rozumiem – powiedział – ale tak naprawdę to ani w ząb. Spróbuję.

– Ja tam dalej uważam, że to prawdziwy zegar – oświadczyła Molly. – No i dobrze. Mogę przez niego przejść. – Powiedziała to trochę Szmendrykowi na pociechę, ale poczuła, jak promienieje całe jej ciało, gdy nagle zrozumiała, że naprawdę może. – Wiem, dokąd mamy pójść – dodała – a to prawie tak, jakbym znała godzinę.

Czaszka przerwała jej.

– Dam wam na dokładkę jeszcze jedną dobrą radę – obiecała – bo wino było pyszne.

Szmendryk zrobił skruszoną minę.

– Stłuczcie mnie – ciągnęła czaszka. – Straćcie mnie na posadzkę. I niech się rozbiję w drobny mak. Żadnych pytań. Róbcie, co mówię. – Powiedziała to w pośpiechu, prawie szeptem.

Szmendryk i Molly spytali chórem:

– Jak to? Dlaczego?

Czaszka powtórzyła żądanie.

– Co ty wygadujesz? – zdziwił się czarodziej. – Niby czemu mielibyśmy cię stłuc?

– Stłuczcie mnie! – nalegała czaszka. – No, stłuczcie!

Szmer oddechu nadciągał zewsząd, choć towarzyszyły mu kroki tylko jednej pary stóp.

– Nie – odparł Szmendryk. – Chyba zwariowałeś.

Odwrócił się i po raz drugi ruszył w stronę mrocznego, chuderlawego zegara. Molly ujęła zimną dłoń Lady Amaltei i poszła jego śladem, ciągnąc za sobą śnieżną pannę niby latawiec.

– Dobrze – powiedziała czaszka. – Uprzedzałem. – Straszliwym głosem, który zabrzmiał

jak grad bijący o żelazo, zakrzyknęła bez żadnych wstępów: – Na pomoc! Hej, królu! Warta, do mnie! Grasują tu włamywacze, bandyci, maruderzy, kidnaperzy, zbiry, mordercy, szwarccharaktery, plagiatorzy! Królu Nędzorz, hola! Królu Nędzorz!

Nad ich głowami i wszędzie wokół rozległ się metaliczny tupot stóp i świszczące głosy leciwych knechtów, którzy nawoływali się, biegnąc w te pędy. Musieli się obejść bez pochodni, bo w zamku tylko na osobisty rozkaz króla wolno było palić światło, a Nędzor jak dotąd milczał. Trójka złodziei bezradnie wpatrywała się w czaszkę, zbita z tropu i przegrana.

– Przykro mi – powiedziała czaszka. – Taki już ze mnie zdrajca, no i trudno. Ale przyznacie, że próbowałem... – Wtem spojrzenie pustych oczodołów spoczęło na Lady Amaltei. Nieobecne oczy nie wiedzieć jakim cudem rozszerzyły się i zajaśniały. – Ojej! –

jęknęła czaszka. – Co to, to nie. Owszem, jestem nielojalny, ale nie do tego stopnia.

– Uciekaj – rzekł Szmendryk. To samo powiedział niegdyś do pewnej baśniowej istoty, białej jak morze, której chwilę przedtem zwrócił wolność. Pobiegli na przełaj przez salę.

Knechci hałasowali, brnąc po omacku, a czaszka piszczała:

– Jednorożec! Jednorożec! Nędzorz, Nędzorz, o, o, idzie, schodzi do Czerwonego Byka! Pilnuj zegara, Nędzorz! Gdzie jesteś? Jednorożec! Jednorożec!

Przez cały ten harmider przebił się nagle wściekły szelest: głos króla.

– Durniu, zdrajco, to tyś jej powiedział! – Szybkie, skradające się kroki Nędzora zabrzmiały tuż, tuż. Szmendryk gotów już był odwrócić się i stoczyć walkę, gdy rozległ się stęk, chrobot, zgrzyt i wreszcie trzask starej kości koziołkującej po starych kamieniach.

Czarodziej pobiegł dalej.

Kiedy stanęli przed zegarem, nie pora była wątpić czy rozumieć, bo knechci wbiegli już do komnaty, dudniąc buciorami, aż echo niesło się wśród ścian, a Król Nędzor popędzał ich, klnąc i jadownicie sycząc. Lady Amaltea bez wahania weszła do zegara i znikła jak księżyc za chmurami – ukryty, lecz nie spowity, odległy od nich o tysiące mil samotności.

„Jakby była driadą”, przyszła Molly do głowy obłądana myśl, „a czas jej drzewem”. Przez zmętniałe, poplamione szkło kobieta widziała ciężarki, wahadło i stetryczały kurant, rozkołysane i płonące. Z

tyłu nie było drzwi. Gdzież więc znikła Lady Amaltea? Wzrok Molly tonął w przerdzewiałych tunelach mechanizmu, wiodących w pustkę i w deszcz, w którym ciężarki pływały w prawo, w lewo, jak wodorosty.

– Zatrzymać ich! – wołał Król Nędzor. – Zniszczyć zegar!

Molly zaczęła obracać głowę w stronę Szmendryka, bo chciała mu powiedzieć, że chyba już rozumie, co czaszka miała na myśli, ale czarodziej gdzieś znikł, a wraz z nim znikła wielka sala Króla Nędzora. Znikł też zegar, a Molly stała obok Lady Amaltei i było jej zimno.

Głos króla dobiegał z bardzo daleka: raczej wspomnienie niż dźwięk. Dalej obracała głowę i wreszcie spojrzała w twarz Księciu Lirowi, za którego plecami opadała świetlista mgiełka, migocząca rybią łuską i ani trochę niepodobna do zardzewiałych werków zegara.

Szmendryka nie było widać.

Książę Lir z powagą skłonił się przed Molly, ale pierwsze słowa skierował do Lady Amaltei.

– No i w końcu byłabyś poszła beze mnie – rzekł. – W ogóle nie słuchałaś, co mówię.

Odpowiedziała mu, choć przez cały ten czas ani razu nie odezwała się do Molly i do czarodzieja.

– Wróciłabym – powiedziała cicho i wyraźnie. – Nie wiem, skąd się tu wzięłam, nie wiem, kim jestem. Ale wróciłabym.

– Nie – odparł książę. – Już byś nie wróciła.

Nim zdążył cokolwiek dodać, Molly ku własnemu zdumieniu przerwała mu, krzycząc:

– Mniejsza z tym! Gdzie jest Szmendryk? – Para nieznanym spojrzała na nią, uprzejmie zdziwiona, że jeszcze ktoś trzeci posiada dar mowy, a Molly zadrżała od stóp do głów i rzekła kategorycznym tonem:

– Gdzie on jest? Sama po niego wrócę, jeśli wy nie chcecie.

I natychmiast zawróciła.

Szmendryk wyłonił się z mgły, pochylony, jakby szedł pod wiatr. Trzymał się za głowę, a kiedy opuścił rękę, po skroni spłynęła mu strużka krwi.

– Drobiazg – powiedział widząc, że krew kapie na dłonie Molly Grue. – Nic takiego, zwykłe draśnięcie. Nie zdążyłem się przedostać, nim doszło do tej szamotaniny. – Ukłonił się Księciu Lirowi, trochę roztrzęsiony. – Tak też myślałem, że to ty, kiedy ktoś mnie minął po ciemku. Jakim cudem tak łatwo przeszedłeś przez zegar? Czaszka twierdziła, że nie znasz drogi.

– Jakiej znowu drogi? – zdziwił się książę. – Co niby miałem znać? Widziałem, dokąd poszła, więc

ruszyłem za nią.

Raptowny śmiech Szmendryka otarł się do żywego o szorstkie ściany, które z wolna płynęły ku nim, w miarę jak wzrok oswajał się z tą nową ciemnością. – No tak, oczywiście –

powiedział czarodziej. – Pewne rzeczy same znają swój czas. – Znowu wybuchnął śmiechem, kręcąc głową, która natychmiast zaczęła krwawić. Molly urwała strzęp sukienki.

– Biedni staruszkowie – ciągnął Szmendryk. – Nie chcieli mi zrobić krzywdy, a ja też byłbym ich oszczędził, gdybym mógł. Robiliśmy uniki i w kółko się przepaszaliśmy. Nędzor się darł, a ja co chwila zderzałem się z zegarem. Wiedziałem, że to tylko iluzja, ale obijałem się o nią jak o prawdziwy zegar i już zaczynałem się niepokoić. A potem Nędzor podszedł z mieczem i mnie zranił. – Zamknął oczy, bo Molly właśnie bandażowała mu głowę. – Ach, ten Nędzor – powiedział. – Zaczynałem go lubić. Do tej pory go lubię. Miał taką przerażoną minę.

Słabe, dalekie głosy króla i jego ludzi zdawały się narastać.

– Nie rozumiem – rzekł Książę Lir. – Czego mój ojciec się bał? Co on...

Lecz w tejże chwili zza zegara dobiegł nieartykułowany wrzask triumfu i szczęk miażdżonej materii. Migotliwa mgiełka natychmiast znikła i całą czwórkę przytłoczyła czarna cisza.

– Nędzor zniszczył zegar – stwierdził Szmendryk. – Nie mamy odwrotu. Wyjść możemy tylko drogą Byka.

Z wolna jał się zrywać ospały, gęsty wiatr.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Przejście było na tyle szerokie, że wszyscy czworo mogliby iść ramię w ramię, ale ruszyli gęsiego. Pierwsza kroczyła Łady Amaltea, na własne życzenie. Książę Lir, Szmendryk i Molly Grue podążali za nią, kierując się jedynie blaskiem jej włosów, lecz ona sama nie miała przed sobą światła. Stąpała jednak tak swobodnie, jakby nie pierwszy raz szła tą drogą.

Nie wiedzieli, gdzie są. Zimny wiatr wydawał się prawdziwy, podobnie jak ciągnący wraz z nim zimny odór, a ciemność stawiała znacznie większy opór niż zegar. Nawet ścieżka, którą szli, musiała być dość namacalna, skoro raniła im stopy, a miejscami tarasowały ją prawdziwe kamienie i zwały ziemi wykruszone ze ścian pieczary. Biegła jednak nieprawdopodobnie zawiłym, sennym torem: stroma, zygzakowata, raz po raz zakreślała pętle; prawie pionowo spadała w dół, aby za chwilę lekko się wznieść; wiodła coraz dalej od zamku, z wolna się zniżając, a potem zataczała koło i może nawet prowadziła ich z powrotem pod wielką salę, w której nad obalonym zegarem i strzaskaną czaszką Król Nędzor wciąż jeszcze dawał upust furii. „To też na pewno robota wiedźmy”, stwierdził w duchu Szmendryk, „a wszystkie jej dzieła są koniec końców jedną wielką nieprawdą”. Lecz po namyśle dodał: „Ale teraz musi już nastąpić koniec końców, bo inaczej wszystko stanie się aż nadto prawdziwe”.

Potykając się na wybojach streścił Księciu Lirowi dotychczasowe przygody, poczynając od własnych dziwnych dziejów i jeszcze dziwniejszego losu, który zgotował mu Nikos, poprzez upadek Ponurego Miasteczka i wspólną z jednorożcem ucieczkę, spotkanie z Molly Grue, podróż do Bramjędza, aż po opowieść Drinna o podwójnej klątwie ciążyącej na miasteczku i na zamkowej wieży. Tu przerwał, bo dalej zaczynała się noc Czerwonego Byka, zakończona – na dobre czy na złe – czarami i sceną, w której naga dziewczyna szamotała się we własnym ciele jak krowa w lotnych piaskach. Miał nadzieję, że księcia bardziej zaciekawili własny heroiczny rodowód niż pochodzenie Lady Amaltei.

Książę Lir słuchał z podejrzliwym zdumieniem, a jest to dość karkołomny stan ducha.

– Od dawna wiem, że król nie jest moim ojcem – powiedział. – Lecz mimo to ze wszystkich sił starałem się być mu synem. Wrogiem jest mi każdy, kto spiskuje przeciw niemu, i nie wystarczą brednie byle starej jędzy, żebym zechciał działać na jego zgubę. Co do tej drugiej sprawy, to moim zdaniem jednorożców dawno nie ma, a Król Nędzor to już na pewno nigdy żadnego nie widział. Bo czy ktoś, kto choć raz spojrział na jednorożca – a co dopiero na tysiące jednorożców nadciągających z każdym przypływem – mógłby być taki smutny? Nawet ja, gdybym zoczył ją jeden jedyny raz... – tu urwał, nieco zmieszany, bo i on poczuł, że o kilka słów dalej czyha smutek, przed którym nie będzie już ucieczki. Szyja i ramiona Molly słuchały z najwyższą uwagą, ale Lady Amaltea niczym nie zdradzała, że słyszy, co mówią mężczyźni.

– W życiu króla jest jednak ukryte źródło radości – nalegał Szmendryk. – Naprawdę nigdy nie zauważyłeś choćby jej śladu? Nie widziałeś, jak przemyka w jego oczach? Bo ja owszem. Zastanów się, książę.

Młodzieniec milczał. Zapuszczali się coraz głębiej w plugawy mrok, nie zawsze wiedząc, czy idą pod górę, czy w dół; chwilami nie zauważali, że korytarz zawraca, i spostrzegali to dopiero wtedy, gdy zamiast czuć ramionami sękatą bliskość gładów zaczynali nagle drzeć twarzami o ponury mur. Czerwony Byk nie dawał o sobie znać najlżejszym szmerem, najcieńszą smużką niegodziwego światła, lecz gdy Szmendryk dotknął własnej zwilgotniałej twarzy, został mu na palcach odór bestii.

– Po powrocie z wieży miewa czasem w twarzy coś dziwnego – powiedział Książę Lir. –

Nie tyle jasność, ile jakąś taką przejrzystość. Pamiętam z dzieciństwa, że nigdy tak nie wyglądał, kiedy patrzył na mnie czy na cokolwiek. A raz śniło mi się – dodał powłócząc nogami, bo tymczasem wyraźnie zwolnił kroku – właściwie wiele razy, bo wciąż powracał

ten sen, że w środku nocy stoję przy oknie sypialni i widzę, jak Byk, widzę, jak Czerwony Byk... – Znowu urwał.

– Widzisz, jak Czerwony Byk zapędza jednorożce do morza – dokończył za niego Szmendryk. – To nie był sen. Nędzor uwięził je wszystkie, żeby dla jego przyjemności wędrowały tam i z powrotem z przypływem i odpływem... wszystkie prócz jednego. –

Czarodziej zrobił głęboki wdech, nim dodał:

– Tym jednym jest Lady Amaltea.

– Tak – odparł Księżę Lir. – Tak, wiem.

Szmendryk wytrzeszczył na niego oczy.

– Jak to „wiesz”? – spytał gniewnie. – Skąd możesz wiedzieć, że Lady Amaltea jest jednorożcem? Przecież ci nie powiedziała, bo sama już nie pamięta. Odkąd straciła dla ciebie głowę, myśli tylko o tym, żeby być zwykłą śmiertelniczką. – Doskonale zdawał sobie sprawę, że z tym traceniem głowy jest akurat na odwrót, lecz chwilowo nie miało to dlań znaczenia. –

Skąd wiesz? – powtórzył.

Księżę stanął przed nim. Było tak ciemno, że Szmendryk widział tylko chłodny, mleczny blask na wysokości oczu młodzieńca.

– Dopiero teraz się dowiedziałem – rzekł Lir. – Ale od pierwszego wejrzenia zrozumiałem, że ma w sobie coś, czego mój wzrok nie ogarnia. Gdybyś mi wtedy powiedział, że jest jednorożcem, syreną, lamią, czarodziejką, gorgoną, żadne z tych imion nie zdziwiłoby mnie ani nie przerażyło. Kocham tę, którą kocham, i już.

– Bardzo piękne podejście – odparł Szmendryk – ale kiedy przywrócę jej prawdziwą postać, żeby mogła stoczyć walkę z Czerwonym Bykiem i uwolnić swoich pobratymców...

– Kocham tę, którą kocham – niezłomnie powtórzył Księżę Lir. – A ty nie masz władzy nad niczym istotnym.

Nim czarodziej zdążył odpowiedzieć, stanęła między nimi Lady Amaltea, choć żaden nie widział ani nie słyszał, kiedy zawróciła wąskim korytarzem. Świeciła w ciemnościach, drżąc jak bystra woda. – Dalej nie pójdę – oświadczyła.

Zwróciła się do księcia, lecz odpowiedział jej Szmendryk:

– Nie mamy wyboru – stwierdził. – Możemy tylko iść dalej. Molly Grue podeszła bliżej: jedno niespokojne oko i blada zapowiedź kości policzkowej.

– Możemy tylko iść dalej – powtórzył czarodziej.

Lady Amaltea unikała jego spojrzenia.

– Nie może mnie przemienić – rzekła do Księcia Lira. – Nie pozwól, żeby mnie znowu czarował. Byk nie zwraca uwagi na ludzi, więc możemy go minąć i wyjść z pieczary. On dybie tylko na jednorożce. Powiedz Szmendrykowi, niech mnie nie zmienia w jednorożca.

Księżę Lir wykręcał sobie palce, aż strzelało w stawach.

– Racja – powiedział Szmendryk. – W ten sposób z łatwością wymkniemy się Czerwonemu Bykowi, tak jak za pierwszym razem. Ale jeśli na to pójdziemy, stracimy ostatnią szansę. Jednorożce na zawsze pozostaną jego więźniami, wszyscy prócz jednego, a ten jeden umrze. Zestarzeje się i umrze.

– Wszystko umiera – odrzekła Lady Amaltea, wciąż zwracając się do Księcia Lira. – No i dobrze. Chcę umrzeć razem z tobą. Nie pozwól, żeby mnie z czarował, nie pozwól, żeby mnie uczynił nieśmiertelną. Nie jestem jednorożcem ani żadną czarodziejską istotą. Jestem kobietą i kocham cię.

Księżę odparł łagodnie:

– Nie znam się na czarach. Umiem je tylko łamać. Ale wiem, że nawet najwięksi czarodzieje są bezsilni wobec dwojga ludzi, którzy trzymają się razem, a my mamy przeciwko sobie tylko tego biedaczynę Szmendryka. Nie bój się. Nic się nie bój. Czymkolwiek byłaś przedtem, teraz jesteś moja. Potrafię cię zatrzymać.

Zwróciła się wreszcie twarzą do czarodzieja, który nawet poprzez ciemność wyczuł w jej oczach zgrozę.

– Nie – powiedziała. – Nie, jesteśmy za słabi. On mnie zmieni i cokolwiek potem się stanie, stracisz mnie, a ja stracę ciebie. Przeszanę cię kochać, kiedy zmienię się w jednorożca, a ty będziesz mnie kochał tylko dlatego, że nic na to nie poradzisz. Będę najpiękniejsza na świecie – i nieśmiertelna.

Szmendryk zaczął coś mówić, lecz na dźwięk jego głosu skuliła się jak płomień świecy.

– Nie zgadzam się. Nie pozwalam. – Spoglądała to na księcia, to na czarodzieja, a własny głos był w jej dłoniach jak rozłaząca się rana. – Jeśli ocaleje we mnie choć odrobina miłości, kiedy on mnie przemieni, dowiesz się o tym, bo pozwolę, żeby Czerwony Byk zapędził mnie do morza tak jak resztę i zostaną przynajmniej blisko ciebie.

– Śmiało możemy sobie darować tę rozmowę – rzekł Szmendryk lekkim tonem, zmuszając się do śmiechu. – Wątpię, czy zdołałbym cię z powrotem przemienić, choćbyś sama chciała. Nawet Nikos nie umiał zmienić człowieka w jednorożca, a ty już naprawdę stałaś się człowiekiem. Wiesz, co to miłość i lęk, potrafisz zabraniać światu, żeby był, jaki jest, i masz skłonność do afektacji. Postawmy więc kropkę, niech się wreszcie skończy ta pielgrzymka. Czy świat ucierpiał przez to, że stracił jednorożce, i czy byłoby mu lepiej, gdyby znów swobodnie hasały? Jedna porządna kobieta warta jest wszystkich zaginionych jednorożców. Koniec, kropka. Wyjdź za księcia, żyjcie długo i szczęśliwie.

W tunelu jakby pojaśniało. Szmendryk wyobraził sobie, że to Czerwony Byk skrada się ku nim z groteskową ostrożnością, stawiając racice pedantycznie jak czapla. Wąty blask policzka Molly Grue zgasł, gdy kobieta odwróciła twarz.

– Tak – rzekła Lady Amaltea. – Takie jego moje życzenie.

Lecz w tejże chwili Księżę Lir powiedział:

– Nie. – Wyrwało mu się to jak kichnięcie, jak pytajnik rzucony dyszkantem durnego młokosa, śmiertelnie zawstydzonego straszliwym bogactwem otrzymanego daru. – Nie –

powtórzył, ale już inaczej, po królewsku; i nie było to biadanie Nędzora nad tym, co nieosiągalne, lecz lament króla, który czegoś nie może ofiarować.

– O, pani moja – rzekł książę. – Jestem bohaterem. To taki sam fach jak wyplatanie koszyków czy piwowarstwo, więc składają się nań różne sztuczki, sposoby i chwytaki. Istnieją wypróbowane metody wyczuwania czarownic i rozpoznawania trujących strumieni; są pewne słabe punkty, od których nie jest wolny żaden smok, a zakapturzeni nieznajomi najchętniej zadają nam swoje ulubione zagadki. Ale prawdziwy sekret bohaterstwa to znajomość porządku rzeczy. Świniopas nie może być mężem księżniczki, jeśli dopiero rusza na poszukiwanie przygód, a chłopczyk nie ma prawa pukać do drzwi wiedzmy, kiedy ta jest na wakacjach. Nie można zdemaskować niegodziwego wujaszka i pokrzyżować mu planów, póki nie popełni jakiejś niegodziwości. Wszystko w swoim czasie. Dążeń nie wolno cisnąć w kąt, proroctwa nie powinny pleśnieć jak nie zebrane owoce; jednorożce długo mogą obchodzić się bez wybawcy, ale nie wiecznie. Szczęśliwy finał nie nastąpi w połowie opowieści.

Lady Amaltea nie odpowiedziała, za to Szmendryk spytał:

– A niby czemu? Kto o tym decyduje?

– Bohaterowie – ze smutkiem odparł Książę Lir. – Oni wiedzą, co to ład i kiedy pora na szczęśliwe zakończenie, wiedzą, co lepsze, a co gorsze. Znają się na tym, tak jak stolarz zna się na słojach, gontach i liniach prostych. – Wyciągnął ręce do Lady Amaltei i zrobił krok w jej stronę. Nie cofnęła się ani nie odwróciła głowy; podniosła ją wyżej i w końcu to on spuścił

oczy.

– Sama mnie tego nauczyłaś – powiedział. – Nie zdarzyło się, żebym patrząc na ciebie nie widział, jak pięknie urządzone jest świat, albo nie bolał nad jego ruiną. Zostałem bohaterem, żeby służyć tobie i wszystkiemu, co do ciebie podobne. No i żeby jakoś nawiązać rozmowę.

Ale Lady Amaltea nie odezwała się ani słowem.

Pieczara promieniała bladą, wapienną poświatą. Widzieli teraz wyraźnie swe twarze, ze strachu woskowe i obce. To tępe, zgłodniałe światło potrafiło wysączyć urodę nawet z Lady Amaltei, która wydawała się przez to jeszcze bardziej śmiertelna niż pozostałych troje.

– Nadciąga Byk – rzekł Książę Lir. Odwrócił się i dziarskim, bohaterskim krokiem pomaszerował w dół tunelu. Lady Amaltea poszła za nim; chód miała lekki i dumny – właśnie taki, jaki każe się naśladować księżniczkom. Molly Grue nie odstępowała czarodzieja. Wzięła go za rękę, tak jak zwykła dotykać Jednorogini, kiedy czuła się samotna, a on uśmiechnął się do niej z wysoka, wyraźnie zadowolony z siebie.



– Zostaw ją – poprosiła Molly. – Niech już będzie, jaka jest.

– Powiedz to Lirowi – odparł radośnie. – Czy to ja twierdzę, że najważniejszy jest porządek rzeczy? Czy to ja twierdzę, że jednorożec musi stawić czoło Czerwonemu Bykowi, bo tak będzie bardziej stosownie i akuratanie? Nie obchodzą mnie regulaminowe sukursy i oficjalne happy endy. To Lir za nimi obstaje.

– Ale sam go sprowokowałeś. Dobrze wiesz, że o niczym nie marzy, tylko o tym, żeby przerwała pielgrzymkę i została z nim do końca życia. I tak by też zrobiła, ale przypomniałeś mu, że jest bohaterem, i teraz musi postąpić po bohatersku. Kocha ją, a ty go zwabiłeś w pułapkę.

– Nigdy w życiu – zaprotestował Szmendryk. – Cicho bądź, bo cię jeszcze usłyszysz.

Molly poczuła, że mąci jej się w głowie, że po prostu traci rozum od bliskości Byka.

Światło i odór zlały się w jedno lepkie morze, a ona tonęła w nim tak samo jak jednorożce –

bez nadziei, na wieki wieków. Ścieżka zaczęła skręcać w dół, ku gęstniejącemu światłu; hen, w oddali Księżę Lir i Lady Amaltea kroczyli na spotkanie katastrofy, spokojni jak spalające się świece. Molly Grue zaśmiała się drwiąco.

– Nie myśl, że nie wiem, dlaczego to zrobiłeś – powiedziała. – Nie staniesz się z powrotem śmiertelny, póki jej nie przemienisz. Mam rację? Wszystko ci jedno, jaki los spotka ją czy tamte jednorożce. Ważne jest tylko to, żebyś ty został wreszcie wielkim magiem.

Trafiłam? No to ci powiem, że nigdy nim nie będziesz, choćbyś zmienił Byka w puszkę byczków, bo w twoim wykonaniu to są tylko sztuczki. Co z ciebie za czarodziej, skoro cię obchodzą wyłącznie czary? Słuchaj, Szmendryk, źle się czuję. Muszę usiąść.

Wziął ją chyba na ręce, bo sama z pewnością nie szła, a zieleń jego oczu pulsowała jej w głowie.

– Owszem. Obchodzą mnie tylko czary. Sam bym przypędził Nędzorowi jednorożce, gdyby mi to dodało choć odrobinę mocy. Tak, to prawda. Nikogo nie wyróżniam, nikomu nie jestem oddany. Mam tylko czary – powiedział twardym, smutnym tonem.

– Naprawdę? – spytała, kołysząc się w rozmarzeniu i trwodze i patrząc, jak obok przepływa straszna jasność. – To okropne. – Jego słowa zrobiły na niej wielkie wrażenie. –

Naprawdę taki jesteś?

– Nie – odparł od razu, a może trochę później. – Nie, to nieprawda. Czy miałbym aż tyle kłopotów, gdybym był taki, jak mówię? Molly, musisz teraz iść sama – dodał po chwili. – On już tu jest. Już tu jest.

Molly najpierw zobaczyła rogi. Światło ją oślepiło, więc zasłoniła twarz, lecz te dwa blade kolce boleśnie ugodziły ją w samo dno pamięci, przebiwszy dłonie i powieki.

Zobaczyła, że Księżę Lir i Lady Amaltea stoją naprzeciw rogów, a ogień zakwita na ścianach pieczary i wzbija się w ciemność sięgającą nieba. Lir dobył miecza, lecz ten zapłonął mu w rękę. Księżę go upuścił, a wtedy klinga pękła jak sople lodu. Czerwony Byk tupnął kopytem i wszyscy upadli.

Szmendryk miał nadzieję zaskoczyć Byka w jego jamie albo w innym miejscu dość przestronnym, żeby dało się tam stoczyć walkę. Tymczasem Byk po cichutku wyszedł im na spotkanie, skradając się korytarzem, i nagle zasłonił horyzont: nie tylko wypełniał sobą cały płonący tunel, ale tkwił jakby w samych ścianach i sięgał jeszcze dalej, chyląc bary niczym bezkresne wzgórze. Nie był to jednak miraż, lecz sam Czerwony Byk: buchał parą i parsknął, potrząsał ślepy łbem i z błotnistym chlupotem międlił w szczękach swój straszliwy oddech.

*Już pora. Nadeszła pora i czy ściągnę na nas zgubę, czy zdziałam wielkie dobro, niech się to wszystko raz wreszcie skończy. Czarodziej wstał pomału, nie zważając na Byka, wsłuchany jedynie w czarę własnej duszy jak w szumiącą muszlę. Ale moc nie drgnęła w nim, nie przemówiła; słyszał tylko daleki, cienki skowyt pustki – ten sam, którego zapewne we śnie i na jawie słuchał Król Nędzior, nie znając innych dźwięków. Nie przyjdzie. Nikos się pomylił.*

*Jestem tym, na kogo wyglądam.*

Lady Amaltea cofnęła się o krok, ale nie więcej, i spokojnie patrzyła, jak Byk grzebie racicami ziemię i z gromowym łoskotem bucha z ogromnych nozdrzy kłębam chmur. Chyba jej nie rozszyfrował, bo minę miał prawie głupią. Ani razu jeszcze nie zaryczał. Lady Amaltea stała w jego mroźnej poźodze, przechylając głowę do tyłu, żeby go całego zobaczyć. Nie oglądając się wyciągnęła rękę za siebie i poszukała dłoni Księcia Lira.

*Dobrze. Jestem bezsilny i w to mi graj. Byk ją przepuści i będzie mogła odejść z Lirem. To też jakieś rozwiązanie. Tylko jednorożców żal. Księżę jeszcze nie zauważył wyciągniętej ręki Lady Amaltei, lecz lada chwila odwróci się, zobaczy ten gest i po raz pierwszy jej dotknie.*

*Nigdy nie będzie wiedział, co mu naprawdę dała, i ona sama też się nie dowie. Byk pochylił*

*łeb i zaszarżował.*

Ruszył bez ostrzeżenia. Słyszał tylko zgrzyt racic drących ziemię; gdyby zechciał, w tym jednym milczącym natarciu zmiażdżyłby wszystkich czworo. Pozwolił im jednak rozpierzchnąć się i wklęsnąć w zakamarki ścian; przemknął nie robiąc im krzywdy, choć bez trudu mógł ich powygartniać rogami z płytkich kryjówek jak ślimaki z muszli. Giętki niby płomień, zawrócił w wąskim tunelu i znów natarł – z pyskiem przy ziemi, z karkiem wezbranym jak fala. Dopiero wtedy zaryczał.

Uciekli, a on pobiegł za nimi: nie tak szybko jak wtedy, gdy po raz pierwszy zaszarżował, lecz dość zwawo, żeby ich rozproszyć, tak aby każde poczuło się w ciemnościach samotne, opuszczone. Skała

pękała im pod stopami, więc krzyczeli, nie słysząc własnych głosów.

Każdy ryk Czerwonego Byka strącał na nich lawiny kamieni i ziemi, lecz gramolili się wytrwale jak okaleczone owady, a on wciąż ich ścigał. Poprzez jego szalony hejnał słyszeli inny dźwięk: głęboki jęk zamczyska, które miotało się, napinając korzenie i furkocząc jak sztandar targany wichurą byczej furii. Od wylotu tunelu wionęła słaba woń morza.

*On wie, on wie! Raz dał się wywieść w pole, ale nigdy więcej. Tym razem zapędzi ją do morza – obojętne, jako kobietę czy jednorożca – i nie przeszkodzą mu żadne moje czary.*

*Nędzior wygrał.*

Tak myślał czarodziej, uciekając przed Bykiem, i po raz pierwszy w całym swym długim i dziwnym życiu stracił wszelką nadzieję. Korytarz nagle się rozszerzył: wbiegli do groty, która mogła być tylko leżem Byka. Wisiał w niej fetor jego snu, tak gęsty i stary, że aż obrzydliwie słodki; jaskinia emanowała posępną, gardlaną czerwienią, jakby blask bijący od bestii rozmazał się na ścianach i wżarł w szpary i rozpadliny. Po drugiej stronie pieczary widać było dalszy ciąg tunelu, a u jego wylotu majaczyły fale rozbijające się o brzeg.

Lady Amaltea upadła jak złamany kwiat, nieodwoalnie. Szmendryk uskoczył w bok i zaraz zawrócił, żeby pociągnąć za sobą Molly Grue. Z rozpędu wpadli na rozłupaną płytę skalną i skulili się za nią, a Byk przemknął szalonym cwałem i nawet nie spojrział w ich stronę. Zatrzymał się jednak w pół skoku; cisza, która nagle zapadła, zakłócana tylko sapaniem Byka i dalekim zgrzytem morskich żaren, byłaby absurdalna – gdyby nie jej przyczyna.

Lady Amaltea leżała na boku, podwinąwszy pod siebie jedną nogę. Pomału się poruszyła, ale nie wydała żadnego dźwięku. Książę Lir stał między nią a Bykiem, a choć był bezbronny, podniósł ręce, jakby trzymał w nich miecz albo tarczę. Po raz drugi w ciągu tej nie kończącej się nocy powiedział:

– Nie.

Wyglądał okropnie głupio, a lada chwila miał zostać wdeptany w ziemię. Byk go nie widział, więc zabiłby go nie wiedząc nawet, że ktoś taki stał mu na drodze. Zdumienie, miłość i wielki smutek wstrząsnęły Szmendrykiem Czarodziejem, spotkały się w nim i wezbrały, aż poczuł, że nabrzmiewa i zakwita czymś, co nie jest zdumieniem, miłością ani smutkiem. Moc, w którą nie wierzył, tknęła go tak jak dwakroć przedtem, a on po każdym takim nawiedzeniu czuł się jeszcze bardziej wyjałowiony. Lecz tym razem wręcz go rozsadzała: wylewała się porami skóry, tryskała z palców u rąk i nóg, wzbierała w oczach, włosach i zagłębieniach obojczyków. Nie mógł jej w sobie pomieścić, nie mógł nawet całej zużyć, a mimo to szlochał

z bolesnej, niemożliwej zachłanności. Pomyślał, powiedział, a może zanucił: – Nawet nie wiedziałem, że jestem taki pusty, aby tak się napełnić.

Lady Amaltea leżała tam, gdzie upadła, ale usiłowała wstać; Książę Lir strzegł jej, wznosząc gołe ręce przeciw ogromowi, który nad nim zawisł. Z kącika ust wystawał księciu koniuszek języka,

nadając mu wyraz powagi, jaki ma dziecko, kiedy rozbiera zabawkę na części. Nawet po wielu latach, gdy Szmendryk zasłynał bardziej od Nikosa i na dźwięk jego imienia afryty i jeszcze gorsze demony dawały za wygraną, przy choćby najprostszyc czarach zawsze widział Księcia Lira z oczami zmrużonymi przed blaskiem Byka i z wysuniętym językiem.

Czerwony Byk znów tupnął, a Książę Lir padł na twarz i wstał zakrwawiony. Z gardzieli Byka jął dobywać się warkot. Ślepy, pękaty łeb pochylał się jak szala wagi na sądzie ostatecznym. Mężne serce Lira wisiało między bladymi rogami: nietrudno było sobie wyobrazić, że tkwi na jednym z nich, ociekając krwią, a sam książę leży zmiażdżony, rozdarty na sztuki. Usta lekko wygięły mu się w podkówkę, lecz ani drgnął. W gardle Byka narastał łoskot, a rogi pochylały się ku ziemi.

Szmendryk wyszedł na otwartą przestrzeń i wyrzekł kilka słów. Były to krótkie słowa, ani specjalnie melodyjne, ani szorstkie, i nawet on sam nie usłyszał ich wśród gromowego ryku Byka. Rozumiał jednak, co znaczą, i umiał je wymówić, a przede wszystkim wiedział, że powtórzy je, kiedy tylko zechce, w ten sam albo w inny sposób. Tym razem wypowiedział je łagodnie i radośnie, czując, że nieśmiertelność opada zeń jak pancerz lub całun.

Przy pierwszym słowie zaklęcia Lady Amaltea wydała słaby, pełen goryczy okrzyk. Raz jeszcze wyciągnęła rękę do Księcia Lira, on jednak stał tyłem do niej, bo wciąż ją osłaniał, więc nie usłyszał. Molly Grue złapała Szmendryka za ramię, czując, że serce jej pęka, ale czarodziej mówił dalej. Lecz nawet gdy w miejscu, gdzie przed chwilą leżała śnieżna panna, wykwitł cud – biały jak morze, śnieżnomorski, tak bezgranicznie piękny, jak Byk był potężny

– Lady Amaltea jeszcze przez chwilę czepiała się siebie. Choć już znikła jej postać, sama twarz unosiła się niby tchnienie w zimnym, cuchnącym świetle.

Lepiej by było, gdyby Książę Lir nie odwrócił się, póki całkiem się nie rozwiała, ale niestety obejrzał się i zobaczył Jednoroginię, która załśniła w nim jak w lustrzanej tafli. Nie ją jednak zawołał, lecz tę odtrąconą, Lady Amalteę. Okrzykiem tym przypieczętował jej koniec: znikła, słysząc swe imię, jakby spłoszyło ją poranne pianie koguta.

Wszystko działo się szybko, a zarazem wolno, jak we śnie, w snach bowiem nie istnieją przeciwieństwa. Jednorogini stała bez ruchu, patrząc na wszystkich zagubionym, dalekim wzrokiem. Szmendryk zdążył już zapomnieć, że jest aż tak piękna, bo nikt nie potrafi długo pamiętać jednoroźca; a swoją drogą rzeczywiście była inna niż przedtem, i on sam także się zmienił. Molly Grue ruszyła ku niej, wygadując półgłosem różne głupstwa, ale Jednorogini jakby jej nie poznała. Cudowny róg był szary niczym deszcz.

Z rykiem, od którego ściany jaskini wydeły się i popękały jak cyrkowy namiot, Czerwony Byk zaszarżował po raz drugi. Jednorogini uciekła z groty w mrok. Książę Lir trochę się przesunął, gdy ku niej się zwracał, i nim teraz zdążył skoczyć na dawne miejsce, runął pod naporem Byka, ogłuszony, z otwartymi ustami.

Molly byłaby do niego podeszła, ale Szmendryk przytrzymał ją i pociągnął w ślad za Bykiem i

Jednoroginią. Ci znikli wprawdzie z pola widzenia, lecz w tunelu dudniło jeszcze echo ich rozpaczliwej galopady. Oszołomiona i ogłupiała, Molly kuśtykała obok nieznanego szaleńca, który nie dawał jej upaść ani zwolnić kroku. Czuła, jak w górze i wszędzie wokół zamek stęka i skrzypi w skale niby obluzowany ząb. W pamięci natrętnie brzęczała jej rymowanka więdźmy:

Lecz tylko ten, czyj z Bramjędza ród,

Zamczysko strąci w odmęt wód.

Wtem stopy zaczęły im grzęznąć w piachu i poczuli woń morza, równie zimną jak ten wcześniejszy zapach, ale taką dobrą i przyjazną, że przestali biec i wybuchnęli śmiechem.

Nad nimi, na skraju urwiska, zamek Króla Nędzora godził rozcapierzonymi wieżami w szarozielone poranne niebo, zbryzgane chmurami niby wodnistym mlekiem. Molly była pewna, że król patrzy na nich z którejś drżącej wieżyczki, ale go nie widziała. Kilka gwiazd trzepotało jeszcze na ciężkim, granatowym niebie, tuż nad wodą. Odpływ odsłonił łysinę plaży, która połyskiwała mokrą szarością rozłupanego skorupiaka, lecz z dala od brzegu morze przeżyło się jak łuk i Molly zrozumiała, że niebawem zacznie się przypływ.

Tamci dwoje stali naprzeciw siebie w najbardziej wypukłym punkcie łuku, Jednorogini zwrócona tyłem do morza. Byk wolno ruszył naprzód: nie zaszarżował, lecz popchnął ją w stronę wody – niemal łagodnie, nawet jej nie dotykając. Nie opierała się. Róg miała ciemny, głowę spuszczoną, a Byk panował nad nią równie niewątpliwie jak na polach pod Bramjędzem, nim stała się Lady Amalteą. Mógłby to nawet być ten sam beznadziejny poranek, gdyby nie bliskość morza.

Nie dała jednak całkiem za wygraną. Cofała się, aż jedną z tylnych nóg stanęła w wodzie, a wtedy przedarła się przez mroczny żar Byka i pobięła wzdłuż plaży, tak szybka i lekka, że wiatr, który wzniecała, zdmuchiwał jej własne ślady. Byk pędził za nią.

– Zrób coś – rzekł do Szmendryka czyjś ochryply głos, tak jak niegdyś powiedziała Molly. Za czarodziejem stał Książę Lir, z pokrwawioną twarzą, z obłędem w oku. Wyglądał

jak Król Nędzor. – Zrób coś – powtórzył. – Przecież jesteś czarodziejem. Zrobiłeś z niej jednorożca, to teraz wymyśl coś, żeby ją uratować. Wymyśl coś, bo cię zamorduję. – Podniósł

ręce.

– Nie mogę – cicho odparł Szmendryk. – Wszystkie czary świata nic jej już nie pomogą.

Jeśli nie zechce stoczyć walki, musi jak tamte iść do morza. Nie pomogą jej ani czary, ani mord.

Molly słyszała, jak drobne fale chlupią po piasku: zaczynał się przypływ. Nie widziała, żeby w wodzie kłębiły się jednorożce, choć ich wypatrywała, choć pragnęła je tam ujrzeć. A jeśli jest już za późno? Jeśli ostatni odpływ wciągnął je w najgłębszą toń, nad którą nigdy nie zapuszczają się okręty, wystrzegając się krakena, smoka morskiego i dzungli wodorostów, zdolnej omotać i zatopić nawet te

dwa potwory? W takim razie Jednorogini przenigdy ich nie odnajdzie. Czy zostanie wtedy ze mną?

– No to po co są czary? – zapalczywie spytał Księżę Lir. – Co komu po magii, skoro nie można nią uratować jednoroźca?

Wczepił się czarodziejowi w ramię, żeby nie upaść. Szmendryk nawet nie odwrócił

głowy, tylko odparł trochę smutno, a trochę drwiąco:

– Od tego są bohaterowie.

Nie widzieli Jednorogini, bo Byk zasłaniał ją swym ogromem; wtem jednak zawróciła i pomknęła ku nim po własnych śladach. Czerwony Byk pogonił za nią, ślepy i cierpliwy jak morze, wybijając kopytami głębokie doły w wilgotnym piasku. Pędzili tak we dwoje – dym i ogień, piana i sztorm – nie zmniejszając ani nie zwiększając dystansu. Księżę Lir chrząknął, jakby coś nagle zrozumiał.

– Tak, oczywiście – powiedział. – Bohaterowie są właśnie od tego. Czarodzieje mogą tyle co nic, więc twierdzą, że w ogóle jest wszystko jedno, ale bohaterowie istnieją po to, żeby miał kto umierać za jednoroźce. – Puścił ramię Szmendryka, uśmiechając się do siebie.

– W twoim rozumowaniu tkwi zasadniczy błąd... – z oburzeniem zaczął Szmendryk, ale księżę nigdy się nie dowiedział, na czym błąd ten miałby polegać. Jednorogini minęła ich jak błyskawica, ciągnąc za sobą niebieskobiałą wstęgę oddechu i zbyt wysoko niosąc głowę, a Księżę Lir dał susa i zastąpił drogę Czerwonemu Bykowi. Na chwilę znikł, jak pióro rzucone w ogień. Byk przebiegł po nim i tak go zostawił, z twarzą trochę za mocno wciśniętą policzkiem w piach. Księżę trzy razy wierzgnął nogą w powietrzu i znieruchomiał.

Padł bez jęku; Szmendryk i Molly też zamilkli, a Jednorogini stanęła jak wryta.

Czerwony Byk zatrzymał się w tymże momencie i zaraz tak wymanewrował, żeby stanąć między nią a lądem. Znów jął się do niej zbliżać tanecznym kroczkiem, ale poświęcała mu nie więcej uwagi, niż gdyby był tokującym ptakiem. Stała bez ruchu i patrzyła na zmaltretowane ciało Księcia Lira.

Pomruk przyływu wzmógł się tymczasem i morze uszczknęło skrawek plaży. W coraz bardziej zaborczym brzasku strzelały pianą baranki i szyprówny, ale Molly Grue wciąż nie widziała żadnych jednoroźców oprócz swojego. Niebo nad zamkiem oblekło się w szkarłat.

Na najwyższej wieży rysowała się sylwetka Króla Nędzora, wyraźna i czarna jak drzewo zimą. Molly dostrzegła prostą szramę jego ust i pociemniałe paznokcie dłoni zaciśniętych na krawędzi blanków. Ale zamek już nie runie. Tylko Lir mógł go strącić z urwiska.

Wtem Jednorogini wzniosła przeraźliwy krzyk, ani trochę niepodobny do bojowego zewu, którym za pierwszym razem powitała Czerwonego Byka: brzydki, skrzekliwy skowyt, pełen smutku, żalu i wściekłości – dźwięk, jakiego nigdy przedtem nie wydała istota nieśmiertelna. Zamek zadrżał, a Król Nędzor cofnął się i skulił, osłaniając twarz przedramieniem. Czerwony Byk zawahał się, zaszurał

kopytami i zaryczał z powątpiewaniem.

Jednorogini krzyknęła po raz drugi i stanęła dęba, wznosząc się niczym kindżał. Molly aż zamknęła oczy, tak wdzięczny był to ruch, lecz otworzyła je w samą porę, żeby zobaczyć, jak jednorozec rzuca się na Czerwonego Byka, a ten nagłym skrętem schodzi z drogi. Róg jednorogini znów pałał światłem i drżał niby motyl.

Znowu runęła do ataku, a Byk ustąpił placu, ocieęłały ze zdumienia, lecz zwinny jak ryba.

Jego własne rogi miały kolor i konsystencję błyskawic; wystarczyło, że machnął łbem, a już Jednorogini chwiała się na nogach; wciąż jednak oddawał jej pole, cofając się ku morzu, jakby zamienili się rolami. A ona raz po raz nacierała, gotowa zabić, ale nie mogła go dosięgnąć, jakby godziła rogiem w cień lub we wspomnienie.

Czerwony Byk cofał się zatem, nie stając do walki, aż zapędziła go nad samą wodę, tam jednak twardo się zaparł. Fale kłębiły mu się wokół kopyt, spod których umykał piach. Nie chciał ani walczyć, ani uciec, a ona już wiedziała, że nie zdoła go unicestwić. Mimo to przeżyła się do jeszcze jednego skoku, a w gardzieli Byka przetaczał się zdumiony pomruk.

Dla Molly Grue cały świat zawisł i znieruchomiał w tej szklanej sekundzie. Widziała wszystko z góry, jakby stała na wyższej baszcie niż wieża Króla Nędzora; blady skrawek lądu i dwie kukiełki – mężczyznę i kobietę – patrzące spod zmrużonych powiek na glinianego byka i małego jednorozca z kości słoniowej. Ot, porzucone zabawki. Była tam jeszcze jedna lalka, na wpół zasypana piaskiem; i zamek z piasku o wielu koślawych wieżyczkach, a na jednej z nich sterczał król z patyka. Wiadomo było, że lada chwila przyplływ porwie całą tę szopkę i tylko workowate ptaki dalej będą kicać po plaży.

Wtem Szmendryk przyciągnął ją do siebie.

– Molly – powiedział.

Hen, na pełnym morzu piętrzyły się długie grzebienie fal: ciężkie bałwany kędzierzawiły się bielą wzdłuż zielonych rdzeni; rozczesywały się w dymne smugi na mierzejach i oślizgłych skałach, aby z ognistym trzaskiem rozpełznąć się po plaży, z której zrywały się do lotu rozwrzeszczane grona ptaków, lecz ich piskliwe protesty tonęły jak szpilki w krzyku morza.

A wśród bieli, z bieli, spośród strzępów wody wykwitwały grzbiety gnące się wedle kształtu marmurowo prążkowanych fal, grzywy, ogony i delikatne bródki samców płonęły w słońcu, oczy pałały mrocznie jak klejnoty z najgłębszej skarbnicy mórz – no i te rogi mieniące się blaskiem konch, rogi jak tęczowe maszty srebrnych statków!

Nie śmiały jednak wybiec na ląd, póki stał tam Czerwony Byk. Tarzały się po płyciznach, kłębiąc się jak przerażone ryby, gdy wyciąga się sieć, a one już nie należą do morza, już je tracą. Każda fala niosła z sobą całe ich setki i ciskała nimi w te, które przyplłynęły wcześniej i walczyły z naporem przyboju, żeby nie dać się wyrzucić na brzeg, i teraz te nowo przybyłe też rozpaczliwie były

kopytami, stawały dęba i potykały się, wstecz wyginając długie szyje.

Jednorogini po raz ostatni spuściła głowę i rzuciła się na Czerwonego Byka. Gdyby był

zwierzem z krwi i kości albo widmem z wiatru, przebiłaby go jak zgniły owoc. Odwrócił się jednak, jakby nigdy nic, i pomału wszedł do morza. Jednorożce jeły miotać się jak szalone, żeby go przepuścić, tratując wodę i tnąc ją kopytami, aż wznosiła się mętna mgła, w której od ich rogów zapalały się tęcze; lecz na plaży, na szczycie urwiska i w całym królestwie Nędzora ziemia westchnęła z ulgą, kiedy Byk zdjął z niej swój ciężar.

Długo szedł po dnie, zanim popłynął. Największe bałwany rozbijały się zaledwie na wysokości jego pęcin, a nieśmiały przyływ pierzchał przed nim. Ale gdy Byk wreszcie zanurzył się w odmęt, morze wzniosło się za nim ogromnym zielonoczarным wałem, głębokim, gładkim i twardym jak wiatr. Wzbierało wśród ciszy, sfałdowane od horyzontu po horyzont, i nawet zasłoniło na chwilę wypukły kłęb i spadzisty grzbiet Czerwonego Byka.

Szmendryk podniósł martwe ciało księcia i rzucił się wraz z Molly do ucieczki. Powstrzymała ich dopiero ściana urwiska, i wnet potem fala runęła na brzeg, jakby z nieba lunął deszcz łańcuchów.

A wtedy z morza wybiegły jednorożce.

Molly nawet ich wyraźnie nie zobaczyła: były jedynie skaczącym ku niej światłem i oślepiającym krzykiem. Miała dość rozumu, aby wiedzieć, że wszystkie jednorożce świata to nie jest widok przeznaczony dla istot śmiertelnych, usiłowała więc odszukać swoją Jednoroginię i patrzeć już tylko na nią. Ale jednorożców było za dużo, no i były zbyt piękne.

Ślepa jak Byk, wyszła im naprzeciw z wyciągniętymi rękami.

Na pewno by ją stratowały, tak jak Czerwony Byk stratował Księcia Lira, bo były pijane wolnością. Ale Szmendryk coś powiedział i natychmiast rozdzieliły się niby morze, gdy rozbija się o skałę, aby za nią znów zlać się w jeden spieniony win omijały ludzi, a niektóre nawet przeskakiwały górą. Wokół Molly płynęła i rozkwitała światłość nieprawdopodobna jak śnieg płonący żywym ogniem, a tysiące kopyt dźwięczały niczym czynele. Kobieta stała nieruchomo, ani nie płacząc, ani się nie śmiejąc, bo ta radość była zbyt wielka, żeby mogło ją pojąć jej własne ciało.

– Patrz – powiedział Szmendryk. – Zamek się wali.

Molly spojrzała w górę. Jednorożce pięły się po urwisku i obiegały zamek, a jego wieże miękły i osuwały się, jakby były ulepione z piasku i właśnie padały pod naporem morza.

Zamczysko rozpadało się na wielkie, zimne bryły, które w locie stawały się przezroczyście jak plastry wosku i rozwiewały w powietrzu. Warownia rozsypała się i znikła bezszelestnie, i nie pozostały po niej nawet ruiny – ani na ziemi, ani w pamięci tych dwojga, którzy oglądali jej upadek. W minutę później nie pamiętali już, gdzie stała i jak wyglądała.



Za to Król Nędzior był całkiem prawdziwy i runął wśród szczątków swojego odczarowanego zamku niczym nóż upuszczony z nieba. Molly słyszała, jak parsknął

śmiechem – jakby właśnie taki koniec przewidział. Mało co zaskakiwało Króla Nędziora.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kiedy morze zgarnęło z plaży romby, które pozostawiły ich kopytka, znikł po nich wszelki ślad, tak jak i po zamku Króla Nędziora – z tą różnicą, że Molly Grue bardzo dokładnie pamiętała jednorożce.

– Lepiej, że odeszła bez pożegnania – powiedziała do siebie. – Na pewno zachowałabym się jak idiotka. Co prawda zaraz i tak to zrobię, ale naprawdę lepiej, że się nie pożegnała.

Niespodziewane ciepło przemknęło jej po policzku i wkradło się we włosy, jakby musnął ją promień słońca. Odwróciła się i zarzuciła Jednorogini ręce na szyję.

– Więc jednak zostałeś! – szepnęła. – Zostałeś!

Mało brakowało, a rzeczywiście zachowałaby się jak idiotka, bo już chciała spytać:

„Zostaniesz?”, lecz Jednorogini łagodnie jej się wymknęła i poszła tam, gdzie leżał Książę Lir, którego ciemnoniebieskie oczy zaczynały już tracić kolor. Stała nad nim, tak jak on niegdyś stał na straży przy Lady Amaltei.

– Wskrzesi go – półgłosem rzekł Szmendryk. – Przed rogiem jednorożca nawet śmierć musi ustąpić.

Molly po raz pierwszy od dłuższego czasu przyjrzała mu się z uwagą i stwierdziła, że wreszcie odnalazł swoją moc i początek. Sama nie wiedziała, po czym to poznaje, bo nie płonęła wokół niego aureola chwały i jak dotąd nie ucziły go żadne zauważalne omeny. Był

wciąż tym samym Szmendrykiem Czarodziejem, a mimo to czuło się, że coś dzieje się z nim po raz pierwszy.

Jednorogini długo stała nad Księciem Lirem, nim dotknęła go rogiem. Choć u kresu wędrówki spotkała ją radość, w całej jej postawie było zmęczenie, a w urodzie melancholia, jakiej Molly nigdy u niej nie widziała. Kobieta pomyślała nagle, że ten smutek to nie tyle żal za Lirem, ile za bezpowrotnie straconą dziewczyną, za Lady Amalteą, która mogła przecież żyć długo i szczęśliwie u boku księcia. Jednorogini pochyliła głowę i trąciła Lira w podbródek, niezdarnie jak przy pierwszym pocałunku.

Usiadł i zamrugał oczami, uśmiechając się do czegoś, co dawno minęło.

– Ojczy – rzekł z pośpiechem i zdumieniem. – Ojczy, coś mi się śniło. – Wtem spostrzegł

Jednoroginię i wstał, a krew znów zabarwiła mu policzki i jęła krążyć w ciele. – Nie żyłem.

Jednorogini znów go dotknęła, tym razem na wysokości serca, i chwilę pottrzymała tam róg. Oboje drżeli. Lir wyciągnął do niej rękę, jakby to były słowa.

– Pamiętam cię – powiedział. – Pamiętam.

– Kiedy nie żyłem... – zaczął książkę, ale jej już nie było. Nie straciła ani jednego kamyka, nie wyrwała ani jednego krzaczka, gdy mknęła wzwyż po urwisku, lekka jak cień ptaka, aż przystanęła i unosząc kopytko spojrzała w dół, skąpana w słońcu, obarczona rogiem, pod którego ciężarem głowa i szyja wydawały się absurdalnie kruche, a wtedy troje ludzi wzniosło ku niej z brzegu morza bolesny okrzyk. Odwróciła się i znikła; lecz Molly Grue zauważyła, że ich głosy ugodziły ją jak groty strzał, i choć bardzo pragnęła powrotu Jednorogini, jeszcze bardziej żałowała, że się w ogóle odezwała.

– Ledwo ją zobaczyłem, zrozumiałem, że jeszcze przed chwilą byłem martwy, tak jak za pierwszym razem, kiedy patrzyłem na nią z wieży ojca. – Spojrzał w górę i aż syknął. Był to jedyny lament po Królu Nędzorzce, jaki kiedykolwiek miała wznieść żywa istota na ziemi.

– Czy to przeze mnie? – szepnął. – Klątwa przewidywała, że właśnie ja zniszczę zamek, lecz nigdy bym tego nie zrobił. Król nie był dla mnie dobry, ale tylko dlatego, że nie spełniłem jego oczekiwań. Czy to z mojej winy upadł?

– Gdybyś nie próbował uratować Jednorogini – odparł Szmendryk – nigdy by nie natarła na Czerwonego Byka i nie zapędziłaby go do morza. To Czerwony Byk sprawił, że wystąpiło z brzegów, i w ten sposób uwolnił jednorożce, a one z kolei zniszczyły zamek. Chciałbyś cofnąć to wszystko?

Książkę Lir pokręcił głową i nic nie powiedział.

– Ale czemu Byk przed nią uciekł? – spytała Molly. – Czemu nie stanął do walki?

Kiedy spojrzeli ku pełnemu morzu, nie dostrzegli ani śladu Byka, choć tak ogromna bestia nie mogła w równie krótkim czasie zniknąć za horyzontem. Dopiero znacznie później mieli się dowiedzieć, czy dotarł do jakiegoś innego lądu, czy też otchłań wód pochłonięła w końcu nawet i to potężne cielsko, ale w owym nadmorskim królestwie więcej go nie widziano.

– Czerwony Byk nigdy nie walczy – oświadczył Szmendryk. – Zwycięża, ale nie walczy.

Zwrócił się do Księcia Lira i położył mu dłoń na ramieniu.

– Odtąd to ty jesteś królem – rzekł. Dotknął też Molly i coś powiedział, choć przypominało to raczej gwizd niż ludzkie słowo, i wszyscy troje niby pióropusze trojeści wzbili się w powietrze, aż na skraj urwiska. Molly ani trochę się nie bała. Czar uniósł ją niezwykle delikatnie, a właściwie zaśpiewał jak melodyjną nutę. Choć czuła, że w każdej chwili może stać się szalony, groźny, zrobiło jej się żal, kiedy postawił ją na twardym gruncie.

Z zamku nie został ani jednej kamień czy choćby blizna na piasku; ziemia w miejscu, gdzie niegdyś

się wznosił, nie była ani trochę jaśniejsza. Czterej młodzieńcy w zardzewiałych, obszarpanych zbrojach wałęsali się z rozdziawionymi ustami po nie istniejących krużgankach i krążyli w koło po tej pustce, która niegdyś mieściła wielką salę Króla Nędzora. Kiedy zobaczyli Lira, Molly i Szmendryka, podbiegli do nich ze śmiechem.

Padli przed Lirem na kolana i zawołali jak jeden mąż:

– Witaj nam, panie! Niech żyje Król Lir!

Zarumienił się i nawet usiłował ich zmusić, żeby wstali. – Dajcie spokój – wybełkotał. –

Dajcie spokój. Coście za jedni? – Z najwyższym zdumieniem zaglądał im w twarz. –

Przecież ja was znam... Jestem pewien, że was znam... Ale czy to możliwe?

– Możliwe, wasza wysokość – radośnie zapewnił go pierwszy. – Jesteśmy knechtami Króla Nędzora, którzy służyli mu przez tyle głodnych i chłodnych lat. Uciekliśmy z zamku, kiedy znikliście w zegarze, bo Czerwony Byk ryczał, wieże drżały, a myśmy się bali.

Czuliśmy, że stara klątwa zaczyna się spełniać.

– Zamek porwała wielka fala – dodał drugi. – Sprawdziła się przepowiednia więdzmy.

Spłynął z urwiska wolno jak śnieg, a czemu i nas przy tym nie porwało, to już nie wiem.

– Morze rozstąpiło się, żeby nas ominąć – wtrącił trzeci. – W życiu czegoś podobnego nie widziałem. Dziwna to była fala, a raczej widmo fali, kipiące tak tęczowym blaskiem, że przez chwilę zdawało mi się... – Przetarł oczy, wzruszył ramionami i uśmiechnął się bezradnie. –

Sam nie wiem. To było jak sen.

– Ale co się z wami stało? – spytał Lir. – Byliście już starzy, kiedy się urodziłem, a teraz jesteście młodszy ode mnie. Kto sprawił ten cud?

Trzej, którzy dotąd mówili, zaczęli chichotać z zakłopotanymi minami, ale czwarty odparł:

– Sprawiała go nasza wiara. Obiecaliśmy Lady Amaltei, że odmłodniejemy, jeśli tylko zechce, no i widać powiedzieliśmy to z przekonaniem. Gdzie jest Lady Amaltea?

Przyjdziemy jej z pomocą, choćbyśmy musieli stawić czoło Czerwonemu Bykowi.

– Odeszła – rzekł Król Lir. – Znajdźcie mojego konia i osiodłajcie. Znajdźcie mojego konia. – Mówił szorstkim, zgłodniałym tonem. Czterej knechci na wypródkę rzucili się spełnić rozkaz nowego władcy.

Ale Szmendryk, który stał obok niego, powiedział cicho:

– Wykluczone, najjaśniejszy panie. Wasza wysokość nie może za nią pojechać.

Król zwrócił się twarzą do niego, a wyglądał jak Nędzor.

– Czarodzieju, ona jest moja! – oświadczył. Po chwili dodał łagodniej, prawie błagalnie: –

Dwukroć mnie wskrzesiła, kim więc będę bez niej, jeśli nie trupem po raz trzeci? – Chwycił

Szmendryka za nadgarstki, jakby zamierzał zdruzgotać mu kości, ale czarodziej ani drgnął. –

Nie jestem Królem Nędzorem – ciągnął Lir. – Nie chcę jej uwięzić, tylko podążać za nią przez resztę życia, odległy o całe staje, mile, a nawet lata, i choć może nigdy więcej jej nie ujrzę, będę kontent. To mi się po prostu należy. Bohater ma prawo skorzystać z tego, że wreszcie nastąpił szczęśliwy koniec.

– Tylko że na razie nic tu się jeszcze nie skończyło, ani dla waszej wysokości, ani dla niej. Najjaśniejszy panie, zostałeś władcą spustoszonej krainy, w której dotąd królował

jedynie strach. Dopiero teraz stoisz przed naprawdę trudnym zadaniem, choć może do końca życia nie będziesz wiedział, czy zdołałeś się z niego wywiązać, i dowiesz się najwyżej o fiasku. A ona? Jest historią, która nigdy się nie kończy – ani szczęśliwie, ani smutno. Nie może należeć do kogoś, kto sam jest na tyle śmiertelny, że jej pragnie.

Tu o dziwo objął młodego króla i długo trzymał go w ramionach. – Bądź jednak rad, panie – rzekł w końcu znizonym tonem – Nikt z ludzi nie napawał się jej pięknem bardziej niż ty, nikt nie został obdarzony łaską jej pamięci. Kochałeś ją, służyłeś jej. Bądź więc rad – i bądź królem.

– Ale ja chcę czegoś zupełnie innego! – krzyknął Lir.

Czarodziej nie odpowiedział ani słowem, tylko nań popatrzył. Przez dłuższą chwilę niebieskie oczy wytrzymywały spojrzenie zielonych; oblicze, które nagle wyszczuplało i przybrało władczy wyraz, miało naprzeciw siebie twarz ani nie tak przystojną, ani śmiałą. W

końcu król zaczął marszczyć się i mrużyć oczy, jakby patrzył w słońce, a niebawem spuścił wzrok i wymamrotał:

– Niech więc tak będzie. Zostanę tu i sam jeden będę panował nad podłym ludem i nienawistną krainą. Ale to królowanie da mi nie więcej radości, niż dało nieszczęsnemu Nędzorowi.

Krzywouchy kotek jesiennej maści wylazł chyłkiem z jakiegoś ukrytego w powietrzu zakamarka i ziewnął prosto w oczy Molly. Chwyciła go w objęcia i przytuliła do twarzy, a on wczepił się łapkami w jej włosy. Szmendryk uśmiechnął się i rzekł do króla:

– Musimy cię teraz opuścić, panie. Czy zechcesz odprowadzić dwoje przyjaciół do granic swego królestwa? Po drodze napotkamy wiele rzeczy godnych twojej uwagi, a ręczę ci, że nie zabraknie też

śladów obecności jednorożców.

Król Lir znowu zawołał, żeby przyprowadzono mu konia, więc jego ludzie ruszyli na poszukiwanie i w końcu znaleźli zwierzę; nie było jednak wierzchowców dla Szmendryka ani dla Molly. Lecz gdy knechci wrócili z królewskim rumakiem, widząc zdumienie w oczach władcy spojrzeli za siebie i zobaczyli, że potulnie idą za nim dwa konie, kary i kasztan, w dodatku osiodłane i okiełznane. Szmendryk wziął sobie karego, a kasztana zostawił Molly.

Kobieta z początku bała się tych zwierząt. – Czy to twoje konie? – spytała. –

Wyczarowałaś je? Potrafisz już zrobić coś z niczego?

Król zawtórował jej równie zdumionym szeptem.

– Znalazłem je – odparł czarodziej. – Ale „znaleźć” znaczy dla mnie co innego niż dla was. O nic więcej nie pytajcie.

Pomógł Molly dosiąść konia i wskoczył na swojego. Ruszyli więc stępą, a knechci poszli za nimi piechotą. Nikt nie oglądał się za siebie, bo i nie było na co. Ale Król Lir rzekł:

– Dziwne to uczucie, wyrosnąć i osiągnąć wiek męski w miejscu, które potem nagle znika i nic nie zostaje tam takie, jakie było, a człowiek ni stąd, ni zowąd jest królem. Czy do tej pory wszystko działa się na niby? A jeśli tak, to czy ja sam naprawdę istnieję?

Szmendryk nie odpowiedział.

Król Lir chciał ruszyć z kopyta, ale czarodziej uparł się jechać stępą i okrężną drogą.

Kiedy król grymasił i rwał się do galopu, został upomniany, że musi mieć na względzie swoich piechurów, choć ci o dziwo w całej tej podróży nie odczuli najmniejszego zmęczenia.

Lecz Molly rychło zrozumiała, że Szmendryk gra na zwłokę, aby Lir bez pośpiechu, z uwagą przyjrzał się swemu królestwu. Sama też stwierdziła ze zdumieniem, że jest na co popatrzeć.

Do jałowej krainy, którą niegdyś władał Nędzor, zawitała bowiem wiosna. Obcy przybysz nie zauważyłby żadnych zmian, ale Molly widziała, że porażona ziemia pomału jaśniej zieleńią nieśmiałą jak dym. Przysadziste, sękate drzewa, co jeszcze nigdy nie zakwitły, wypuszczały pąki z taką samą czujnością, z jaką wojsko wysyła zwiadowców; z dawien dawna wyschłe strumienie zaczynały szemrać w swoich korytach, nawoływały się różne drobne stworzonka. W powietrzu snuły się wstęgi zapachów: jasnej trawy i czarnego błota, miodu i orzechów włoskich, mięty, siana i gnijącego drewna jabłoni; Molly na końcu świata byłaby poznała tkliwą woń popołudniowego słońca, od której aż chciało się kichać. Jechała u boku Szmendryka, obserwując dyskretne nadejście wiosny i myśląc o tym, że ją też wreszcie ona nawiedziła – późno co prawda, lecz za to na długo.

– Przeszły tędy jednorożce – szepnęła do czarodzieja. – Czy to dlatego? A może przez to, że Nędzor

został obalony, a Czerwony Byk sobie poszedł? Co tu się właściwie dzieje?

– Wszystko – odparł. – Wszystko naraz. To nie jedna wiosna, tylko pięćdziesiąt; i nie jedna czy dwie ciężkie zimy, lecz tysiąc małych cieni uleciało z tego kraju. Poczekaj, to sama zobaczysz. Nie jest to zresztą bynajmniej pierwsza wiosna, jaka tu kiedykolwiek nastąpiła

– dodał na użytek Lira. – Był to niegdyś całkiem dobry kraj i potrzebuje tylko prawdziwego króla, żeby z powrotem wydobrzeć. Patrz, panie, jak łagodnie się przed tobą otwiera.

Król Lir nie odpowiedział, ale jadąc rozglądał się wokoło i nie mógł nie zauważyć, że wszystko rozkwita. Nawet w niesławnej dolinie Bramjędza zaczynały się budzić wszelakie kwiaty polne: orliki i dzwonki, lawenda i łubin, naparstnica i krwawnik. Jamy pozostałe po przejściu Czerwonego Byka malowniczo zarastały malwami.

Lecz gdy późnym popołudniem dojechali do Bramjędza, ich oczom ukazał się przedziwny obraz zniszczenia. Zaorane pola były żałośnie zryte i spustoszone, a bogate sady i winnice tak stratowane, że nie ocalał ani jeden gaj czy altana. Cała okolica została obrócona w perzynę, jakby przegalopował przez nią Czerwony Byk; ale Molly Grue pomyślała, że to po prostu te nieszczęścia, od których Bramjędz wyłgiwał się przez pół wieku, w jednej chwili spadły na miasto, tak jak resztę kraju ogrzały wreszcie wszystkie zaległe wiosny. U schyłku dnia zdeptana ziemia dziwnie przypominała popiół.

– Co to takiego? – cicho spytał Król Lir.

– Jedź dalej, jaśnie panie – odparł czarodziej. – Jedź. Słońce już zachodziło, kiedy minęli obaloną bramę miasta i wolno pojechali ulicami, które całe były zatarasowane deskami, sprzętami i potłuczonym szkłem, szczątkami ścian, futryn, kominów, krzeseł, naczyń kuchennych, dachów, wanien, łóżek, okapów, toaletek. Wszystkie domy leżały w gruzach.

Miasto wyglądało, jakby ktoś na nie nadepnął.

Mieszkańcy Bramjędza siedzieli na progach – to znaczy ci, którzy w ogóle zdołali je odnaleźć w rumowisku. Zawsze sprawiali wrażenie nędzarzy, nawet wśród największego dostatku, więc gdy naprawdę wszystko stracili, wyglądali prawie tak, jakby im ulżyło, i nie wydawali się ani trochę ubożsi. Ledwo zauważyli Lira, kiedy do nich podjechał. Spostrzegli go dopiero, gdy oświadczył:

– Jestem waszym królem. Co to za nieszczęście was spotkało?

– Trzęsienie ziemi – z rozmarzeniem odparł jeden z mężczyzn, ale inny rzekł:

– Nie, to był sztorm. Północno-wschodni wiatr nadciągnął od morza i starł miasto na proch, a potem spadł taki grad, jakby kopyta tętniły.

Trzeci upierał się, że przez Bramjędz przetoczyła się potężna fala, biała niczym kwiat derenia, ciężka jak marmur, i nikogo nie utopiła, ale wszystko zdruzgotała. Król Lir słuchał

ich z mrocznym uśmiechem.

– No tak – powiedział, kiedy skończyli. – Król Nędzor nie żyje, a jego zamek runął do morza. Jestem Lir, syn Bramjędza, którego porzuciliście zaraz po narodzeniu, żeby udaremnić klątwę wiedźmy i nie dopuścić do tego, co w końcu i tak się stało. – Zatoczył ręką łuk, wskazując zburzone domy. – Wiedźcie, nieszczęśni głupcy, że wróciły jednorożce. Te same, które Czerwony Byk na waszych oczach zapędzał do morza, a wyście udawali, że nie widzicie. To one obaliły zamek i wasze miasto. Ale prawdziwą zgubę ściągnęła na was własna pazerność i tchórzostwo.

Mieszczanie wzdychali z rezygnacją, ale jakaś kobieta w średnim wieku postąpiła o krok naprzód i dość żywo rzekła:

– Za przeproszeniem waszej wysokości, trochę to jednak niesprawiedliwe. Jak mieliśmy ratować jednorożce? Baliśmy się Czerwonego Byka. Co mogliśmy zrobić?

– Może wystarczyłoby jedno słowo – odparł Król Lir. – Teraz już nigdy się nie dowiecie.

Byłby zawrócił konia i tak ich zostawił, ale zatrzymał go czyjś słaby, zachrypnięty głos:

– Lir... mały Lir... moje dziecię, mój królu!

W mężczyźnie, który nadszedł z otwartymi ramionami, a rzeził przy tym, powłóczył nogami i kuśtykał, jakby był dużo starszy niż w rzeczywistości, Molly i Szmendryk rozpoznali Drinna.

– Kim jesteś? – spytał król. – Czego chcesz?

Drinn głąskał jego strzemiona i przytulał twarz do cholewy buta.

– Nie poznajesz mnie, chłopcze? Nie, skądże znowu. Jakie mam prawo oczekiwać, że mnie poznasz? Jestem twoim ojcem, biednym, starym ojcem, który szaleje z radości. To ja przed laty w zimową noc porzuciłem cię na rynku, żeby przeznaczenie zrobiło z ciebie bohatera. Jak mądrze postąpiłem! Potem smuciłem się przez długie lata, a teraz jestem taki dumny! Mój chłopiec, mój chłopczyk! – Nie popłynęły mu łzy, bo nie umiał naprawdę płakać, ale przynajmniej się usmarkał.

Król Lir bez słowa pociągnął za wodze i jego koń tyłem wysunął się z tłumu. Staremu Drinnowi opadły wyciągnięte ręce.

– Oto co znaczy mieć dzieci! – wrzasnął. – Wyrodny synu, chcesz porzucić ojca w niedoli, chociaż ten twój czarodziej-maskotka mógłby wszystko naprawić jednym słowem?

Gardź mną do woli, lecz i ja miałem swój udział w tym, że tak wysoko zaszedłeś, nie śmieję zaprzeczyć! Łotrowi też coś się należy.

Król byłby jednak odjechał, ale Szmendryk pochylił się i dotknął jego ramienia.

– Dobrze mówi – szepnął. – Gdyby nie on, gdyby nie oni wszyscy, cała historia potoczyłaby się zupełnie inaczej i kto wie, czy jej finał nie byłby jeszcze mniej pomyślny?

Musisz im panować, i to równie troskliwie, jak panowałbyś jakiemuś dzielniejszemu, wierniejszemu ludowi. Są bowiem częścią twego przeznaczenia.

Lir podniósł więc prawicę, a mieszkańcy Bramjędza jęli się szturchać i wzajemnie uciszać.

– Muszę jeszcze kawałek odprowadzić przyjaciół – oświadczył. – Ale zostawię tu swoich ludzi i przy ich pomocy zaczniecie się odbudowywać. Niebawem wrócę i też wam pomogę.

Nie położę fundamentów pod nowy zamek, póki Bramjędz nie stanie tam, gdzie stał.

Zaczęli marudzić, że Szmendryk mógłby przecież w jednej chwili wyczarować dawne miasto, lecz mag odpowiedział:

– Nie, nie mógłbym, choćbym chciał. Czarodziejską sztuką też rządzą pewne reguły, tak jak porami roku i ruchem morza. Czarom zawdzięczaliście swoje bogactwo, kiedy reszta kraju klepała biedę; ale wasz czas dostatku już się skończył i musicie zacząć od zera. To, co za Nędzora było pustynią, znów szczodrze się zazieleni, lecz Bramjędz wyda plony skąpe jak serca jego mieszkańców. Możecie na nowo zasiać pola, wyhodować sady i winnice, wiedzcie jednak, że nigdy nie rozkwitną po dawnemu, nigdy. Chyba że nauczycie się nimi cieszyć – ot, tak sobie. – Patrzył na milczących mieszczan bez gniewu, nawet z litością. – Na waszym miejscu miałbym dzieci – dodał, po czym zwrócił się do Króla Lira:

– Co powie wasza wysokość? Przenocujemy tu, aby o świcie puścić się w dalszą drogę?

Ale król zawrócił konia i wyjechał ze zburzonego Bramjędza, jak mógł najszybciej. Sporo czasu minęło, nim Molly i czarodziej go doścignęli, a jeszcze więcej, zanim ułożyli się do snu.

Wiele dni zajęła im wędrówka przez królestwo Lira, z każdym dniem coraz mniej znajome i bardziej zachwycające. Wiosna mknęła przed nimi jak pożar, odziewając wszystko, co było nagie, otwierając to, co od dawna było szczelnie zamknięte, dotykając ziemi tak, jak Jednorogini dotknęła Lira. Przy drodze brykały, wałęsały się i przemykały najrozmaitsze zwierzęta, od niedźwiedzi po karaluchy, a wysokie niebo, niegdyś piaszczyste i jałowe jak sama gleba, zakwitło od ptaków, wirujących tak gęstym rojem, że prawie przez cały dzień panował półmrok niby o zachodzie słońca. Ze żwawych strumieni wyskakiwały ryby, gnąc się i migocząc w powietrzu, a polne kwiaty mknęły po wzgórzach niczym zbiegli więźniowie.

Cała kraina tętniła zgiełkiem życia, lecz właśnie ciche świętowanie kwiatów nie dawało trojgu wędrowców spać po nocach.

Napotykanymi wieśniacy robili na ich widok miny czujne i niemal równie ponure jak wtedy, gdy Szmendryk i Molly po raz pierwszy zawitali w owe strony. Tylko najstarsi pamiętali, czym jest wiosna, toteż wielu uważało panoszącą się zieleń za forpocztę jakowejś plagi bądź



inwazji. Król Lir zapewniał wszystkich, że Nędzior nie żyje, a Czerwony Byk odszedł raz na zawsze, zapraszał, żeby go odwiedzili, gdy wybuduje nowy zamek, i jechał dalej.

– Minie trochę czasu, nim się oswoją z kwiatami – mówił.

Gdziekolwiek się zatrzymywali, ogłaszał, że darowuje wszelkie przestępstwa; Molly miała nadzieję, iż wiadomość ta dotrze do Kapitana Kiepa i jego wesołej drużyny. No i rzeczywiście dotarła, a wesoła drużyna natychmiast porzuciła leśny żywot, cała prócz samego Kiepa i Jacka Brzęka. Obrali oni zawód wędrownych minstrelów i na prowincji zdobyli nawet podobno względną popularność.

Pewnej nocy wszyscy troje mościli sobie legowiska w wysokiej trawie, układając się do snu na samej rubieży królestwa Lira. Król miał ich rankiem pożegnać i wrócić do Bramjędza.

– Będę tam bardzo samotny – rzekł w ciemności. – Wolałbym dalej z wami pojechać i nie być żadnym królem.

– O, na pewno z czasem ci się spodoba – zapewnił go Szmendryk. – Najbardziej udani młodzieńcy ze wszystkich wiosek zjawią się na twoim dworze, a ty wyszkolisz ich na rycerzy i bohaterów. Najmędrsi ministrowie przybędą, żeby służyć ci radą, najbieglejsi muzycy, zonglerzy i gawędziarze zaczną zabiegać o twe względy. Prędzej czy później pojawi się też księżniczka, która będzie uciekać przed swoim niewysłowieniem podłym ojcem tudzież braćmi, albo wręcz przeciwnie: przyjdzie domagać się w ich imieniu sprawiedliwości. Może zasłyszysz, że jakaś taka osóbką siedzi zamknięta w warowni z krzemienia i diamentu, a za całe towarzystwo ma litościwego pająka...

– Nic mi do tego – odparł Lir, a potem długo milczał, więc Szmendryk w końcu pomyślał, że król śpi, lecz tamten powiedział nagle: – Gdybym mógł zobaczyć ją jeszcze raz i otworzyć przed nią serce. Nigdy się nie dowie, co jej naprawdę chciałem wyznać. A obiecałeś, że ją jeszcze zobaczę.

– Obiecałem tylko, że zobaczysz ślad jednorożców – odrzekł czarodziej – no i zobaczyłeś. Twój kraj otrzymał większe błogosławieństwo, niż się należy jakiegokolwiek ziemi, bo przebiegły przezeń, odzyskawszy wolność. A ty razem ze swoim sercem i wszystkim, co powiedziałaś i czego nie powiedziałaś, pozostaniesz w jej pamięci nawet wtedy, gdy ludzie będą już tylko postaciami z bajek pisanych przez króliki. Pomyśl o tym i zamilcz.

Król więcej się nie odezwał, a Szmendryk pożałował tych słów.

– Dotknęła cię dwa razy – dodał po chwili. – Za pierwszym razem po to, żeby cię wskrzesić, ale to drugie dotknięcie było od niej dla ciebie.

Lir nie odpowiedział, a czarodziej nie był pewien, czy król go usłyszał.

Szmendrykowi przyśniło się, że o wschodzie księżycy przyszła Jednorogini i stanęła nad nim. Słaby nocny wietrzyk rozlewał po niebie jej grzywę, a księżyc wydobywał z mroku drobną główkę, rzeźbioną jak płatek śniegu. Czarodziej wiedział, że to tylko sen, ale i tak się ucieszył.

– Jakaś ty piękna – rzekł. – Właściwie nigdy ci nie mówiłem, jaka jesteś piękna. –

Obudziłby tamtych dwoje, ale dała mu oczami znak wyrazisty jak śpiew dwóch spłoszonych ptaków, zrozumiał więc, że jeśli się poruszy, aby zawołać Molly i Lira, to sam się zbudzi, a ona zniknie. Powiedział więc tylko: – Oni chyba bardziej cię kochają, chociaż staram się jak mogę.

– Właśnie dlatego – odparła, a on nie bardzo wiedział, do czego odnieść te słowa. Leżał

bez ruchu i obiecywał sobie, że kiedy zbudzi się rankiem, będzie dokładnie pamiętał kształt jej uszu.

– Stałeś się prawdziwym, śmiertelnym czarodziejem, tak jak chciałeś – rzekła Jednorogini. – I co, jesteś szczęśliwy?

– Tak – odparł, śmiejąc się z cicha. – Nie jestem biednym Nędzorem, żeby moje życzenia miały umierać w chwili, gdy się spełniają. Są jednak czarodzieje i czarodzieje; jest magia czarna i biała, a między nimi nieskończenie wiele odcieni szarości, i teraz już widzę, że to właściwie wszystko jedno. Mogę zostać kimś, kogo ludzie nazwaliby mądrym i dobrym czarodziejem – takim, co to pomaga bohaterom, psuje szyki wiedźmom, niegodziwym wielmożom i nierozważnym rodzicom; sprowadza deszcz, leczy wąglik płucny i kołowaciznę, zdejmuje koty z drzew – a mogę też wybrać retorty pełne eliksirów i esencji, proszki, zioła i jady, księgi okultyzmu zamykane na kłódkę i oprawione w skórę, której pochodzenia lepiej nie dociekać, grząską mgłą mroczniejącą w komnacie i sepleniący w niej słodki głos, lecz tak czy owak życie jest krótkie i ilu w końcu osobom zdązę pomóc albo zaszkodzić? Mam wreszcie swoją moc, ale świat wciąż jest za ciężki, żebym go ruszył z posad, choć mój przyjaciel Lir zdaje się być odmiennego zdania. – Zaśmiał się po raz drugi w tym śnie, ale trochę smutno.

– To prawda – odrzekła Jednorogini. – Jesteś człowiekiem, a wszystko, co robią ludzie, nie ma najmniejszego znaczenia. – Powiedziała to jednak dziwnie wolno i ociężale. – Cóż więc wybierzesz? – spytała.

Czarodziej zaśmiał się po raz trzeci. – Oczywiście tę dobrą magię, bo tak byś przecież wołała. Pewnie już nigdy cię nie zobaczę, ale zawsze będę się starał robić to, co byś mogła pochwalić, gdybyś o tym wiedziała. A ty? Gdzie będziesz przez resztę mojego życia?

Myślałem, że zdążyłaś już wrócić do swego lasu.

Trochę się od niego odwróciła, a kiedy od jej ramion odbiło się światło gwiazd, poczuł w gardle smak piasku, w który zamieniło się nagle całe to gadanie o czarach. Ćmy, muszki i inne nocne owady, zbyt małe, żeby dało się je nazwać, zleciały się i zaczęły tańczyć wokół

światlistego rogu; Jednorogini wcale przez to nie wyglądała głupio, natomiast one –

roztropnie i uroczo, gdy tak ją czciły. Kotek Molly krążył slalomem między jej przednimi kopytkami.

– Tamte już odeszły – powiedziała. – W pojedynkę rozbiegły się po swoich lasach i ludziom

niewiele łatwiej będzie je teraz zobaczyć, niż gdyby zostały w morzu. Ja też wrócę do swojego lasu, ale nie wiem, czy znajdę tam spokój, czy w ogóle gdziekolwiek go zaznam.

Przez chwilę byłam śmiertelna i niezupełnie mi to przeszło. Są we mnie łyzy, głód i lęk przed śmiercią, choć nie umiem płakać, niczego nie pragnę i nie mogę umrzeć. Nie jestem już taka jak tamte, bo jeszcze się nie narodził jednorożec, który potrafiłby żałować, a ja to właśnie potrafię. Żałuję.

Szmendryk ukrył twarz w dłoniach, jakby był dzieckiem, a nie wielkim czarodziejem.

– Przepraszam, przepraszam – wymamrotał. – Skrzywdziłem cię, tak jak Nikos tamtego jednorożca, choć miałem równie dobre chęci, i tak jak Nikos nie mogę odczynić tej krzywdy.

Mateczka Fortuna, Król Nędzor i Czerwony Byk razem wzięci byli dla ciebie lepsi niż ja.

Ona jednak łagodnie odrzekła:

– Moi bracia znów poszli w świat. Żaden smutek nie przetrwa we mnie tak długo jak ta radość – żaden oprócz jednego, lecz za ten jeden też ci dziękuję. Żegnaj, dobry czarodzieju.

Spróbuję wrócić do domu.

Odeszła bezszelestnie, ale on i tak się zbudził. Krzywouchy kot tęsknie miauczał.

Szmendryk obrócił głowę i ujrzał drżący blask księżyca w otwartych oczach Króla Lira i Molly Grue. Wszyscy troje nie spali aż do rana i żadne nie odezwało się ani słowem.

O świcie Król Lir wstał i osiodłał konia. Przed odjazdem rzekł:

– Chciałbym, żebyście mnie kiedyś odwiedzili.

Zapewnili go, że nie omieszkają, ale dalej zwlekał, omotując sobie palce luźnymi wodzami.

– Śniła mi się dziś w nocy – powiedział w końcu.

– Mnie też! – zawołała Molly, a Szmendryk otworzył usta i zaraz z powrotem je zamknął.

– W imię przyjaźni – rzekł Król Lir ochrypłym głosem – powtórzcie mi, co wam powiedziała.

Złapał każde z nich za rękę i zamknął ją w zimnym, bolesnym uścisku.

Szmendryk blado się doń uśmiechnął.

– Tak rzadko zapamiętuję własne sny, panie – odparł. – Zdaje się, że z wielką powagą rozmawialiśmy o głupstwach, jak to we śnie. Wygadywaliśmy uroczyste bzdury, ulotne pustoty.

Król puścił jego dłoń i zwrócił półobłąkane spojrzenie na Molly Grue.

– Nigdy nie powiem – odrzekła nieco wystraszona, lecz zarazem dziwnie zarumieniona. –

Pamiętam, ale nikomu nie powiem, choćbym miała skonać. Nawet tobie, panie mój. – Nie patrzyła jednak przy tym na króla, tylko na Szmendryka.

Król Lir puścił jej rękę i wskoczył na konia z takim impetem, że wierzcholec stanął

dęba, zasłaniając wschód słońca, i zaryczał jak jeleń. Ale Lir utrzymał się w siodle, a gdy spojrzął z góry na Molly i na Szmendryka, twarz miał tak mroczną, zrytą zmarszczkami i zapadniętą, jakby już od dawna był królem, równie długo jak przed nim Nędzor.

– W ogóle się do mnie nie odezwała – szepnął. – Macie pojęcie? Nie odezwała się ani słowem.

Wtem twarz mu zmiękła, bo nawet oblicze Króla Nędzora troszkę łagodniało, kiedy patrzył na uwięzione w morzu jednorożce. Na chwilę znów stał się tym młodym księciem, który lubił siadywać w kuchni razem z Molly.

– Patrzyła na mnie – powiedział. – W tym śnie patrzyła na mnie i nic nie mówiła.

Odjechał bez pożegnania, a oni spoglądali w ślad za nim, póki nie zasłoniły go wzgórza.

Smutny, prosty jak struna jeździec zmierzał do domu, żeby objąć tron.

– Biedak – rzekła w końcu Molly. – Biedny Lir.

– W sumie nie najgorzej mu się trafiło – stwierdził czarodziej. – Wielkim bohaterom potrzebne są wielkie smutki i ciężary, bo inaczej połowa ich wielkości przechodzi nie zauważona. W baśniach tak właśnie bywa. – Powiedział to jednak z lekkim powątpiewaniem, a potem delikatnie objął ramiona Molly. – Kochać jednorożca? Trudno to nazwać nieszczęściem – dodał. – To chyba największy uśmiech losu, choć i cena najwyższa.

Pomału odsunął ją od siebie, tak że dotykał jej tylko czubkami palców, i spytał:

– No więc jak? Powtórzysz mi, co ci mówiła? – Ale Molly Grue tylko się roześmiała, potrząsając głową, aż rozsypały jej się włosy i stała się piękniejsza niż Lady Amaltea. –

Doskonale – rzekł czarodziej. – Skoro tak, odnajdę ją i może sama mi powie.

Odwrócił się z całym spokojem i gwizdnał na konie. Molly milczała, póki siodłał swojego, lecz gdy zajął się drugim, dotknęła jego ręki.

– Myślisz... naprawdę masz nadzieję, że ją odnajdziemy? Zapomniałam coś jej powiedzieć.

Szmendryk spojrział na nią przez ramię. W świetle poranka jego oczy lśniły radośnie jak trawa, lecz ilekroć się pochylał i koń zasłaniał go na chwilę przed słońcem, przemykała w nich głębsza zieleń, odcień sosnowych igieł o cierpkim, chłodnym posmaku.

– Niewykluczone, ale ze względu na nią trochę bym się tego bał – odparł. – Znaczyłoby to, że ona też prowadzi teraz wędrowny żywot, a to dobre dla ludzi, nie dla jednorożców. Ale mam nadzieję ją spotkać. Oczywiście, że mam nadzieję. – Uśmiechnął się do Molly i wziął ją za rękę. – Lecz skoro my dwoje i tak musimy wybrać tę samą drogę spośród wielu, które zmierzają do wspólnego kresu, może się okazać, że podążamy śladem jednorożca. Nigdy go nie zobaczymy, ale zawsze poznamy, którędy przeszedł. Chodź więc. Chodź ze mną.

Wyruszyli zatem w kolejną podróż, która z czasem powiodła ich przez prawie wszystkie zakamarki lubego, wrednego, zwiędłego świata, aż wreszcie odkryli własne przeznaczenie, dziwne i cudowne. To jednak nastąpiło później, najpierw zaś – w niespełna dziesięć minut po tym, jak minęli granicę królestwa Lira – napotkali pannę, która biegła ku nim co sił w nogach.

Jej suknia, acz podarta i zbrukana, zachowała bogactwo kroju, a choć dziewczica owa włosy miała potargane i całe w rzepach, ręce podrapane, a nadobne liczko brudne, widać było gołym okiem, że to księżniczka – w straszliwych wręcz opałach. Gdy Szmendryk zeskoczył z konia, aby ją podtrzymać, wczepiła się w niego oburącz jak w połówkę grejpfruta.

– Ratunku! – zakrzyknęła. – Ratunku, *au secours!* Jeśli w piersi twej bije serce męzne i czułe, wspomóż mnie waść. Jam ci jest Księżniczka Alison Jocelyn, córka dobrego Króla Gilesa, co go plugawie zamordował rodzony brat, Diuk Wulf splamion krwią niewinną, który wziął też w niewolę trzech moich braci, książąt Corina, Colina i Calvina, i cisnął do okrutnego lochu jako zakładników, iżby mnie gwałtem przymusić do zameścia ze swoim tłustym synem, Lordem Dudleyem, alem ci przekupiła wartownika, a psom rzuciła ochłapy...

Szmendryk Czarodziej podniósł dłoń, więc księżniczka umilkła i już tylko patrzyła nań wielkimi oczami koloru lila.

– Szlachetna księżniczko – rzekł z powagą. – Ten, którego szukasz, właśnie odjechał w tamtą stronę. – Tu wskazał ręką krainę, którą dopiero co opuścili. – Weź mojego konia, a dościgniesz wybawcę, nim własny cień przestanie deptać ci po piętach.

Złożył dłonie, żeby podsadzić Księżniczkę Alison Jocelyn na siodło, toteż i wspięła się na nie, znużona i cokolwiek skołowana. Szmendryk obrócił konia i powiedział:

– Na pewno bez trudu go dogonisz, szlachetny ten mąż jedzie bowiem stępa, zdolny jest zaś do takiego bohaterstwa, na jakie nie zasługuje żadna sprawa. Odsyłam do niego wszystkie księżniczki, które mi się nawiną. Na imię mu Lir.

Klepnął konia po zadzie i zwierzę pomknęło w ślad za Królem Lirem; a potem tak się śmiał, że w końcu nie miał już siły wdrapać się na wierzchowca Molly i usiąść za nią, więc musiał przez jakiś czas iść pieszo. Gdy wreszcie złapał oddech, zaśpiewał, a ona mu zawtórowała. I tak wędrowali,

żegnając jedną opowieść, witając następną, i śpiewali sobie tę oto piosenkę:

„Nie jestem królem ani żadnym władcą,

Nie jestem nawet wojakiem”, rzekł do niej.

„Jestem tylko harfistą, a i to ledwie brzdąkam, Lecz w mym sercu miłość do ciebie płonie”.

„Nie jesteś władcą, więc nie będziesz mną władał, Nie skradniesz mnie, boś przecie nie złodziej.

Skoro jesteś harfistą, będziesz grać mi na harfie, Bo nic od niej nie brzmi wdzięczniej ni słodziej, Bo od harfy nic nie brzmi słodziej”.

„A jeżeli się wyda, że nie jestem harfistą?

Żem ci zełgał ohydnie, aby podbić twe serce?”

„No to sama cię nauczę grać biegle i czysto,

Bo dźwięczny ton harfy lubię wielce”.

Peter Soyer Beagle urodził się w Bronx (Nowy Jork) 29 kwietnia 1939 roku. W 1959

ukończył University of Pittsburgh. Dwa lata spędził w Europie, głównie w Paryżu, a owocem jego motocyklowych peregrynacji z tych lat jest esej-dziennik *I See by My Outfit* (1965). Inną książką eseistyczną wysokiej próby jest *The California Feeling* (1968). Ma trójkę dzieci i mieszka z żoną w Santa Cruz w Kalifornii. Debiutował opowiadaniem *Telephone Call* (magazyn *Seventeen*, rok 1956). Dwie powieści przyniosły mu duży sukces u krytyki i czytelników: neogotycka fantazja o duchach, której akcja osadzona jest na nowojorskim cmentarzu – *A Fine and Private Place* (1960) i zaliczany do klasyki fantasy przygodowy i metaforyczny *Ostatni jednorożec* (1968). *Śmierć na balu* (1963) i *Lila the Werewolf* (1974) to opowiadania. W ostatnich latach ukazały się dwie kolejne powieści fantasy: *The Folk of the Air* (1986) i *The Innkeeper's Song* (1993).